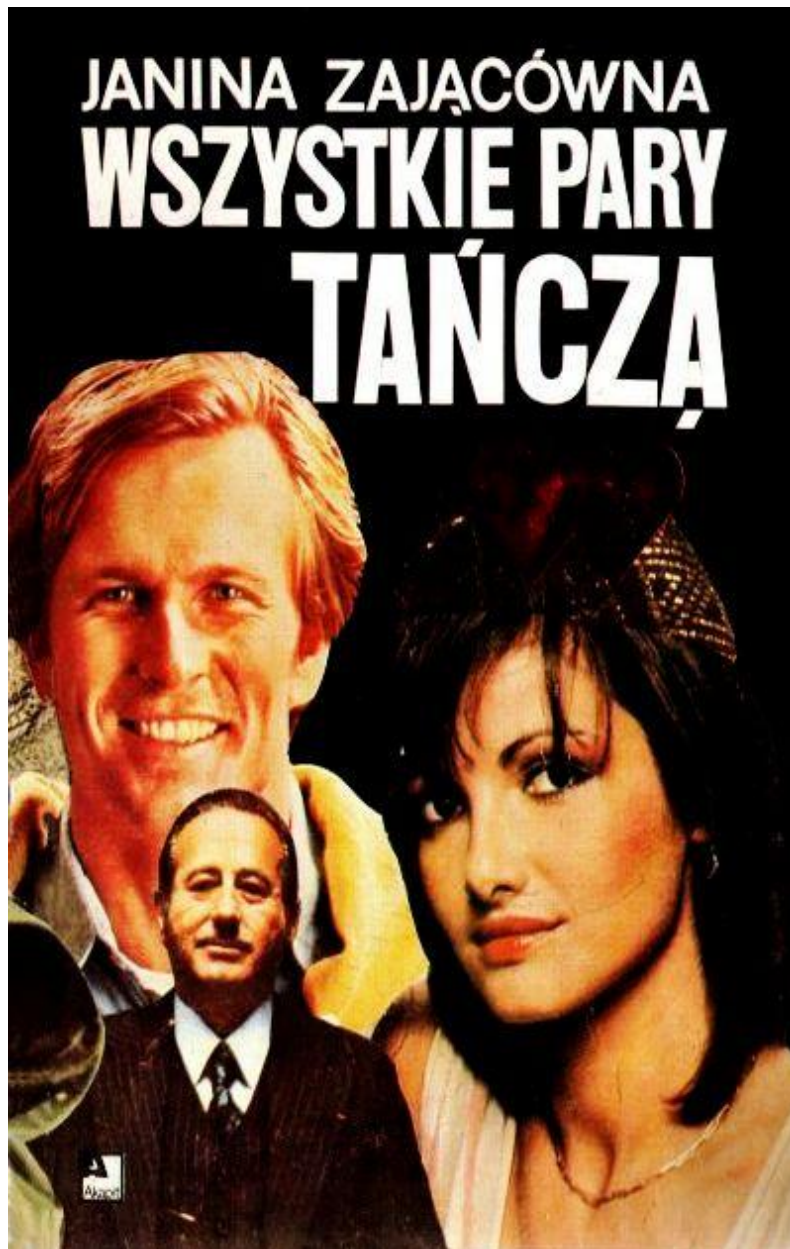




JANINA ZAJĄCÓWNA

WSZYSTKIE PARY TAŃCZĘ



Świt rozjarzył się pełnym blaskiem i jasny prostokąt okna rysował się coraz wyraźniej. Nie zmieniło to tonu pochrapywań ośmiu dziewcząt wtulonych w poduszki na dwóch rzędach łóżek, stojących naprzeciw siebie. Dopiero kiedy mrok ostał się tylko w kątach, można było stwierdzić, że jedna z nich nie śpi. Z twarzą zwróconą ku oknu uśmiechała się do siebie rada, że obudziła się wcześniej. W taki dzień, jak ten, warto było urwać parę chwil, z godzin przeznaczonych na wypoczynek. To był najdłuższy dzień w jej życiu, pamiętała o tym nawet we śnie. Szybkim ruchem zrzuciła koc i podbiegła do okna. Dzień wstawał świeży i rześki, drzewa drżały na wietrze i poranny chłód wpełzał do pokoju, ale Majka tego nie czuła. Niecierpliwość działała na nią jak cardamid. Chciała, żeby już było po wszystkim, po rozdaniu świadectw, po przemówieniach, nagrodach i pożegnalnych uściskach. Czas jednak stał w miejscu, zegarek nieubłaganie wskazywał godzinę czwartą rano.

Kiedy wróciła z łazienki krople rosy wyglądały jak świecidełka pozawieszane na drzewach. Nabrała ochoty na bieg po ogrodzie, wiedziała jednak, że o tej godzinie drzwi wejściowe są jeszcze zamknięte, a kraty w oknach uniemożliwiają wydostanie się na zewnątrz.

Trudno — powiedziała do siebie — i tak postaram się przeżyć ten dzień pięknie i przyjemnie.

Do jednych z niewielu przyjemności dostępnych tutaj należało picie kawy. Przed tygodniem dostała od Iwony pół paczki, zmeła ją i trzymała u siebie w szafce pod kluczem, dozując jak lekarstwo. Teraz nie musiała oszczędzać, wydostała z szafki foliowy woreczek i całą zawartość przesypała do kubka. Skrzypienie drzwiczek i łóżka nie obudziło żadnej z dziewcząt, spały nadal kamiennym snem, ale też żadnej nie czekało nic przyjemnego, spędzą ten dzień jak wszystkie inne, w szwalni, warsztatach, w kuchni, pralni czy ogrodzie, wieczorem po obejrzeniu filmu w telewizji, którego połowa z nich nie zrozumie znajdą się znów na łóżkach, w dwóch równych rzędach, pogadają o chłopakach, być może pokłócą się, poobrażają na siebie, co wcale im nie przeszkodzi spać aż do rana. Potem z poszturchiwaniem, z głupim chichotem i przekleństwami, od których zalał się smrodem dworcowych szaletów i odrapanych prowincjonalnych knajp, ruszą hurmem do łazienki.

Zimny prysznic rozgrzał ją i odświeżył. W kuchni, którą otworzyła sobie tylko znanym sposobem, zaparzyła kawę, pijąc uśmiechała się na wspomnienie tzw. zajęć domowych. Właściwie niczego się na nich nie nauczyła, poza zmywaniem naczyń. Dziewczyny rwały się do pieczenia ciast i przyrządzania sałatek, dla niej, ponieważ nie potrafiła się rozpychać, zawsze brakowało miejsca przy stole, zmywała więc naczynia, nie przejmując się przewiskiem „garkotłuka”, którym miłe koleżanki ochrzcili ją z miejsca. Rzadko pokazywała swoje humory. Życie nauczyło ją tłumić urazy i hamować złość, wiedziała, co się opłaca, co nie, zwłaszcza tutaj nie należało demonstrować swojej niezależności, narzuciła sobie pewne rygory i trzymała się ich z żelazną konsekwencją. Można powiedzieć, że nie uczestniczyła w życiu grupowym, czuła się raczej obserwatorem i widzem niż uczestnikiem spektaklu, chociaż robiła to samo co inne, chodziła na zajęcia, uczyła się, właściwie to jedno robiła z wewnętrznej potrzeby, lubiła się uczyć, w ten sposób osiągnęła co chciała. Dzisiaj pożegna się z koleżankami, a po paru dniach zapomni o nich, musi zapomnieć, oczywiście weźmie ich adresy, przyrzeknie pisać, przyjeżdżać w odwiedziny, ale tego nie zrobi, nie napisze, nie przyjedzie, z żadną się nigdy nie spotka.

Jeszcze tylko pół dnia, pół dnia, niemal z rozpaczą spojrzała na ścianę, zegar obojętnie wypływał czas, sekundy pęczniały niczym sucha bułka w wodzie, były nie do przekłnięcia. Opłukała kubek po kawie i starannie usunęła ślady swojej bytności w kuchni. Głupio byłoby podpaść na koniec. Nie zmieniłoby to decyzji w jej sprawie, ale po co się narażać? Wróciła na miejsce nie dbając o zachowanie ciszy. Skrzypieniu jej łóżka zawtórowało głośniejsze chrapanie. Iwona uśmiechnęła się przez sen, szepcząc czule jakies niezrozumiałe słowa. Majka zamknęła oczy usiłując w ten sposób popędzić człapiące sekundy, ale dopiero o szóstej, kiedy wychowawczyni donośnym krzykiem obwieściła pobudkę, czas nabrał przyspieszenia, stał się bardziej konkretny i wymierny.

Śniadanie było takie jak zwykle, kawa zbożowa w obtłuczonych kubkach, z mlekiem, to prawda, ale już zimna, chleb z margaryną i marmoladą bez smaku. Dziewczynom apetyty dopisywały, jadły nieprawdopodobnie dużo i z pewnym zdumieniem spoglądały na Majkę, która zmagala się ciągle z jedną kromką chleba, nie mogąc się z nią uporać, chleb przypominał trociny, a kawa mętną wodę z kałuży. Była głodna więc zmuszała się do jedzenia tocząc ze sobą walkę aż do godziny ósmej. To też był sposób na popychanie czasu. Po śniadaniu zaczęły się przemówienia, długie jak zwykle i pełne swady popisy dyrektora, krótsze znacznie nauczycieli, w których nie brakowało dobrych rad i pobożnych życzeń. Te były przynajmniej szczere, płynęły z serca, tylko co z tego. Co oni mogli nam dać — myślała znudzona Majka — nic przecież nie mieli — nic oprócz słów, a słowa nic nie kosztują, dlatego często się ich nadużywa.

Pani Wanda, kobieta jeszcze młoda i wcale niebrzydka wierzyła w słowa, mówiła, że działają cuda. Majka nie zaprzeczała, wołała nie mieć własnego zdania, chyba, że jej zdanie pokrywało się ze zdaniem wychowawczynie. Natomiast, jeśli chodzi o słowa mówiła wręcz, że w nie nie wierzy, słów było zbyt wiele, wszystkie zużyte, nadawały się na złom jak stare maszyny. Słuchała więc ze sceptycznym wyrazem recytacji wierszy, którą popisywały się dziewczyny z jej grupy, Iwona, Renata i Marzena. Majka odmówiła udziału w tej imprezie, tłumacząc się złą pamięcią i lękami. Powiedziała, że boi się tłumy, i pani Wanda ustąpiła. Teraz z przyjemnością słuchała wierszy, chociaż nie wszystko rozumiała, dziewczyny pojęcia nie miały o dykcji, klepały je jak Zdrowaśki, a mimo to rytm brzmiał wyraźnie, rymy były okrągłe jak jabłka i dźwięczne. Zaczynała żałować, że nie przygotowała niczego, powiedziałyby to lepiej niż one, głos ma czysty i twardy, nie zacina się, nie sepleni, ani też nie rozciąga wyrazów jak to czyniła Iwona. Słowa nie są przecież z gumy, mają swój początek i koniec i tak trzeba je wypowiadać, inaczej tracą sens. Drgnęła słysząc swoje nazwisko, szybko roztrząca dziewczęta i podeszła do dyrektora, który przesłał jej uśmiech amanta filmowego reklamującego pastę do zębów. Zęby rzeczywiście miał piękne, uśmiech też. Dziewczyny zachwycały się nim i mdlały pod spojrzeniami dyrektora. Jedynie Majka nie uległa jego czarowi, nie dostrzegała wdzięcznych uśmiechów, nie lubiła jego żartów, bezceremonialnego sposobu bycia, nadmiernej troski i życzliwości. Uważała, że są nie na miejscu, dyrektor chyba wiedział o tym i traktował ją surowiej niż inne, rzadko się do niej uśmiechał. Tym razem ze względu na szczególne okoliczności był miły dla wszystkich, więc dla niej też. Majka odebrała świadectwo, podała mu rękę, bąknęła: dziękuję i chciała odejść.

—A nagroda? — zatrzymał ją aksamitny głos dyrektora.

—Dla mnie? — wykrztusiła zdumiona. Nie sądziła, że coś takiego ją spotka. Oszołomiona i zażenowana znów uściśnęła dłoń dyrektora, wchłonęła przyjemny zapach old spice'u, i zbyt przejęta tym wydarzeniem uciekła w tłum dziewcząt, które nie potrafiły ukryć rozczarowania:

—Ech! Tylko książka — mówiły — żeby tak coś konkretnego.

Majka trzymała książkę jak relikwię, nic nie mówiła, pierwszy raz w życiu dostała nagrodę, pierwszy raz została wyróżniona publicznie. Czuliła się trochę nieswojo, ale w gruncie rzeczy była zadowolona. A kiedy po zakończeniu uroczystości dziewczęta rozbiegły się po salach, Majka zamknęła się w ubikacji i przeczytała na pierwszej stronie tuż pod tytułem: „Wiersze zebrane”, *Mai Mleczaj, za bardzo dobre wyniki w nauce — dyrekcja szkoły...*, pieczętka i nieczytelne podpisy. Uśmiechnęła się zadowolona, zaczęła czytać: „Pani pachnie jak tuberoza...

Wiersze były jak dzwony, poruszały serce i mózg, czuła, że drży. Chciało jej się płakać i śmiać. Świat wydawał się piękny i tajemniczy... Pani pachnie jak tuberoza...

Głuchy jęk gongu wypłoszył ją z kryjówki. Nie mogła się spóźnić, musiała usiąść wraz z innymi przy stole i uśmiechać się do wychowawczynie. Taki dzień jak ten powinien być idealnie czysty, bez zgrzytów. Jeszcze dwie godziny i... bała się wymówić to słowo, żeby nie zapeszyć.

Obiad, rzecz można, wykwintny, pomidorowa z ryżem, schabowy z młodą kapustą, rozgrzane w słońcu ceraty na stolikach pachniały gumą i klejem, brzęczały usypiająco muchy. „Pani pachnie jak tuberoza”. Dziewczyny siorbały nieprzyjemnie. Majka zjadła szybko i wyszła. Wychowawczynie zatrzymała ją w przejściu.

—Za pół godziny w świetlicy — przypominała.

—Tak, wiem — powiedziała i pomknęła do sypialni. Teraz już nie miała czasu na wiersze. Wyjęła spod łóżka torbę, włożyła do niej kaptcie, szlafrok, nocną koszulę, sweater, dwie bluzki, spódnicę. Na samym wierzchu umieściła książkę, którą przed tym owinęła w gazetę, żeby się nie pogniotła i nie pobrudziła, przebrała się w spodnie i bluzę, włosy związała w koński ogon. Nie lubiła, kiedy zasłaniały jej twarz. Nigdy się nie malowała. Spryskała dłonie wodą kolońską o ostrym, męskim zapachu. Przysłała ją w paczce Beatka wraz z czekoladą, pachnącym mydłem i kakaem holenderskim, które Majka usiłowała bezskutecznie wymienić na kawę. Torbę wcisnęła z powrotem pod łóżko, żeby którejś z tych wścibskich dziewczyn nie przyszło do głowy grzebać w jej wnętrzu. W łazience obejrzała się w lustrze i po stwierdzeniu, że wygląda całkiem normalnie poszła do świetlicy. Dziewczyny zgromadzone przy kilku stolikach nakrytych lnianymi obrusami w kwiatki piły herbatę i jadły biszkopt z truskawkami, który upiekły wczoraj w tajemnicy przed nią, chciały sprawić jej niespodziankę, a teraz zajadały ciasto nie czekając na nią, i gdyby nie zapobiegliwość Iwony nie zostawiłyby dla niej nawet kawałeczka.

—Nie macie kawy? — spytała z żalem patrząc na szklanki z mętą herbatą.

Potrząsnęły głowami, na pewno nie miały. W takim dniu żadna by nie odmówiła. Podzieliłyby się ostatnim.

—Ja cię poczęstuję — pani Wanda uniosła się z krzesła. Należała do tych młodych kobiet, które przybierając na wadze nie tracą młodzieńczej werwy i ruchliwości. Pomknęła do drzwi lekko jak puszek unoszony wiatrem, jedna z dziewcząt ledwie zdążyła wcisnąć Majce list do ukochanego a ona była już z powrotem.

—Uważajcie z tymi listami — uśmiechnęła się wdzięcznie, grożąc żartobliwie palcem — wasza koleżanka zbankrutuje. Znaczkę pocztową znowu zdrożały — postawiła przed Majką kawę zaparzoną polskim zwyczajem w szklance, z kożuchem fusów na wierzchu.

Majka podziękowała powściągliwie. Nie lubiła kiedy wychowawczynie odnosiła się do niej w ten sposób, psuło to jej zdaniem porządek świata i naruszało odwieczny ład. Wzniosłe hasła o równości, braterstwie i miłości bliźniego tracą zazwyczaj na urodzie, gdy się je stosuje w życiu. Tak było i tym razem. Wychowawczynie nie przestając się uśmiechać dotknęła jej ramienia miękką dłonią, Majka zeszywniała, czułe gesty ze strony wychowawczynie były jej zdaniem nie na miejscu, rodziły gniew. Pani Wanda musiała to wyczuć i zabrała rękę.

—Jeszcze za nami zatęsknisz — zajrzała jej w oczy.

Majka skrzywiła się nieznacznie, ale nic nie powiedziała, ten spektakl jeszcze trwał i ona musiała grać swoją rolę do końca. Siedząca obok Iwona przygryzła wargi powstrzymując płacz.

—O Boże! —jęknęła z rozpaczą tuląc się do Majki i rozmazując łzy na policzkach. Innym dziewczętom też zwilgotniały oczy, popatrzyły na siebie niepewnie.

Wychowawczynie widząc, że zanosi się na zbiorowe łkanie poderwała się z krzesła i z prężnym uśmiechem plasnęła w dłonie.

—Uwaga! Dziewczynki! — powiodła surowym spojrzeniem po posmutniałych nagle twarzach. — Zaśpiewajmy Majce na pożegnanie naszą piosenkę... trzy, cztery...

„Idziemy sobie pod rękę, w słoneczny dzień majowy...”

Dziewczyny nawykłe do posłuchu podchwyciły melodię, śpiewały jednak niemrawo i nieskładnie, bez zwykłej swobody i werwy. Naprawdę były przygnębione. Nie kochały jej przecież na tyle, żeby aż tak rozpaczać, Majka nie miała złudzeń, jej osoba stanowiła jedynie pretekst. One płakały nad sobą, tęskniąc za tym dniem, który dla nich jeszcze nie nadszedł. Chodziło im głównie o ten dzień. Iwona nie śpiewała, ukryta za plecami Majki pochlipywała coraz słabiej. Wychowawczynie udawała, że nic nie widzi, albo co bardziej prawdopodobne, niewiele ją to obchodziło. Histerie dziewcząt przestały robić na niej wrażenie, przeciwnie, wywoływały wściekłość, której starała się nie okazywać.

—Jesteś spakowana? — zwróciła się do Majki suchym, oficjalnym tonem.

—Tak — skinęła z roztargnieniem głową. Dość miała tych śpiewów, pytań, hysterii i mazgajstwa dziewcząt, które powinny być twarde, zimne, wyrachowane, pewne siebie i dumne. Niestety, nie były, zasługiwały w związku z tym na pogardę, której Majka nigdy im nie okazywała. W ogóle można by sądzić, że była bez serca, nie miała nawet swoich sympatii. To raczej dziewczęta lgnęły do niej, ona nie zabiegała o niczyje względy, wszystkich trzymała w pewnym oddaleniu od siebie, na dystans.

Właściwie — myślała pani Wanda — nic jej nie można zarzucić, jest zdyscyplinowana, pilna, zachowuje się jak panienka z dobrego domu, uśmiecha się, milczy, nigdy nie wiadomo co myśli. Dobrze, że odchodzi. Wychowawczynie wołała dziewczyny mniej skomplikowane, gadatliwe, otwarte, które na co dzień wcale nie były łatwe.

Majkę nie interesowały sądy wychowawczynie, myślami przebywała już w Warszawie, zaglądała do sklepów, odwiedzała kawiarnie i objadała się ciastkami. Za oknem było niebieskie niebo, gęste, zielone głowy brzoź i było lato.

— Chodź, — wychowawczynie skinęła na nią głową — powiesz dyrektorowi do widzenia.

Majka westchnęła z rezygnacją i ruszyła za nią. Miała nadzieję, że to pożegnanie nie potrwa długo. Nie należała przecież do ulubienic dyrektora, czuła, co zresztą nie wymagało zbyt dużej przenikliwości, że on jej wręcz nie lubi, odpłacała mu z nawiązką tym samym, starając się ukrywać swą niechęć, podczas, gdy on udawał, że jej nie widzi, co zdaniem Majki było nawet wygodne.

Dyrektor lubił dziewczyny rosłe, silne, blondyny z niebieskimi oczami, powolne w ruchach i ciężkie, takie co się ozywiają jedynie na widok mężczyzn, chętnie z nimi rozmawiał, dla nich przeznaczał całą gamę uśmiechów i powłóczyстых spojrzeń, o nie ocierał się pomrukiem, a także po ojcowsku, rzecz jasna, obejmował je i przytulał. Majkę omijał z daleka. Odstraszała go zła mina i ponure spojrzenie dziewczyny, która na jego widok nie starała się nawet być miłą, złościło ją, że taki silny mężczyzna, przystojny i jeszcze młody, który powinien budować drogi i mosty nad przepaściami, albo wyciągać ludzi spod lawin, siedzi sobie wygodnie za biurkiem, w smutnym bezosobowym gabinecie z usychającą paprotką i prawi dziewczynom morały. Mężczyzna powinien pracować w trudnych czy wręcz niebezpiecznych warunkach, nie bez powodu natura wyposażyła go w siłę, natomiast w zacisznych gabinetach powinny siedzieć stare zasuszone panny albo godne matrony z biodrami jak karoserie amerykańskich krążowników szos.

Dyrektor uniósł głowę ostrzyżoną według ostatniej mody i spojrzał na Majkę z pytaniem w oczach.

—Przyszłam się pożegnać — bąknęła ponuro.

—Ach! Tak! Racja! Przecież wyjeżdżasz. A co z Iwoną? — zwrócił się z uśmiechem do wychowawczynie, która z powodu obfitych kształtów powinna mieć u niego względy, i chyba miała. Do niej właśnie skierował uwodzicielski uśmiech i powłóczyście spojrzenie. Wychowawczynie przeobrażona nagle w zalotną licealistkę sypnęła garścią banałów.

—Płacze, histeryzuje, przyszły tu razem, a teraz jedna odchodzi...

—Wiesz już co będziesz robić? — spytał dyrektor, odrywając się na moment od wychowawczynie.

—Raczej tak.

—Byłoby dobrze, gdybyś wiedziała czego nie będziesz robić, czego ci nie wolno. W przeciwnym razie, wiesz co cię czeka?

—Tak, panie dyrektorze!

—A gdybyś potrzebowała pomocy, to wiesz do kogo się zwrócić?

Majka kiwnęła głową, starając się ukryć ironiczny uśmiech.

Dyrektor podniósł się sprężysto i prawdziwie po męsku uściskał jej rękę.

—Połam nogi — rzucił w nią zaklęciem, którym żegnał wszystkie dziewczyny i z oczami pełnymi tęczyowych blasków zwrócił się do wychowawczynie.

Ale Majka już tego nie widziała, uwolniona od przykrych obowiązków dostała skrzydeł, pobiegła na górę, do sypialni, ostatni raz rzuciła okiem na podwójny rząd łóżek, wyciągnęła swoją torbę zamykaną na błyskawiczny zamek, sprawdziła czy nic nie zginęło, a upewniwszy się, że nie, wyleciała z powrotem na korytarz, gdzie już czekał na nią orszak złożony z dziewcząt, które przyszły się pożegnać. „Cześć, cześć, do zobaczenia” — Majka rozdawała całusy, nie rozróżniając twarzy, nie dbała już o nic. „Za chwilę — myślała — one znikną jak obraz z prześwietlonej kliszy”. Nigdy ich już nie zobaczy.

Dziewczyny pachniały potem i tanimi dezodorantami, co było jeszcze gorsze, ich popękane ręce kłuły w ramiona, drapały w szyję, błagalne szeptu wpijały się w uszy.

„Pozdrów Freda, nie zapomnij zadzwonić do Grubego. Powiedz Maćkowi, żeby przyjechał”.



Och! Udało jej się wreszcie wyzwolić z tych lepkich ramion, wytarła ukradkiem twarz mokrą od pocałunków i w towarzystwie Iwony wyskoczyła na obszerny dziedzi-  
niec zalany słońcem, gdzie pobrzękując kluczami czekała na nią pani Wanda.

—Czy mogę odprowadzić Majkę na przystanek? — spytała przymilnie Iwona.

—Nie ma mowy — odburknęła wychowawczyni.

Z oczu Iwony trysnęła nowa fala łez. Majka zdawała się ich nie dostrzegać, szybkim krokiem, jakby bojąc się, że w ostatniej chwili zostanie zatrzymana, zmierzała do bramy. Iwona płacząc wsunęła jej gryps do kieszeni. Wychowawczyni zauważyła oczywiście ten charakterystyczny ruch ręki i lękliwie spojrziała na boki, ale nie zareagowała, czasem i ona miała dosyć tej cholernej czujności, szpiclowania, węszenia i karcenia. Była przecież tylko człowiekiem, zwyczajną kobietą, która kiedyś w młodości dokonała złego wyboru i ukończyła pedagogikę specjalną.

—Oddaj mu ten list — szeptała Iwona — i powiedz, że prysnę jak mi nie dadzą przepustki.

Łzy przestały cieć z jej oczu, zastygły na policzkach jak krople deszczu na szybach.

—Nie rób głupstw! Zwolnią cię na święta. — Majka przygarnęła ją do siebie, pocałowała żartobliwie w czoło i własną chusteczką wytarła jej twarz.

—Napiszę jak się tylko urządzę. Cześć! — pomachała dziewczynom, otaczającym wianuszkami wychowawczynię i wyskoczyła za bramę, którą otworzył znudzony strażnik. Iwona coś jeszcze mówiła głosem pełnym, rozpacz, bólu i łez, Majka już nie słyszała, nie chciała słyszeć, ciężka żelazna brama i dwumetrowy mur odgradzały ją szczelnie od tamtego świata. Złowrogi szczeł metalu drgał przez chwilę w czystym powietrzu i umilkł, na czerwonej tablicy z napisem: „*Zakład poprawczy w Zakrzewiu*” padł cień. Kil-kusetmetrowy odcinek wzdłuż muru Majka przebyła w czasie zbliżonym do rekordu świata, przy końcu stanęła zdyszana, objęła wzrokiem rozległą przestrzeń, kończącą się ciemną ścianą lasu i roześmiała się. Była wolna, nareszcie wolna. Z lubością wypowiadała to słowo, jakby nie do końca wierząc w to co się zdarzyło, a przecież tak nie było, wierzyła gorąco od samego rana. Teraz czuła się przepełniona jakąś dziwną jasnością, która nie emanowała z niej tylko dlatego, że ostry blask słońca tłumił ją zazdrośnie, słyszała nawet muzykę, zdyszany nieco walc niósł się powolnym rytmem od pól, słońce tuliło się do jej ramion, a biała muślinowa suknia układała się w miękkie fale. Głos wodzireja pulsował wesołą beztróską: *Wszystkie pary tańczą, wszystkie pary...* nagle czar prysł, wokół nie było nikogo, z kim mogłaby się podzielić tą niezwykłą radością, a tak bardzo pragnęła powiedzieć do kogoś: „Jestem wolna”. Chciała, żeby ten ktoś to potwierdził, skinął

głową, też się uśmiechnął, ucieszył. Droga, wysypana żwirem była przerażająco pusta, omijały ją nawet ptaki, tylko niestrudzony skowronek tkwił w górze jak gwóźdź wbity w przejrzysty błękit.

Kiedy po pół godzinie dotarła do przystanku, granatowy autobus odpływał majestatycznie w dal, nie rozwijał wprawdzie oszałamiającej szybkości, ale o dogonieniu go nie mogło być *mowy*. Usiadła więc w przydrożnym rowie i obserwowała przejeżdżające samochody. Nie było ich wiele, szosa należała do czwartej czy piątej kategorii odśnieżania i autobusy kursowały tu rzadko, ostatnio skasowano nawet jeszcze jeden popołudniowy. Majkę niewiele to obchodziło, jednak wolałaby wcześniej znaleźć się w domu. I tak cieszyła się, że nie pada, gdyż o podróży na tych smutnych drogach nikt nie myśli, nigdzie nie zauważyła nawet kawałka daszku czy ławki. Nic się tutaj nie działo, wieś oddzielona od szosy kościołem i proboszczówką pozostawała niewidoczna, z czego była zadowolona, nie lubiła tych ze wsi, zwłaszcza chłopaków, chociaż dziewczyny były nie lepsze ale bardziej powściągliwe, nie zaczepiały ich nigdy, nie obrzucały wyzwiskami, a chłopcy owszem, jak się upili, przychodzili pod zakład i wykrzykiwali różne świństwa, a potem jak gdyby nic umawiali się z dziewczynami na randki. Majce też proponowali spotkania, ale ona nigdy się z nimi nie umówiła.

Wydostała książkę z wierszami i dopiero teraz odczytała nazwisko autora: Julian Tuwim, znała je, jeszcze z podstawówki, kiedy uczyła się na pamięć wiersza pt. Lokomotywa: *Stoi na stacji lokomotywa i pot z niej spływa, tłusta oliwa... Stoi i sapie*, a dalej coś o atletach, nie mogła sobie przypomnieć. W książce nie znalazła tego wiersza. ..., „Stoi na stacji”... Usłyszała nadjeżdżający samochód, wyskoczyła na szosę, uniosła rękę. Samochód przemknął obok i pęd powietrza uderzył ją po nogach. Wróciła do rowu i do wierszy, lecz za każdym razem, kiedy usłyszała samochód wyskakiwała na szosę, podnosiła rękę, nikt się jednak nie zatrzymał, jedynie ciężarówka wioząca żołnierzy przystanęła na chwilę, roześmiani chłopcy o ogorzałych twarzach zapraszali ją do środka. Odmówiła. Bała się ich niecierpliwych rąk, zgłodniałych oczu. Byli grzeczni, naprawdę, i serdecznie ją zapraszali, a ona odmówiła, potem, kiedy odjechali z buńczucznyim śpiewem, zrobiło jej się ich żal. Byli tacy sami jak ona przed chwilą, wtłoczeni w tryby obcego im świata, uzależnieni od kaprysów przełożonych, od ich humorów, ona wyrwała się wreszcie z tego życia, mogła sobie gwizdać na rygory, rozkazy, rozkłady dnia i pobudki, podczas gdy oni tym żyli, musieli, nie mieli wyjścia. Powróciła do rowu, znużyło ją czytanie wierszy, teraz by się chętnie zdrzemnęła, niedospane noce dawały znać o sobie, jednak musiała nasłuchiwać, wpatrywać się nieustannie w błękitną wstęgę szosy, łykać kurz i spaliny spod smyrgających aut, i czekać. Czas był jak ocean, nie miał końca, nie poruszał się, nie płynął, stał w miejscu i Majka kontemplowała ten fakt ze

zdumieniem. Dotąd zawsze brakowało jej czasu, poranki goniły noce, południa wieczory, a dziś czas zamarł raptownie, usiadł wygodnie gdzieś w cieniu nad rzeką i kpił sobie z biednych ludzi uzależnionych od cykania zegarków.

Znów wybiegła na szosę i bez przekonania machnęła ręką, nie mogąc zdobyć się nie tylko na uśmiech dla kierowcy, ale nawet na przyjemny wyraz twarzy, patrzyła gdzieś w dal przed siebie, a uniesiona ręka usiłowała zatrzymać samochód i wtedy, kiedy już na nic nie liczyła, stał się cud, koła nyski zaryły się w piasku na poboczu, czyjeś silne ręce wciągnęły ją wraz z torbą na platformę, a kiedy zachwiała się, ponieważ nyska ruszyła za szybko, te same ręce przytrzymały ją, tak była tym przejęta, że dopiero siadając na skrzyni spostrzegła roześmiane oczy chłopaka i jego ogorzałą twarz, inną od tamtych, które widziała przez chwilę, gdy wojskowy samochód zatrzymał się przy niej. Chłopak patrzył na nią z sympatią, uśmiechał się coraz szerzej i z każdą sekundą zyskiwał na uroku. Odpowiedziała mu uśmiechem i odwróciła twarz. Przestraszyła się swoich myśli i nie chciała, żeby ten chłopak, który zjawił się nagle wyczytał cokolwiek z jej oczu. Nie miał chyba takich zamiarów, bo sięgnął za siebie do skrzyni, pogrzebał w niej i podał jej garść czereśni.

— Prosto z drzewa — popatrzył na nią z jakąś dziwną powagą i skupieniem. Majka czując na sobie jego wzrok zawahała się.

Boże! — pomyślała znowu. Nigdy jeszcze nie doznawała takich uczuć, nigdy nie sądziła, że czyjeś spojrzenie może palić, budzić jakieś dziwne tęsknoty, nieznane pragnienia. — Chyba zwariowałam — dotknęła ręką twarzy. Była rozpalona, gorąca.

—Bierz! — zachęcał ją chłopak — to nie jest zakazany owoc, a ja nie jestem wężem kusicielem, zamienionym w człowieka, ten samochód też nie jest rajem. W raj, jak ci wiadomo, rosło drzewo mądrości, przywykliśmy uważać, że była to jabłoń... mnie się jednak wydaje...

—To nie jest temat do żartów — wtrącił ponuro kierowca, odwracając się do chłopaka — jest tak jak napisane, wąż skusił Ewę do zjedzenia jabłka, Ewa dała jabłko Adamowi i od tego się wszystko zaczęło.

—Jasne — potwierdził skwapliwie chłopak, który najwidoczniej nie miał ochoty wdawać się w dyskurs z kierowcą — od tego się wszystko zaczęło — mrugnął nieznacznie do Majki. — Nie masz przypadkiem na imię Ewa?

—Przypadkiem mam na imię Majka. — Wzięła od niego czereśnie i podziękowała. — A ty?

—Marcin, ten co przyjeżdża na białym koniu, otula ziemię ciepłą pierzyną, zasypuje drogi, bo chce, żeby ludzie siedzieli w domach i odpoczywali.

Roześmiała się. Ten chłopak był naprawdę inny niż wszyscy, a słowa wypowiedane jego ustami brzmiały melodyjnie i pięknie.

—Nie boisz się wędrować stopem sama jedna?

—Ja nie wędruję, spóźniłam się po prostu na autobus... — popatrzyła na niego zdumiona. — A czego miałabym się bać... Nie wyglądasz na zbrodniarza...

—Pozory mylą. Niedawno czytałem o dwóch chłopczkach o aniołkowatych twarzach, co zamordowali człowieka... Nas też jest dwóch... Mamy samochód, w każdej chwili możemy skrócić w las...

—I co? — nie przestawała się uśmiechać, a jednocześnie oceniała realnie swoje szanse. Zrobiła głupstwo decydując się na stop... ale nie pozwoli się zgwałcić, tym bardziej zamordować, wyskoczy z wozu, jeżeli zauważy coś podejrzanego, jednak nie bała się, instynktownie czuła, że ten chłopak nie zrobi jej krzywdy...

—I co? — powtórzył groźnie — nadal się nie boisz? Słyszysz pan? —Zwrócił się do kierowcy — ta młoda dama nie ogląda filmów kryminalnych, 997, nie czyta kroniki wypadków...

—Przestań! — skarcił go ostro kierowca — nie strasz dzieciaka. Teraz wszyscy strasznie nerwowi.

—Przepraszam — Marcin znów się uśmiechnął i jego twarz nabrała dziwnego blasku i światła. — Masz szczęście. Trafiłaś na porządną ludzi, nie zrobimy ci krzywdy. Powinnaś jednak uważać i jeździć autobusem lub pociągiem, świat roi się od drani i od zbrojców.

—A dokąd ty właściwie chcesz jechać? — zainteresował się kierowca.

—Do Warszawy, myślałam, że panowie również.

—My do Wiśniewa, to po drodze, stamtąd masz co godzinę autobus.

—Dziękuję — bąknęła i posmutniała. Nie przypuszczała, że podróż w towarzystwie tego chłopaka będzie trwała tak krótko. Nie wiadomo na co liczyła, w każdym razie pragnęła być przy nim jak najdłużej.

—Nie chciałabyś zarobić? — zwrócił się do niej chłopak z uśmiechem pełnym obietnic.

Wzdrygnęła się nieprzyjemnie. Potraktował ją jak zwykłą żdzirę. Ma rację, czego można się spodziewać po dziewczynie z poprawczaka.

—Nie bój się — ujął ją delikatnie za rękę — Nic złego nie miałem na myśli. Chodzi o uczciwy zarobek, przy czereśniach i truskawkach, jak się przyłożysz zakosisz czterysta albo pięćset patoli.

—Nie przesadzaj! — zgasił go kierowca — nie widzisz, że to delikatna dziewczyna, będzie dobrze jak wyciągnie dwie stówy.

—A przyjmą mnie? — zainteresowała się Majka.

—Z otwartymi ramionami — roześmiał się Marcin — z orkiestrą dętą... Widzisz dziecinko, Polska to dziwny kraj, tu błagają człowieka, żeby zechciał pracować, a ludzie nie chcą, grymaszą. Wybrzydząją... Płacą nam w złych pieniądzach.

—Spróbuj bez nich żyć — wtrącił ze złością kierowca.

—Właśnie próbuję... — odpowiedział Marcin.

—Płacąc za obiad czterdzieści tysięcy... Tak? Nie udawaj idealisty, nikt się na to już dziś nie nabierze. Życie bez forsy nie ma po prostu sensu —uśmiechnął się zadowolony ze swojej tyrady. Marcin prychnął pogardliwie, nie interesowało go credo życiowe kierowcy, patrzył z niepokojem na Majkę i czekał, co ona powie.

—Ty też tak uważasz? — zapytał.

Roześmiała się, miała ochotę zaprzeczyć, żeby mu się przypodobać, ale zmieniła zamiar, nie chciała zaczynać nowego życia od kłamstw.

—Tak — potwierdziła niechętnie.

Twarz Marcina przygasła.

—Szkoda — westchnął zawiedziony — myślałem, że należysz do bractwa beztro-  
skich wagabundów.

—A jest takie? — zapytała z zaciekawieniem.

—Nie wiem, ale powinno być. Muszą istnieć ludzie, którzy żyją beztrosko, nie myśląc o forsie.

Kierowca zaśmiał się sarkastycznie.

—Bez forsy, beztrosko, co za bzdury!

Majka nie zwracała uwagi na jego słowa.

—Jeżeli spotkasz takich ludzi — powiedziała do Marcina — daj mi znać, chętnie do nich dołączę...

Samochód skręcił nagle w boczną drogę, Majka zerwała się przerażona, chwyciła torbę i jednym skokiem dopadła drzwi, nacisnęła klamkę.

—Co ty wyprawiasz? — Marcin odciągnął ją od drzwi, zatrzasnął je w biegu. — Myślisz, że my naprawdę? Patrz, tu są ludzie, nic ci nie grozi, a tu dom naszego milionera. Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić. Jesteśmy w Wiśniewie.

Majka przylgnęła do okna i wyglądała na drogę. Rzeczywiście, zza strzelistych świerków wynurzył się budynek mieszkalny, przypominający bunkier, ciężka piętrowa bryła z płaskim dachem, dużymi oknami i przypiętymi do nich balkonami, upstrzonymi w niebiesko-różowe wzorki. Psy na widok samochodu z głośnym ujadaniem rzuciły się do bramy. Marcin gwizdnął i psy rozbiegły się po niezbyt schludnym dziedzińcu. Z domu wyskoczył gospodarz i otworzył bramę. Marcin pomógł Majce wydostać się z wozu, podziękowała mu uśmiechem, lecz nie odchodziła od drzwi. Bała się psów, które przyleciały znowu i łaśliły się do Marcina.

—Nic ci nie robią, no, pogłaskaj Barona, uważaj na Cygana, gotów cię przewrócić z miłości. — Majka położyła ostrożnie rękę na grzbiecie Barona, a on ją polizał. Cygan szykował się do skoku. Marcin odpędził go i pchnął Majkę w stronę właściciela, którym był pan Kazio, nieogolony mężczyzna bez wieku, o pyzatej twarzy i małych ruchliwych oczkach, ubrany w luźne spodnie na szelkach i przepocony podkoszulek. Bawił się tymi szelkami i udawał, że nie zauważa Majki.

—Panie Kaziu! — zwrócił się do niego Marcin — przywieźliśmy panu nowego pracownika.

—Dziewczynę, chciałeś powiedzieć — skrzywił się pan Kazio. Mrużąc oczy popatrzył na nią pod światło. Ukośne promienie czerwcowego słońca cięły go niemiłosiernie po oczach, a jednak nie odwrócił się. — Będzie kłopot — orzekł wreszcie i wsunął rękę do kieszeni.

—Dlaczego? — zdziwił się Marcin.

—Z dziewczynami zawsze są kłopoty. Czyżbyś o tym nie wiedział? —roześmiał się ubawiony.

—Nie rozumiem, dlaczego? — nie przestawał dziwić się Marcin.

—Gdzie ja ją ulokuję?

—W takim razie pojedę do domu — Majka sięgnęła po torbę —gdzie tu jest przystanek pekaesu?

—Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana — zatrzymał ją pan Kazio. — Trzeba się zastanowić, jeżeli zgodzisz się spać razem z nimi w szopie — wskazał Marcina i chłopca, który nadchodził z wózkiem pełnym łubianek — możesz zostać.

—To Zbyszek — powiedział szybko Marcin. — Chodź tutaj i przedstaw się! — zawołał na niego.

Chłopak zostawił wózek i przybiegł.

—Do usług! — zsalutował śmiejąc się i ścisnął jej rękę, a widząc niezadowoloną minę gospodarza pomknął z powrotem do wózka, przebierając śmiesznie długimi nogami. Wysoki i chudy, z niesfornymi wąsami, które wyglądały jak przyklejone, przypominał Don Kichota.

—No jak? Zostajesz z nami? — spytał z niepokojem Marcin.

—Pojadę do domu — oświadczyła zdecydowanie. Ten chłopak był księciem z bajki, nie dla takich jak ona. — Do widzenia—wyciągnęła do niego rękę, którą on porwał z wielkim żarem i przytrzymał.

—Nie puszcę cię — zawołał gorąco, a w jego oczach pojawił się nagły lęk. — Przecież chciałaś zarobić, prawda? Wiesz co? Prześpiemy się ze Zbyszkim w namiocie, a ty w szopie. Zamkniesz się od środka i nikt ci nic nie zrobi. Obudzę cię rano, przed śniadaniem. No, dawaj torbę, zaniosę do szopy. Tu ci nic nie zginie...

Z domu dolatywały głośne rozmowy kobiet, ich śmiech. To zdecydowało, sama za nic w świecie nie zostałyby wśród tych mężczyzn, którzy mimo wszystko budzili w niej lęk. Tylko Marcin był inny, czysty, otwarty jak gościnna brama z porażającym światłem w oczach, z uśmiechem obiecującym spokój i radość, a kto wie czy nie szczęście. Powiedziała więc, że zostaje. Nagrodą za te słowa był jego uśmiech.

—No to bierz się do roboty — zarządził pan Kazio i przyciągnął z szopy wózek wypełniony łubiankami.

—Teraz? — zdziwiła się Majka. — Jest wpół do siódmej!

Pan Kazio parsknął śmiechem, skinął na nią głową i kazał iść za sobą. Zdumiona ruszyła za nim bez słowa, doszli do drogi, która oddzielała jego gospodarstwo od PGR. Na pegeerowskich polach też były truskawki, ale tam przejrzałe owoce gniły, spadały na ziemię i nikt nie zbierał.

—Przyjrzyj się tym polom — powiedział ze złym błyskiem w oczach. — Widzisz? Tu jest socjalizm — wskazał spory kawałek ziemi leżącej odłogiem — a tu — odwrócił się z dumą do swoich solidnych zabudowań, wskazał ręką na ogrodzenie z metalowych prętów i olbrzymi bunkier, który był jego domem — a tu, tu się pracuje. Jasne?

—Jasne — potwierdziła z podziwem.

Właściciel zadowolony z efektu, jaki zrobiły na dziewczynie jego słowa uśmiechnął się i zaprowadził ją na pole, gdzie Zbyszek z Marcinem uwijając się jak pszczoły napełniali truskawkami łubianki.

\* \*  
\*

Ten dzień był rzeczywiście bardzo długi, najdłuższy chyba ze wszystkich. Majka czuła już piekący ból w krzyżach, a słońce jeszcze nie zaszło, dopiero zbliżało się krwistą plamą do linii horyzontu i rozciągało po niebie pomarańczowe i złote wstęgi. Przycupnięta nad łubianką, z językiem wysuniętym na brodę, w gorączkowym pośpiechu zrywała dojrzałe owoce, nie zwracała uwagi na Marcina, który prostując ramiona uśmiechał się do słońca i do niej.

—Wspaniale! — zawołał. — Spójrz! Widziałaś gdzieś taki obraz?

—Ile zarobię? — spytała.

—Dzisiaj raczej niewiele, ale jutro zostaniesz milionerką.

—Nie żartuj, ja poważnie.

—Weź moje łubianki i wstaw na swój wózek.

—No, wiesz? — oburzyła się — do czego ty mnie namawiasz? Nie jestem pasożytem, nie biorę zapłaty za cudzą pracę.



—Mnie aż tak nie zależy na forsie.

—Mnie zależy, ale nie wezmę — pochyliła jeszcze niżej głowę, przebierała błyskawicznie palcami obu rąk. Wkrótce odstawiła pełną łubiankę i sięgnęła po następną. Wyprostowała się na moment, ale nie patrzyła na słońce, uśmiechnęła się do Marcina. On był piękniejszy niż wszystkie krajobrazy.

—Nie lubisz pięknych widoków — westchnął zawiedziony nie mogąc oderwać oczu od rozległej panoramy.

—Lubię — mruknęła i odwróciła się tyłem do słońca, które ciągle raziło wzrok — ale zostałam tu po to, żeby pracować.

—Pomogę ci — ruszył w jej stronę.

—Nie chcę — powstrzymała go szorstko — powiedziałam już. Każde z nas pracuje na swój rachunek. Niby dlaczego miałbyś mi pomagać?

—Widocznie mam jakiś powód — wrzucił garść truskawek do jej łubianki. Majka odskoczyła od niego jak oparzona.

—Nie lubię się powtarzać — wycedziła ze złością. — Każdy pracuje na swój rachunek.

O zmierzchu, kiedy liście i owoce tworzyły jednolite ciemne plamy, matka pana Kazia zawołała ich na kolację. Majka nie czuła głodu, nawet widok jajeczniczy na boczku nie pobudził jej apetytu. Napila się przesłodzonej herbaty i poszła do szopy, wybiegła jednak stamtąd zaraz, niosąc dwa prześcieradła, które bardziej przypominały kolorem ziemię niż jakiegokolwiek płótno.

—Czy to jest pościel dla mnie? — spytała zwracając się ponuro do gospodyni. Ta bez słowa wyrwała prześcieradła z jej rąk, rzuciła je w kąt i przyniosła czyste. Majka podziękowała i życząc wszystkim „dobrej nocy” odeszła do szopy, oświetlając sobie drogę latarką. Chłopcy sprawiedliwie podzielili się jej jajecznicą.

Trochę się sobie dziwiła, że z własnej nieprzymuszonej woli zamieniła się w robota, pełzającą mrówkę czy konia. A tak jeszcze niedawno wraz z dziewczynami śmiała się z dyrektora, gdy wygłaszał patetyczne hymny o pracy. Praca miała je uszlachetnić i przeobrazić, „przywrócić na łono społeczeństwa”, które w sumie niezbyt się przepracowywało. Pod tym względem Majka nie różniła się od innych, ale teraz chciała zarobić, zależało jej na pieniądzach, które z dnia na dzień traciły na wartości. W zakładzie każdy tysiąc

złoty wydawał się wielką sumą, sądziła więc, że pracując od świtu do nocy zarobi Bóg wie ile. Chłopcy nie mieli takich złudzeń i raczej nie wypruwali sobie żył. Marcin często gapił się w niebo, stada pulchnych obłoczków interesowały go bardziej niż truskawki, przerywał zrywanie i ćwiczył biegi, a w południe leżał sobie w cieniu na trawie i czytał. Majka nie miała mu tego za złe, ostatecznie każdy ma wolną wolę i robi to co uważa za stosowne, było jej tylko przykro, że on zostawia ją w piekącym słońcu na polu a sam odpoczywa. Dopiero, kiedy zaczęło padać i zbieranie truskawek stało się niemożliwe, mogła nieco odsapnąć. Wybrała się z Marcinem do miasteczka na lody, bardziej jednak niż lody, wyjątkowo wodniste i chude, interesowały ją sklepy, których nie było wiele, ale i te wystarczyły, żeby osłabić jej zapał do pracy. Zorientowała się nagle, że za uzyskane z takim trudem pieniądze niewiele kupi. Wróciła do Wiśniewa rozszalona i zła i gdyby nie noc i brak połączenia z Warszawą pojechałaby do domu.

Poszła jak zwykle spać wkrótce po zapadnięciu zmroku, ale długo nie mogła zasnąć. Z przerażeniem myślała o przyszłości. Nie wiedziała jak ułoży się w domu, i co będzie z pracą. Marcin ze Zbyszkiem gadali w swoim namiocie i słuchali radia, a ona nie miała odwagi pójść do nich. Bała się, że to jakoś opacznie zrozumieją i zaczną się do niej kleić, całować i w ogóle. Wczoraj z Marcinem miała drobną przeprawę, więc wolała uważać. Niby nic się nie stało, a jednak... Kiedy szła z łubiankami w pole potknęła się, Marcin to wykorzystał, najpierw ją przytrzymał, ratując przed upadkiem, potem pociągnął do siebie, objął i pocałował namiętnie w usta. A ona nie odepchnęła go, nie uciekła, co gorsza, nawet nie drgnęła, stała jak sparaliżowana w nagłym olśnieniu i przerażeniu, i nie wiedziała co robić. Pocałunek trwał długo i obezwładnił ją. Majka chciała, żeby trwał wiecznie. Jednak Marcin zepsuł tę chwilę jednym niepotrzebnym ruchem, wsunął jej rękę pod bluzkę. Czar przysł, przyszło opamiętanie. Majka w żadnym wypadku nie mogła zachować się jak pierwsza lepsza dziewczyna z poprawczaka. Jednym błyskawicznym ruchem, którego nauczyła się na wuefie powaliła go na ziemię, poprawiła sukienkę i schyliła się po łubianki. Marcin również się podniósł. Spodnie miał pobrudzone ziemią, ale tego nie widział.

—Nieży z ciebie numer — gwizdnął z podziwem, jednak błękit w jego oczach stracił blask i skore do uśmiechu usta skurczyły się nagle. — Szkoda — westchnął z żalem — myślałem, że ci się podobam.

—Bierzmy się do roboty — powiedziała szorstko. Pozbierała łubianki i ruszyła przed siebie, uważając, żeby się nie potknąć. Marcin szedł za nią, ale się nie odzywał.

Incydent poszedł w niepamięć, nie rozmawiali o nim, zresztą na polu był już Zbyszek, anemiczny blondynek o twarzyczce dziecka. Nosił kowbojski kapelusz, który

zdejmował z namaszczeniem tylko na czas trwania posiłków. Marcin chociaż nie był atletą wyglądał przy nim jak okaz zdrowia. Obaj zrywając eksportowe okazy „ananasów” przekrzykiwali się, wymieniając uwagi na temat samochodów, wyjazdów zagranicznych i muzyki rockowej. Majka nie włączała się do tych rozmów, ponieważ na żaden z poruszanych przez nich tematów nie miała nic do powiedzenia.

Dzisiaj w miasteczku Marcin rzucił się nieprzytomnie na książki, kupił kilka tomów i tak był tym przejęty, że o niczym innym nie mówił. Kiedy wracali pieszo przez las deszcz ustał i wiatr zlizywał z nieba ostatnie chmury, spod których ukazywało się białe gorące słońce. Pachniała ziemia i las. W pobliżu nie było nikogo. Mogli się całować do woli. Marcin jednak szedł niezwykle poważny, gadał o książkach, nawet nie przyszło mu do głowy, by wziąć ją za rękę. Majka nie miała odwagi tego uczynić. Nie mogła ani na chwilę zapomnieć, że jest dziewczyną z poprawczaka, wiedziała co wypada jej robić, a czego w żadnym wypadku nie wolno. Teraz, gdy ucichły głosy chłopaków nie mogła zasnąć. Leżąc w ciemnościach z otwartymi oczami wsłuchiwała się w ciszę. Nagle jakieś lękliwe chrobotanie rozległo się w pobliżu, błysnęła zapalka, chrobotanie przeniosło się dalej, ale sen nie przychodził. Czuła się winna wobec Marcina. Dotąd nic mu o sobie nie powiedziała. Pytania o dom i o szkołę zbywała żartami. Z uwagą wysłuchiwała tego, co on mówił na temat wierszy i książek. Sama o nic nie pytała. Wiedziała, że tak nie może być zawsze. Kiedyś będzie się musiała odsłonić.

Zasnęła dopiero nad ranem w swetrze i spodniach, gdyż noc była wyjątkowo zimna. Śnił jej się, jak tego pragnęła, Marcin w dziwnej bardzo scenerii, w „Wesołym miasteczku” na karuzeli. Kręcił się wśród pięknych dziewczyn modnie ubranych, a ona stała w tłumie na dole, machała do niego ręką, wołała: „Marcin, to ja, to ja, Marcin”. Nie słyszał albo co gorsza udawał, że nie słyszy, usiłował dogonić jedną z tych dziewczyn, roześmianą i wyjątkowo piękną, która umykała przed nim wraz z krzesłem. Nagle zniknęli, najpierw on, potem ta dziewczyna... Po chwili pojawili się znowu tym razem na jednej ławce górskiej kolejki, w szalonym pędzie wspinali się na szczyty, ześlizgiwali z nich, wpadali w przełęcz, znów wyjeżdżali na szczyty, a Majka przytwierdzona do ziemi, ciężka, bezsilna, pozbawiona zdolności poruszania się, płakała bezdźwięcznie gorącymi łzami, serce pękało jej z bólu...

—Wstawaj! — usłyszała zrzędlivy głos pana Kazia — słońce świeci, owoc podsechł, trzeba się spieszyć!

Majka naciągnęła na głowę koc. Chciała dogonić we śnie Marcina, powiedzieć mu coś ważnego, oderwać go od tej ślicznotki.

Drzwi rozwarły się z przeraźliwym wyciem i do szopy wpadł rozwścieczony gospodarz wymachując rękami.

—Co ty sobie wyobrażasz! Że jesteś tu na wczasach? Tu nie socjalizm...

—Gdzieś mam socjalizm. — Majka wygrzebała się spod koców, poprawiła na sobie sweter, podeszła do miski z wodą i przemyła twarz, pan Kazio patrzył na nią z jakimś dziwnym uśmieszkiem, jakby ją zobaczył po raz pierwszy.

—Mówiłem ci, socjalizm to tam — pokazał ręką na drogę — a tu się pracuje.

—Gdzieś mam pańską pracę.

Gospodarz uśmiechnął się. Majka wy dostała grzebień i zaczęła się czesać.

—Wiesz co? — podszedł do niej z przymilnym uśmiechem — dzisiaj skończysz wcześniej. Zabiorę cię do miasteczka. Zabawimy się jak należy...

—Mam gdzieś pańską zabawę i pańskie zaplute miasteczko. W życiu nie widziałam podłej dziury.

—No, no, uważaj do kogo mówisz! — oburzył się dobrotliwie i nie przestawał się do niej uśmiechać.

Majka po nieprzespanej nocy poczuła przyływ buntu.

—Nie chcę uważać! — wrzasnęła, pakując szczotkę do zębów i grzebień do torby. — Mam dosyć! Nie chcę pańskiej zabawy i tej parszywej lury, którą wy tu nazywacie kawą, nie chcę więcej jeść chleba z margaryną. Mam dosyć! Poproszę o wypłatę i słydam stąd.

—Wypłatę dostaniesz wieczorem. Dziś sobota.

—Nie mam zamiaru czekać do wieczora. Chcę się stąd wynieść już.

—Powiedziałem wieczorem. A teraz do roboty! Owoc nie może się zmarnować.

—Nic mnie nie obchodzi pański owoc — chwyciła torbę i wybiegła na zewnątrz. — Marcin! Zbyszek! Marcin! — zawołała głośno, co było zbyteczne, bo obaj chłopcy ładowali obok świeżo zerwane truskawki do samochodu. — Chodźcie tutaj! Szybko!

Chłopcy przybiegli natychmiast.

—O co chodzi? Co on ci zrobił — zapytał z przejęciem Marcin, gotowy do działania.

—Ten człowiek — oznajmiła za złym błyskiem w oczach i wskazała na gospodarza — nie chce mi zapłacić za sześć dni ciężkiej harówki. Idziemy na posterunek! Będziecie za świadków. Pracowałam uczciwie, mam tu zapisane wszystkie dniówki, wszystkie łubianki, on też zapisywał, więc chyba wie, ale jak chce beknąć za zatrudnianie nieletnich, to jego sprawa. Idziemy!

—No, ty, nie nawijaj — krzyknął na nią pan Kazio. — U mnie nikt nie pracuje za darmo. Tu nie socjalizm! — wyjął niechętnie notes i liczył bez pośpiechu, chcąc ją tym zdenerwować. Ona już się uspokoiła, żałowała nawet swojej decyzji i sprzeczki z gospodarzem, który na dobrą sprawę w niczym nie zawinił, ale śmiał jej proponować jakąś zarzyganą knajpę, bo co mogło oznaczać to „zabawimy się”, chyba nie dom publiczny. Gdyby taki był w tej dziurze nie usiłowałby zalecać się do niej. Co się stało, to się nie odstanie, a jednak żal Marcina.

—Masz w domu telefon? — spytała.

Marcin pokręcił głową.

—Szkoda, zadzwoniłabym do ciebie, zapytać jak leci.

—Nie możesz zostać do końca? Wyjechalibyśmy razem.

—Teraz już nie.

—Masz, licz! — gospodarz wyciągnął z kieszeni rulon banknotów, odliczał piątkami, plując na palce. — Trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Gdzie ty tyle zarobisz?

—Prawdopodobnie nigdzie, ale też nic za to nie kupię.

—Za wyżywienie nie liczę...

—Jeszcze tego brakowało? — nie wytrzymała Majka.

—Przelicz dokładnie. Założę się, że w życiu nie widziałaś takiej forsy.

Majka uśmiechnęła się drwiąco.

—Przegrałby pan... Dziękuję — schowała pieniądze do kieszeni.

—No, nic tu po was — pan Kazio popatrzył groźnie na chłopaków — bierzcie się do roboty!

—Ja też poproszę o wypłatę — odezwał się cicho Marcin.

— Ty? Co cię znów napadło, źle ci tu? — wrzasnął gospodarz.

—Jest mi wspaniale — roześmiał się Marcin — ale mam dosyć.

— Ty też — pan Kazio spojrzał nieprzyjaźnie na Zbyszka.

—Nie — odpowiedział Zbyszek — ja nie zwariowałem, zostaję — pomachał im ręką i pognał ładować truskawki.

—Zaczekam na ciebie na drodze — powiedziała do Marcina, który stał niezdecydowany ze zwitkiem banknotów w zaciśniętej dłoni.

—Do widzenia panu — skinęła gospodarzowi głową. Nie czuła do niego nienawiści, nic jej złego nie zrobił, ona jemu też nic. — Co złego to nie ja... — dodała zamiast przeprosin, ale on zły, że traci robotników, odszedł bez słowa do swojego bunkra.

Marcin przybiegł z niewielkim plecakiem na ramionach i wymachując kartką wołał:

*Biegiem za tobą i biegiem*

*Przez pola, mosty zerwane*

*Przez grząskie śliskie drogi*

*Przez puste zimne noce ...*

—To twój? — spytała patrząc jak wiatr rozwiewa mu proste włosy.

Spuścił skromnie oczy i potrząsnął głową.

—Wspaniały — orzekła z przekonaniem — przypomina mi wiersze Tuwima.

—Naprawdę? — chwycił ją za rękę. — Lubisz wiersze Tuwima? Skinęła głową.

—Och! Jesteś cudowna! Mądra, wrażliwa i piękna — żar bił od niego, ścisnął ją za rękę, lecz nie miał odwagi pocałować jej czy choćby przytulić. Mówił gorączkowym szeptem dotykając ustami jej włosów, że wtedy na szosie, gdy tak stała jak statua wolności z uniesioną ręką, dumna i nieprzystępna, wydała mu się kimś obcym, przeniesionym z innego świata, pełnego mrocznych tajemnic. Obserwował ją przez wszystkie te dni, kiedy pracowali razem, ale nadal nic o niej nie wie, trudno z nią nawiązać kontakt, milczy, nie odpowiada na pytania.

—Ty przecież o nic nie pytasz — roześmiała się.

—Nie mam odwagi.

—Dlaczego? Jestem zwykłą dziewczyną, niezbyt mądrą i niezbyt ładną. Wielu rzeczy nie wiem... Mam szalone braki w edukacji...

—Kto ich nie ma — spochmurniał i widząc nadjeżdżającą ciężarówkę zaczął dawać znaki kierowcy, żeby się zatrzymał.

—Ja czekam na PKS — oświadczyła — nie potrzebuję łaski, a ty rób jak chcesz.

—Pojechałabyś beze mnie? — spojrzał na nią z wyrzutem.

—Pojechałabym... gdybyś mnie zostawił...

—Co ci przyszło do głowy? Ja miałbym cię zostawić? Nigdy w życiu. Przecież to z twojego powodu porzuciłem robotę. Czyżbyś o tym nie wiedziała?

—Och! — Ja nic nie wiem, naprawdę nic nie wiem — powtórzyła z nagłym przyływem smutku. Chciała powiedzieć, że jest oszołomiona, nawet to parszywe miasteczko zrobiło na niej duże wrażenie, podobały jej się sklepy i ludzie, ruch na ulicach. Wszystko to było ciekawe, podniecające, przyjemne, musiała jednak tłamsić to w sobie i dusić i nawet z Marcinem nie mogła się podzielić swoimi myślami, zwłaszcza z nim nie mogła, dlatego milczała przy posiłkach i w polu, kiedy zrywali truskawki, i teraz, kiedy usiedli w rowie i Marcin mówił o studiach polonistycznych, o wierszach, których nikomu nie pokazuje, nie ma bowiem pewności czy są dobre. Gdy skończy studia zostanie krytykiem teatralnym, sam też będzie pisał sztuki, oczywiście wierszem, chociaż to teraz niemodne... Przerwał, mówił nie to co chciał, jakieś banały, w dodatku nieprawdziwe, chciał się pokazać z lepszej strony, a nie pokazał się z żadnej.

—A ty jakie masz plany? Co chciałabyś robić? — zapytał, żeby zmienić temat.

—Och! Nic takiego — zapłonila się z lekka — wieczorówka i praca.

—Musisz pracować? — oburzył się. — Dlaczego? Nie masz rodziców?

—Muszę — wyznała cicho ze spuszczoną głową.

—Przepraszam. Nie będę więcej pytał. Powiedz tylko, gdzie masz zamiar pracować?

—U fryzjera.

—To świetnie — ucieszył się niespodziewanie. — Będę przychodził do ciebie codziennie się strzyc. Wykupię abonament.

—Załatwię ci zniżkę. Wiesz co? — popatrzyła na niego niepewnie. — Chodźmy gdzieś nad wodę. Zapowiada się piękny dzień, a ja dawno nie pływałam.

—Z przyjemnością — ucieszył się. — Tu w miasteczku jest przystań, wypożyczymy kajak albo łódkę.

Tak też uczynili, ale z przystani wypędziły ich dzieci, dojechali więc wynajętą łódką do dzikiej plaży, gdzie panowała przyjemna cisza. Dwie staruszki drzemały w cieniu i stateczne małżeństwo opalało się na leżakach. Ułożyli się na piasku i z pewnym zażenowaniem przyglądali się swoim ciałom, ledwie muśniętym przez słońce. Majka milczała, a on z żarem i głęboką wiarą mówił o przyszłości. Marzył o podróżach, o lotach kosmicznych, uważał, że je zrealizuje. Majka słuchała go zaskoczona i zazdrościła mu tej wiary, ona bała się każdego dnia, przyszłość rysowała się mało przejrzysto, brakowało w niej punktów oparcia, a przede wszystkim wiary w siebie, w swój los, a co za tym idzie w swoją gwiazdę i w szczęście. Nie chciała jednak myśleć o tym teraz, gdy tak cudownie i przejmująco świeciło słońce, lekki wietrzyk od rzeki łagodził upał, a Marcin budował dla niej zamek z piasku.

Wyjęła książkę, ułożyła się na ręczniku i dziecinnym głosem z leciutką tremą czytała wiersze Tuwima, które podobnie jak muzyka i śpiew przenosiły ją w świat pełen tajemnic, dzikich namiętności i trudnych do opisanego wzruszeń. Nagle umilkła i popadła w zadumę.

—Teraz ja ci coś przeczytam. — Marcin otrzepał dłonie z piasku i wyciągnął rękę po książkę, którą Majka złożyła raptownie i schowała do torby.

—Wystarczy! — wyszeptała, tłumiąc drżenie. Złękła się, że on zobaczy pieczętkę szkoły podstawowej z Zakrzewia, umieszczoną pod dedykacją „Mai Mleczaj”... Wyśmiewa ją, że dopiero teraz skończyła szkołę albo, co bardziej prawdopodobne, zacznie wypytywać dlaczego w Zakrzewie. Powie, że była u babci. Czy jej uwierzy? Z pewnością słyszał o poprawczaku. Domyśli się, że stamtąd wraca. Nie pomogą żadne wykręty.

—Chodźmy popływać! — rzuciła się w stronę rzeki.

—To niebezpieczne! — przytrzymał ją. — Pójdziemy na basen! Popatrz, jaka brudna woda.

Wzdrygnęła się mimo woli. Wcale nie miała zamiaru kąpać się w tym bajorze, jedyne, co chciała zrobić to zmylić jego czujność, odwrócić uwagę od książki. Zanurzyła nogę w mętnej wodzie i szybko wyjęła, został na niej osad czegoś lepkiego.

—A nie mówiłem! — zawołał z triumfem Marcin.



—Miałaś rację — potwierdziła uśmiechając się oczami i cofnęła się zdumiona. Marcin patrzył ponuro w ziemię. W jego twarzy nie było ani odrobiny światła.

—O co chodzi? — spytała niewinnie.

—Od kogo dostałaś tę książkę? Od swojego chłopaka z dedykacją? — spytał drżącym głosem.

—Och! Nie! — roześmiała się. — Nie mam żadnego chłopaka. Nikogo nie mam — dodała ze smutkiem.

Z twarzy Marcina zniknęły wszystkie cienie. W oczach pojawiło się słońce. Zrobił krok w jej stronę.

—Naprawdę nie masz nikogo?

—Słowo honoru...

Porwał ją w ramiona, tulił do siebie i całował jej włosy, na nic więcej się nie odważył.

—A ty? Masz kogoś? — spytała cichym głosem.

Marcin, wbrew jej oczekiwaniom, potwierdził ruchem głowy.

Majka odsunęła go od siebie, czuła jak ulatuje z niej życie, krew zastyga w żyłach i staje serce. Bez kropli krwi w twarzy osunęła się na piasek.

—Zmartwiłaś się, że mam kogoś?—ucieszył się, klękając przy niej.

—No wiesz? — odpowiedziała z gniewem. — Co mnie to obchodzi. Miej sobie. — Już się opanowała, jednak w każdej cząstce ciała czuła wielką słabość. Nie mogła unieść nawet ręki ledwie poruszała palcami.

—To koleżanka ze szkoły — jego głos dochodził z dalekiej dali, a kto wie czy nie z innego świata. — Znamy się jak łyse konie. Mieliśmy jechać razem w góry, ona jest alpinistką. Ja dopiero raczkuję w tym sporcie.

Milczała. Udało jej się wreszcie przezwyciężyć niemoc, więc, żeby się czymś zająć przesypywała piasek z ręki do ręki.

—Nigdzie nie pojedę — oświadczył nagle, przypatrując się jej z uwagą.

—Dlaczego? — spytała, siląc się na obojętność.

—Po prostu przestały mnie interesować góry — odparł z powagą, chociaż wesołe chochliki płonęły mu w oczach. A ciebie?

—Nie wiem. Nigdy nie byłam w górach — wyznała ze wstydem.

—To jedźmy tam zaraz — zawołał, czując przypływ energii. Po drodze złapiemy pociąg do Zakopanego, stamtąd autobusem dostaniemy się na Bukowinę, wprost w objęcia pani Stachowej... Wybierzemy się do Pięciu Stawów, na Świnicę...

Milczała, chociaż spodobał się jej ten pomysł. Wiedziała, że tam w górach, wśród pięknych widoków na pewno poczułaby się wolna, zrzuciłaby z siebie ten zakładowy pancerz, który uwierał niczym przyciasne buty.

—No co? Jedziemy? — kusił Marcin. — W górach przekonasz się, że życie ma inny smak, że jest naprawdę piękne, chociaż — dodał po chwili — i tutaj jest. Cieszę się, że cię poznałem.

—Ja też się cieszę — ujęła go za ramię — ale wracam do domu. Mama na pewno niepokoi się o mnie.

Marcin po prostu nie był w stanie rozstać się z dziewczyną, którą raz porównywał ze Statuą Wolności raz z Madonną Sykstyńską z uwagi na jej wysokie czoło, łagodny profil i cerę idealnie gładką, nie drażniętą żadnym wypryskiem czy plamką. Odwiózł ją na Służewiec i odprowadził pod obskurny czteropiętrowy budynek, któremu nawet liliowe światło zachodu nie było w stanie przydać urody. Wyglądał jak po spaleniu, wszędzie widniały na nim ślady zniszczeń. Drzwi, z rzadka tylko połatanę dyktą, straszyły dziurami, poczerniałe futryny i elewacje przywodziły również na myśl groźny żywioł, białe ramy w kilku zaledwie oknach świadczyły o nikłych zmaganiach mieszkańców z postępującą dewastacją. Marcin wpatrzony w Majkę nie widział tych spustoszeń, nauczył się na pamięć jej adresu, gdyż z zasady nie wierzył notesom i kartkom, uważał, że najlepszym biurem adresowym jest jego głowa. Stojąc przed domem długo odprowadzał wzrokiem dwóch chłopaków, zajądających zapiekanki, którzy ukłonili się Majce, wreszcie zapytał nieśmiało czy może wejść z nią na górę.

Majka spieszyła się i w pierwszej chwili nie wiedziała, co odpowiedzieć.

—Przepraszam cię — wystękała, nie patrząc na niego — muszę uprzedzić mamę. Wpadnij jutro, albo pojutrze, lepiej pojutrze. Mam mnóstwo spraw...

—Jeżeli nie chcesz mnie widzieć, powiedz od razu — zasepił się.

—Ależ skąd! — przeraziła się. — Przyjdź, koniecznie, jutro wieczorem. Będę czekać! Dziękuję za wszystko — podała mu rękę. — I nie miej do mnie żalu...

—No wiesz, ja do ciebie — obruszył się z kolei Marcin i jeszcze mocniej uściskał jej rękę. Miał nieprzepartą ochotę pocałować ją, tu przed domem, być może na oczach jej matki. Musiał to po prostu zrobić, i zrobił, musnął ją ustami w czoło i ruszył pędem przed siebie, czuł jak fala ciepłego wzruszenia unosi go na wietrze, napęnia ożywczymi sokami każdą cząsteczkę jego ciała.

\* \*

\*

Matka Majki, trzydziestoparoletnia kobieta z resztkami gasnącej urody kroїła w kuchni świeży jeszcze chleb i smarowała go smalcem.

Siedmioletni chłopiec i niewiele starsza od niego dziewczynka chodzili z tym chlebem po ciasnym mieszkaniu, gapiąc się chwilami w telewizor, od którego nie odrywał wzroku stosunkowo młody jeszcze mężczyzna o twarzy przypominającej kształtem zwiędły ogórek.

W telewizji siedł jeden z ubóstwianych przez polskich dystrybutorów filmów, w których trudno się zorientować, o co chodzi. Krwawe bójki między różnymi grupami wybuchwały co kilka sekund, w świetle jupiterów migały noże, strzelano z wszelkiej możliwej broni, trupy padały częściej niż zające na polowaniu, a krew barwiła jaskrawo nadmorski piasek, podłogi, dywany i stoły, nie mówiąc o ubraniach. Mężczyzna śledził krwawe losy licznych bohaterów z zapartym tchem. Sekundowały mu dzieci, zającąc świeży chleb ze smalcem. Natarczywy dzwonek w przedpokoju przerwał tę idyllę. Dzieci spojrzały z niezadowoleniem po sobie skierowały jasne główki na drzwi, dziewczynka, widocznie bardziej ciekawa, wysunęła się nawet na korytarz, natomiast mężczyzna z niesłabnącym zainteresowaniem śledził karkołomną akcję. W tej sytuacji kobieta zmuszona była wytrzeć ręce w fartuch i podejść do drzwi.

—Kto tam? — spytała niezbyt uprzejmie.

—To ja. Mamo — wyraźnie zdenerwowana odezwała się Majka.

Matka rozpoznała jej głos, lecz zamiast radości na jej twarzy pojawiło się zdumienie i przestach. Obejrzała się z niepokojem na mężczyznę tkwiącego w monumentalnej pozie przed telewizorem i odciągnęła zasuwę. Do przedpokoju, w którym z trudem mieściła się wycieraczka i para butów, wskoczyła Majka ściskając w dłoni niewielki bukietek.

—Znowu uciekłaś — zaczęła od wyrzutów matka i cofnęła się do otwartych drzwi kuchni, gdyż w przedpokoju nie starczało miejsca dla dwóch osób.

—Nie uciekłam, mamó. Zwolnili mnie warunkowo — uśmiechnęła się, szukając zrozumienia w matczynych oczach.

Matkę ujął ten uśmiech, odwzajemniła go, ale nadal kręciła głową, jeszcze wątpiła w prawdziwość słów córki.

—Masz to na piśmie? — odezwał się mężczyzna, nie odrywając wzroku od telewizora.

Majka nie odpowiedziała, patrzyła wyczekująco na matkę, w której nagle puściły jakieś tamy. Wyzbyta podejrzeń i niechęci otworzyła ramiona, przygarnęła córkę do piersi i całowała ją hamując łzy.

—Dziecko moje — szeptała — dziecko najdroższe. Tak się o ciebie martwiłam, kochanie moje.

Majka również wytarła łzy, naprawdę była wzruszona, z pewnym zażenowaniem wcisnęła matce bukiet, z wielką czułością delikatnie wytarła jej oczy. Dopiero teraz spostrzegła jasne główki dziewczynki i chłopca, ich wielkie nieruchome oczy, wpatrzone w nią z niezwykłym skupieniem. Pochyliła się i z pewnym wahaniem pocałowała siostrzyczkę w czoło, chłopiec niespodziewanie wyciągnął do niej rączki i zawisł jej na szyi, Majka podniosła go i całowała zachłannie, z nagłym przypiływem wzruszenia.

—Nie powiem nikomu, że tu jesteś, dobrze — wyszeptał konspiracyjnie. — Majka uśmiechnęła się i znów go pocałowała. — Na nią też możesz liczyć — powiedział o siostrze, która potwierdziła jego słowa z niezwykłą powagą.

—Masz to na piśmie czy nie? — mężczyzna wpatrzony w telewizor powtórzył pytanie.

Majka wyplątała się z objęć brata, wydostała z torby jakiś papierek, weszła do pokoju i przykleiła go do telewizora. Mężczyzna stękając podniósł się z fotela.

—Nie przywitasz się z wujkiem? — spytała z wyrzutem matka.

—Dzień dobry — mruknęła Majka i skinęła głową, ale w jej oczach było tyle niechęci i nienawiści, że matka przestała nalegać.

—Zjesz coś? — spytała.

Majka chyba nie usłyszała, z pogardliwym uśmiechem, którym pokrywała niepokój, patrzyła wyczekująco na wujka, który wreszcie raczył przeczytać pismo z firmowym nadrukiem: „Zakład Poprawczy w Zakrzewie”.

—Gratuluję — powiedział, na powrót wpaśował się w fotel, wcisnął do ust papierosa i, nie kryjąc satysfakcji, powiedział:

—No, teraz będziesz się musiała pilnować...

—Nie — warknęła ze złością Majka — teraz po prostu nie dam się złapać.

—Co ty znów kombinujesz? — przeraziła się matka.

Majka uspokoiła ją ciepłym uśmiechem i otarła się o jej ramię.

—Chcę się wykapać i wyspać — przeciągnęła się leniwie. — Przez ostatni tydzień harowałam jak zwierzę.

—Będiesz spać ze mną? — spytała siostrzyczka przytulając się do niej.

Majka zaprzeczyła szybko patrząc na matkę. Po twardym posłaniu w szopie nie miała ochoty gnieść się z Marzenką na wąskim tapczanie.

Matka nie wiedząc czemu wpadła nagle w popłoch, obejrzała się z niepokojem na męża, który do głębi przejęty śledzeniem losów jakiegoś przestępcy, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

—Postawi się w kuchni łóżko polowe — wystękała niepewnie — położy się koldrę...

—OK. — ucieszyła się Majka. Znów przytuliła się do matki i chyba dopiero teraz spostrzegła potężnych rozmiarów brzuch, wystający spod luźnej sukienki.

—Widzisz, jaka tu ciasnota — matka nie wiedziała, gdzie podziać oczy.

—Widzę, widzę — warknęła Majka, obrzucając ją złym spojrzeniem Odepchnęła płaczącego się przy niej Jarka i poszła do łazienki.

\* \*

\*

Sądziła, że zaśnie natychmiast jak tylko przyłoży głowę do poduszki. Niestety, od godziny leżała w ciemnościach, rozkoszując się ciszą i nie spała. W tym domu, gdzie się

urodziła i wychowała nie było dla niej miejsca, nie tylko teraz, od dawna go nie było, właściwie od chwili, gdy pojawił się w nim ojczym, którego znienawidziła jeszcze przed tym zanim z nimi zamieszkał. On żywił do niej podobne uczucia i tego akurat nie miała mu za złe. W gruncie rzeczy była zadowolona, nienawiść odwzajemniona bywa trwalsza niż miłość, nic nie jest w stanie jej zniszczyć, żadne przyjazne gesty czy miłe słowa, ona jest, istnieje i w sprzyjających warunkach wybucha z niezwykłą siłą. Obiektywnie rzecz biorąc, żeby posłużyć się ulubionym słówkiem dyrektora, nic mu nie mogła zarzucić poza nadmierną skłonnością do alkoholu, co go znów tak bardzo nie wyróżniało z grona rodaków, właściwie bardziej złościła ją matka, która tak lekkomyślnie, z isticie kobiecym okrucieństwem zapomniała o jej prawdziwym ojcu i któregoś dnia przestała po prostu o nim mówić. A przecież to nikt inny tylko ona stworzyła mit wspaniałego tatusia, który gdzieś tam w dalekiej i szczęśliwej Ameryce szykuje ciepłe gniazdko dla swojej żony i córki. Przez wiele lat matka mówiła o nim z czcią i uwielbieniem, z ogromną miłością i oddaniem.

Majka, słuchając tych niekończących się opowieści stworzyła sobie idealny obraz mężczyzny, który był jej ojcem, wiedziała Q nim wszystko, jak się ubiera i chodzi, co mówi, z czego się śmieje, znała jego ulubione potrawy, piosenki, filmy... Powiększyła zdjęcie, na którym był niezwykle piękny i męski. I często, gdy mamy nie było w domu wpatrywała się w jego szczupłą twarz o ostrych rysach i łagodnym uśmiechu. Na innym zdjęciu, przysłanym już stamtąd, z drugiej półkuli tatuś na tle drapacza chmur prezentował się znacznie gorzej, już nie był tak zabójczo piękny i męski, ale nadrabiał miną i uśmiechał się jak gwiazdor filmowy. Innych zdjęć nie miała, tatuś pisywał rzadko, a po jakimś czasie w ogóle zamilkł, zniknął gdzieś, rozplynał się, przestał istnieć i koniec. Być może zginął w katastrofie samochodowej albo trafił do więzienia i nie chciał, żeby o tym wiedziała.

Ta ostatnia wersja, według jej matki, była najbardziej prawdopodobna. Ojciec nie należał do ludzi, którzy chadzają prostymi drogami. Jeszcze tu w kraju cudem wywinął się z jakiejś afery, więc może i tam w jakiś sposób nie do końca uczciwie zdobywał środki do życia. Matka nie miała mu tego za złe, kochała go i dopóki nie zjawiał się ojczym żyła nadzieją wyjazdu na drugą półkulę, czekała na listy, które nie nadchodziły.

Majka też żyła nadzieją, może bardziej niż matka. Koleżankom w przedszkolu, a później w szkole opowiadała cuda o tym ojcu, który raz był kowbojem, raz szeryfem, rajdowcem, a nawet gangsterem. Z tej ostatniej wersji wycofała się szybko na rzecz drauera, który krążył po niezmiernych przestrzeniach Ameryki w olbrzymim tirze, z kabiną umieszczoną wysoko nad ziemią, odwiedzał coraz to inne miasta i stany. Chyba nawet z jego powodu zeszła na złą drogę, choć nie chce się usprawiedliwiać, przecież nie

musiała, od początku wiedziała czym się to skończy, a jednak brnęła dalej, po to między innymi, by częstować koleżanki gumą i czekoladą i mówić: „Tata przysłał, bierz, mam tego od groma”.

Pierwszy raz, dobrze pamięta, okazja nawinęła się sama, stała w kolejce do kasy, przed nią dwie kobiety z koszami pełnymi zakupów, do głębi przejęte naszeptowały coś sobie do uszu. Jedna w otwartej torebce trzymała na samym wierzchu bruchatą portmonetkę. Majka obejrzała się, za nią nie było nikogo, kobiety szeptały nadal. Zasłoniła więc koszem torebkę i przerzuciła portmonetkę do swojej siatki, po czym wyszła z samu. Następnego dnia koleżanki w klasie wносиły pod niebiosa jej ojca, który chociaż daleko, na drugim końcu świata, nie zapomina o swojej córce. Pytały jak wygląda, czy jest młody czy stary, czy przypomina kogoś z aktorów. Majka pokazywała z dumą kolorowe zdjęcie na tle drapacza chmur i miała za złe koleżankom, że bardziej niż jej tatusiem interesowały się koszmarnym wysokościowcem.

Wkrótce po tym zdarzeniu ojczym wziął ją do małego pokoju i powiedział, żeby nie liczyła na ojca i przestała sobie zawracać nim głowę. On ma ją gdzieś, tak samo jak matkę, że matkę, to pół biedy, teraz nikt nikomu nie dochowuje wierności, to mu jeszcze można darować, ale tego, że wypiął się na własną córkę, nigdy. Grosza na nią nie przysłał od dwóch lat, a przecież wie, jaką tu w Polsce ma wartość zielony. Pięćdziesiąt doliców to dla niego nic nie jest, a dla matki to kupa forsy, mogłyby żyć jak ludzie, jeździć w góry i nad morze, zamiast liczyć każdy grosz. Łobuz, zaszył się gdzieś w Chicago, a może w Detroit, i żyje sobie jak król. Gdyby było inaczej, dawno by tu wrócił, jeżeli komuś się nie uda to wraca, a ten drań ożenił się pewnie z jakąś bogatą staruchą i bimba na rodzinę. Z matką ślubu nawet nie wziął, nie musiał się więc rozwodzić. Cholerny miglanc... Ożenił się i dobrze, jego sprawa, ale żeby tak z miejsca zapominać o własnej córce, nie napisać do niej, nie wesprzeć jej dobrym słowem? Tego się nie robi. Przyzwoity człowiek tak nie postępuje. Musisz przyznać, że mam rację — mówił. Radzę ci odpłacić mu tym samym, pięknym za nadobne, jak to się mówi. Zdobyć na odwagę i skończyć z nim raz na zawsze, wyrzucić go z serca, wymazać z pamięci. Dla ciebie on umarł, rozumiesz? Nie żyje, został zagrzebany głęboko w ziemi, nie ma go, nie istnieje.

Wysłuchała ojczyma ze spokojem, ale twarz miała bladą, ściśniętą jak pięść, w oczach nienawiść. I zawzięła się w sobie. Postanowiła nie odzywać się więcej do niego, ignorować jego hałaśliwą obecność i starać się go nie zauważać. Było to jednak niewykonalne i niemożliwe.

Czasem przez roztargnienie odpowiadała na niewinne pytania, o pogodę, czy co w szkole. Sama o nic go nie pytała, nie wszczyniała z nim rozmów. A on był, golił się w

łazience, śpiewał, spał z matką w jednym łóżku, zajmował najwygodniejszy fotel przed telewizorem, rozrzucał pety po całym mieszkaniu, wchodził do pokoju w zabłoconych butach i mama zносиła to wszystko z pogodnym uśmiechem bez słowa protestu, natomiast Majka wmawiała sobie, że ma czapkę niewidkę. Jest tu, ale tak naprawdę przebywa z prawdziwym swym ojcem w Chicago, chodzi z nim do kina, na lody, pokazuje mu zeszyty i dobre stopnie, które bardzo rzadko otrzymywała, ale jak zdarzyło jej się dostać piątkę z rysunków otwierała czym prędzej zeszyt i pokazywała go tatusiowi. Żyli sobie razem na trzydziestym piętrze, wysoko, wśród chmur, jedli banany i pomarańcze i nikt o tym nie wiedział, absolutnie nikt.

Słowa ojczyrna, które miały zabić, zniweczyć tęsknotę za ojcem i związane z nim nadzieje nie odniosły pożądanego skutku. Majka w dalszym ciągu kochała ojca, w ukryciu pisała do niego listy, których nie wysyłała, nie znała przecież jego adresu, wierzyła, że mu je kiedyś pokaże, będą dowodem jej miłości do niego.

Natomiast koleżanki z klasy, objadając się zagranicznymi czekoladkami i napychając kieszenie gumą, nie przestawały wyrażać się o nim z uznaniem. Tatuś Majki spisywał się na medal, był taki jak trzeba, hojny, troskliwy i kochający, miał jeszcze jedną, rzadko spotykaną zaletę, nie było go tutaj na co dzień. Ojcowie są na ogół surowi dla córek, żądają od nich bezwzględnego posłuszeństwa, nic w zamian nie dając, a ojciec Majki nie wymagał niczego, stał się więc obiektem godnym zazdrości. To było miłe, rekompensowało wiele, pozwalało na chwilę zapomnieć o stałej obecności ojczyrna w ich domu, jak i o tym, że on ciągle śpi w jednym łóżku z jej matką.

Po pierwszej wpadce, w szkole nic się nie zmieniło. Wychowawczyni była dyskretna i do uszu najwściębszych nawet koleżanek nie dotarła wiadomość o sprawie w sądzie. Wszystko więc było OK, nikt o niczym nie wiedział i Majka mogła nadal chodzić do szkoły bez obaw, ale nie chodziła, panicznie bała się wsypy, drżała na samą myśl, że mit ojca, tworzony z takim uporem, legnie w gruzach, a ona zamiast wyjechać w glorii na drugą półkulę okaże się zwykłą oszustką, której własny ojciec się wyrzekł. Chodziła więc na wagary, podczas których z przyzwyczajeniem i z nudów okradała podróżnych na Dworcu Centralnym, pasażerów w autobusach, a zwłaszcza zaaferowane kobiety w warszawskich tramwajach. Do szkoły więcej nie poszła, mimo próśb matki i gróźb ojczyrna. A w czasie długotrwałych i szczegółowych badań w poradni podawała różne, oczywiście zmyślane powody niechęci do nauki. Słowem nie wspomniała o ojcu, właśnie o nim nie chciała z nikim rozmawiać, nawet z matką. W zakładzie również nie mówiła o nim. Tym razem naprawdę chciała wyrzucić go z serca, od początku wiedziała, że ojczyrn mówił prawdę, ale ta prawda dosyć banalna i pospolita w swojej wymowie nie była w stanie



zabić nadziei i pozbawić jej złudzeń. Podświadomie, wbrew sobie, nadal wierzyła, że któregoś dnia ojciec odezwie się, przyśle list, zaproszenie i pieniądze na drogę.

Teraz, kiedy wróciła do domu i upewniła się, że w dalszym ciągu nie napisał, jej nadzieje przybladły, zostały tylko złudzenia, a na nich nie można niczego budować. Majka gwałtownie potrzebowała oparcia, lecz nie wiedziała, gdzie go szukać.

\* \*

\*

Obudziło ją leciutkie skrzypnięcie drzwi. Matka ubrana do wyjścia w ciasny płaszcz, którego mimo starań nie była w stanie zapiąć, stała w drzwiach i uśmiechała się do Majki, za nią w niewielką szparkę wsuwały się zaciekawione twarzyczki Marzenki i Jarka. Majka zerwała się z łóżka, przetarła oczy.

—Która godzina? — spytała nieprzytomnie.

—Śpij! — uspokoiła ją matka. — Zjemy coś w barze, żeby ci nie przeszkadzać. Odprowadzę ich do szkoły i pojedę do pracy. Edward już wyszedł. Wraca o czwartej. Śpij! Obiad jest w lodówce. Wstaw przed czwartą kartofle na gaz! Dzisiaj sobie pogadamy.

Majka posłała matce ciepły uśmiech, otuliła się kocem i natychmiast zasnęła. We śnie zawsze było najlepiej. Tym razem pojawił się Marcin, byli razem w górach, gdzieś bardzo wysoko, obserwowali lot odrzutowca, który zostawiał na niebie białą wstęgę. Marcin zanurzył palce w jej włosach, przysunął się do niej, poczuła na policzkach jego szybki oddech, który wbrew oczekiwaniom wcale nie był przyjemny. Mimo woli odsunęła się od niego, otworzyła oczy i skurcz przeszył jej ciało, z ust wydobył się rozdzierający krzyk:

—Mamo! Mamo!

Twarczą ojczyma oddaliła się na moment. Majka już nie spała, krzyczała z wściekłością i oburzeniem.

—Odejdź stąd! Co tu robisz? Dlaczego nie jesteś w pracy?

Ojczym uśmiechnął się niepewnie.

—Byłem u lekarza, dostałem zwolnienie. Nie krzycz! Chciałem z tobą porozmawiać.

—Ja nie chcę.

Ojczym z chytrym uśmiechem przysunął się do niej.

—Moglibyśmy dojść do porozumienia — powiedział, usiłując pogłaskać ją po głowie.

Majka odtrąciła z obrzydzeniem jego rękę.

—Ja nie chcę! — krzyknęła. — Idź stąd!

—Zaraz! Chwileczkę — nie przestawał się uśmiechać. — Nie przywitałaś się ze mną. To nieładnie. Jesteśmy przecież rodziną. Pocałuj mnie! — pochylił się nad nią i wsunął jej rękę za koszulę.

Majka, plując na oślep, usiłowała odepchnąć go od siebie. Było jednak za późno, opór działał na niego jak środek dopingujący, ostrym szarpnięciem rozerwał koszulę i z dzikim obłądnym śmiechem zwałił się na nią. Połowe łóżko nie wytrzymało ciężaru dwóch ciał. Niczym podcięte drzewo z głuchym młaśnięciem grzotnęło o podłogę. W zamieszaniu, jakie nagle powstało, Majce udało się wyrwać z objęć ojczyma, podbiegła do okna, szarpnęła za klamkę. Okno otwarło się lekko, na podłogę poleciały doniczki, słoik z kompotem i zsiadłe mleko. Majka, nie bacząc na nic, wdrapała się na parapet, popatrzyła w dół, na gładki asfalt lśniący po deszczu i zawahała się, na dole czekała ją niechybna śmierć, w najlepszym razie trwałe kalectwo. Ten krótki moment wahania zdecydował o tym, że żyje. Ojczym zerwał się z podłogi, podbiegł przerażony do okna i w ostatniej chwili chwycił ją za nogi, ściągnął z powrotem na ziemię.

—Ratunku! Na pomoc! — krzyknęła Majka. Ojczym pchnął ją w głąb kuchni i zatrzasnął okno.

—Na pomoc! Ratunku — powtórzyła już ciszej, jakby wiedząc, że nikt nie pośpieszy z odsieczą. W tym momencie spostrzegła nóż na kredensie, chwyciła go, zdecydowana bronić się do ostatka. Z tą myślą wcisnęła się między kuchnię gazową a kredens. Czekwała na atak. Ojczym zatrzasnął okno, odwrócił się, a ujrzawszy ją z nożem wycelowanym w siebie, parsknął głupkowskim śmiechem.

—Zabiję cię! — oświadczyła piskliwym głosem. Uniosła rękę, ale nie ruszyła się z miejsca.

—Wariatka! Słowo daję! Odbiło jej — wychrypiał lekceważąco i umknął do przedpokoju. Nie wiadomo czy groźba użycia noża, czy dramatyczna ucieczka przez okno podziałały na niego jak strumień lodowatej wody. Już jej nie napastował. Przeleciał przez przedpokój jak burza, trzasnął drzwiami i zbiegł po schodach. Majka stała bez ruchu jeszcze długo po tym jak ucichły jego kroki, bała się opuścić wąską szparę między kuchnią gazową a zlewem. Dopiero krzyki dzieci dochodzące z podwórka ośmieliły ją nieco,

odważyła się zrobić jeden krok, drugi. Trzymając nóż w pogotowiu wyszła do przedpokoju i zamknęła drzwi na zasuwę, po chwili zawiesiła na nich łańcuch, ale jeszcze nie czuła się pewnie. Dopiero, gdy przysunęła do drzwi szafkę z butami odłożyła nóż i zabrała się do pakowania rzeczy, robiła to bojaźliwie, nasłuchując i nosząc ze sobą nóż do pokoju i do łazienki. Kiedy spakowała podręczną torbę, z którą przyszła do domu, zdecydowała się uprzątnąć kuchnię, nie chciała narażać się na uwagi mamy, że zostawia po sobie nieporządek. Uprzątnęła więc pościel, pozamiatała skorupy i wytarła podłogę. Co by tu jeszcze — zastanawiała się. Po namyśle wydarła ze szkolnego zeszytu kartkę i napisała: „Mamusiu Kochana! Nie miej do mnie żalu, ale nie widzę dla siebie miejsca w tym domu. Zamieszkać na razie u koleżanki. Myślę, że z pracą nie będę miała kłopotów. Jak się urządzę, dam ci znać. I proszę, nie martw się o mnie. Wszystko się jakoś ułoży, będziesz ze mnie zadowolona, a na razie mocno całuję Ciebie i dzieci — Twoja córka”.

Rozplakała się, podpisując list. Wiedziała, że matka czytając również się rozplacze. Było jej z tego powodu niezmiernie przykro, ale nic nie mogła zrobić. Jutro — myślała, czując jak serce kurczy się z bólu — przyjdzie tu Marcin i nie zastanie jej. Będzie mu przykro, tak jak jej w tej chwili. Nic na to nie poradzi, nie może nic zmienić.

Wzięła kurtkę i wyjrzała przez okno. Bure chmury, niczym stada zgłodniałych ptaków, obsiadły niebo i pluły deszczem. Wiatr łomotał na dole oderwaną markizą, pęknięta rynna dzwoniła ponuro. Nie chciało jej się wychodzić z domu, gdzie wprawdzie było ciasno i niezbyt pięknie, ale za to czysto, sucho i ciepło. Jednak musiała wyjść, gdyby tak, nie daj Boże, mama wróciła wcześniej z pracy, strach pomyśleć, co by się działo. Być może pod naporem jej pytań Majka powiedziała by prawdę, a właśnie ta prawda mogła ją zabić...

Wzięła torbę, zamknęła drzwi na klucz i zanurzyła się w labirynt uliczek obstawionych ścianami jednakowych budynków, rozciągniętych równomiernie po obu stronach jezdni. Znała te uliczki i domy, w niektórych nawet bywała, ale zawsze czuła się wśród nich mała i zagubiona. Prawdopodobnie wybudowano je po to, by ludziom unaocznić ich nicość. Jeżeli o nią chodzi — projektodawcy osiągnęli swój cel, Majka czuła się przyniesiona bardziej niż mrówka. Była nawet zdziwiona, że nikt nie wdepnął jej w czarną, wilgotną ziemię. Nie zmartwiłoby jej to wcale, znajdowała się w takim stanie, że bardziej niż śmierć przerażało ją życie. Nie wiedziała, co z sobą począć, dokąd pójść. Weszła więc do nowo wybudowanego kościoła, którego sylwetka wybijała się zdecydowanie z szarej zabudowy. Kościół przypominał kształtem nowoczesną zabawkę, brązowo-biały z czerwonym dachem i kolorowymi szybkami witraży mógł być klubem, pawilonem wystawowym czy jakimś lokalem rozrywkowym, ale niewielki krzyż na szczycie wskazywał nieomylnie jego przeznaczenie, uchylone drzwi zapraszały do środka. I Majka, po

krótkim wahaniu weszła, zajęła miejsce w jednej z wielu drewnianych ławek i z ulgą stwierdziła, że wewnątrz kościoła jest takie, jak trzeba. Surowe ściany zdobiły jedynie ciemne płaskorzeźby drogi krzyżowej, w nawie głównej krzyż, również z ciemnego drzewa, a pod nim wyciosane z mozołem figury świętych i Matki Boskiej. Wszyscy święci robili wrażenie zagubionych w świecie, bezradnych wobec trudności i przeciwnieństw losu, bojaźliwe prostaczki, których zawiodło życie, dlatego składali je chętnie w ofierze. Majka lubiła ich za to. Ludzie, którzy czynią z siebie ofiary nie tylko ratują innych przed ostateczną zagładą i zdziczeniem, ale podnoszą wszystkich i każdego z osobna o jeden szczebel wyżej ku Bogu czy człowieczeństwu. Ona nie miała zadatków na świętą, chciała żyć jak najdłużej i nie przejmować się, nie martwić, nie troszczyć się o nikogo z wyjątkiem siebie.

Z dała od zgiełku, nie nękana przez nikogo spędziła w kościele parę godzin, nie modliła się, nie potrafiła, rozmawiała przede wszystkim ze sobą, zastanawiała się co robić, jak żyć. Nie pytała Boga o radę i nie prosiła go o nic. Wiedziała, że miliony ludzi codziennie Go o coś proszą, od tylu wieków i lat. Trudno było oczekiwać, że Panu Bogu starczy cierpliwości i siły na wysłuchanie wszystkich. Wiedziała, że sama musi się troszczyć o siebie, na matkę nie mogła liczyć. To, co wczoraj wydawało się możliwe, a więc wspólne mieszkanie, nauka, praca, zamieniło się w czczą mrzonkę, której nie warto poświęcać uwagi. Pobyt w kościele uzmysłowił jej bolesną prawdę, była sama, zdana wyłącznie na siebie w nieprzyjaznym świecie, który ofiarując jej wolność obwarował ją licznymi warunkami. Jednym z nich była praca, zgodnie z obiegowym powiedzonkiem, że właśnie ona uszlachetnia, podobnie jak cierpienie. Co za bzdura! W zakładzie najpierw zrywała chwasty, podwiązywała i podcinała pomidory w szklarni, dusząc się od gorąca. Pot spływał z niej strumieniami, a czarnych rąk nie mogła odszorować za pomocą najtwardszej ze szczotek. Mimo to nie odczuwała zbawionego wpływu tej pracy, nie wyszlachetniała. Wręcz przeciwnie, stała się jeszcze bardziej zapiekła i zła. Oczywiście, nie neguje konieczności pracy, ale żeby zaraz gadać o cudownym jej wpływie, to już gruba przesada, zresztą praca pracy nie równa.

Wyszła z kościoła w paskudnym nastroju. Ludzie kończyli pracę i szary, biednie ubrany tłum gromadził się na przystankach. Warszawa jest smutnym miastem, pozbawionym uroczych zakątków i widoków, wszystkie ulice są do siebie podobne, nawet butiki są takie same, a sprzedawane w nich szmaty pochodzą od tej samej krawcowej, te same spódnice, bluzki z żelazopodobnych materiałów, z pogniecionych poszewek i ścierek, grube swetry z chodnikowej przedzdy i biżuteria z plastyku. Przebywając w zakładzie wyidealizowała sobie to miasto, a może ono kiedyś było po prostu inne, czystsze, ładniejsze, a teraz zmierzało konsekwentnie do ruiny, świadczyły o tym nie wywożone

śmiecici, kałuże pełne oleistej, brunatnej wody, pokiereszowane jezdnie, chodniki, w których każdą płytę umieszczono na innym poziomie.

Wędrówka po tych dziwnych i nieprzytulnych ulicach znużyła ją i zmęczyła, toteż odczekawszy swoje w kolejce usadowiła się z przyjemnością na tylnym siedzeniu taksówki, położyła obok torbę i współczującym spojrzeniem objęła tłum na przystanku, szarpany gwałtownymi zrywami wiatru.

—Dokąd jedziemy? — zapytał zniecierpliwiony kierowca.

—Na Ochotę — bąknęła jakby wyrwana ze snu — albo nie, na Grochów. Ulica Makowska. Nie znam numeru. Pokażę panu, gdzie to jest.

—Pani przyjezdna? — zainteresował się nagle kierowca.

Majka potwierdziła nieprzytomnie.

—Nie ma się pani gdzie zatrzymać? — zapytał przyglądając aię jej z zainteresowaniem w lusterku.

—Prawdę mówiąc, nie bardzo — mruknęła cicho.

Kierowca uśmiechnął się ze zrozumieniem i pokiwał głową.

—Wiem jak to jest, sam byłem bez mieszkania ... Nie chciałbym się wtrącać, ale znam jednego gościa z dużym lokalem... Gdyby pani chciała, podwiozę... Rozumiemy się?

—Nie, nie rozumiemy się, proszę jechać na Grochów.— Krzyknęła oburzona i sięgnęła po papierosa. Kierowca ze złym błyskiem w oku wskazał tabliczkę z napisem: „Uprasza się o nie palenie”.

—Niepalenie pisze się chyba razem — uśmiechnęła się Majka.

—Nie pani sprawa — warknął nieprzyjemnie.

—Pewnie, że nie, ale tak się pisze.

—U mnie pisze się tak, jak ja chcę... Gdzie pani w końcu jedzie na Grochów czy na Ochotę?

—Na Grochów...

Kazała mu się zatrzymać przed brzydkim pudełkowatym budynkiem przy ulicy Makowskiej. Zapadał zmierzch i stare drzewa wokół domu wyglądały jak czarne sztylety.

Gęsty żywopłot oddzielał go szczelnie od ulicy. Majka wymacała przycisk dzwonka. Przed wejściem błysnęło światło, jednak wewnątrz domu pozostało nadal ciemne. Stojąc przy furtce instynktownie czuła, że jest obserwowana. Przez zamknięte okno ktoś bacznie jej się przyglądał. Trwało to dłuższą chwilę. Nagle cały dom zapłonął światłami.

—Majka! — rozległ się radosny okrzyk i w otwartych drzwiach ukazała się Beatka, niewiele od niej starsza, anemiczna, nerwowa blondynka o marzycielskim spojrzeniu.

—Majka! — Otworzyła furtkę i porwała przyjaciółkę w ramiona. — To ty? Co za niespodzianka! Boże!... Nigdy nie myślałam, że przyjedziesz. Nie odpowiadałaś na moje listy! Chodź! Nie stójmy tutaj! — Oplotła ją szczupłym ramieniem i wprowadziła do domu. — Kochana! Najdroższa! — szeptała nie mogąc się opanować.

Zasłoniła okna i przyglądała się Majce coraz bardziej szczęśliwa.

—Ładnie wyglądasz! Zmieniłaś uczesanie. Dobrze ci tak. Majka usiadła z ciężkim westchnieniem.

—Zmęczyłam się.

—Jesteś głodna? Chcesz kawy? Zaraz zrobię coś do jedzenia — podbiegła zaniepokojona do okna i wyjrzała na ulicę przez szparę w kotarze.

—Starych nie ma, tylko babcia, straszna skleroza... Sama jesteś? — spytała, nie przestając wyglądać na ulicę.

—A z kim mam być? — zdziwiła się Majka.

—Czy ja wiem? Nikt nie widział jak tu wchodziłaś?

—A jeżeli widział, to co? — roześmiała się bez troski Majka. — Ja się nie ukrywam.

—Zwolnili cię? Naprawdę? — ucieszyła się Beatka. — To fajnie! Gratuluję — chwyciła ją w objęcia, szukała gorączkowo jej ust.

—Och! Nie, nie — Majka odsunęła ją od siebie. Wydostała z torby zaświadczenie.

—Czytaj! — zawołała ze śmiechem. — Nie masz się czego bać. Jestem wolna, wolna, rozumiesz? — przeciągnęła się z zadowoleniem.

—Schowaj to! — Beatka pokazała na papierek — ja ci wierzę — wstrzymała oddech, przełknęła ślinę jakby mówienie sprawiało jej trudność. — Nie pisałaś do mnie — wybuchnęła niespodziewanie.

—Dlaczego? Obraziłaś się?

—O czym miałam pisać? Wiesz jak tam jest. Jeden dzień podobny do drugiego... te same sprawy, te same rozmowy...

—Iwona cię usidliła, to dlatego, zapomniałaś o mnie — krzyknęła histerycznie.

Majka spochmurniała nagle, cofnęła się do drzwi jakby miała zamiar opuścić pokój.

—Nie znoszę tych głupich scen — popatrzyła surowo na Beatkę —przypominają mi zakład i tamte dziewczyny. Sądziłam, że ty jesteś inna, widocznie się pomyliłam. Cześć — uśmiechnęła się drżącymi wargami i skierowała do wyjścia...

Beatka poczuła, że sufit wali się na nią, jak Rejtan rzuciła się do drzwi, rozpostarła ramiona w geście rozpacz.

—Nie puszczę cię! — krzyknęła. — Musisz zostać! Musimy porozmawiać. Będę spokojna, przyrzekam, złego słowa nie powiem, tylko nie odchodź, błagam, nie zostawiaj mnie, nie odchodź! — łzy posypały się z jej oczu jak grad, na bladych dotąd policzkach wykwitły czerwone plamy.

W Majce coś drgnęło, puściły wszystkie śruby. Wyciągnęła ręce, przygarnęła Beatkę do siebie i wyściskała. W jej ramionach nie czuła się już tak rozpaczliwie samotna, wzgardzona i odrzucona przez ten parszywy świat.

—Cicho! Nie płacz! — szeptała — wszystko się ułoży, zobaczysz! Z Iwoną nic mnie nie łączy. Nic takiego o czym myślisz.

—Czekałam na ciebie — nie przestawała szlochać Beatka. — Cały czas czekałam, to mnie trzymało, inaczej nie wiem co bym...

—Nic nie mów. Jesteś wspaniałą dziewczyną... musisz tylko uwierzyć w siebie...

—Ja wierzę w ciebie i kocham cię...

—Cicho! — Majka zakryła jej usta. —Jeszcze kto usłyszy! Boże! Co my robimy? — Beatka dotknęła jej ramion. Majkę ogarnęło gorąco. Nie miała już sił się bronić.

\* \*

\*

Kiedy szary poranek wchodził niezdecydowanie do pokoju dziewczyny spały przytulone do siebie. Zsuwająca się kołdra tylko nieznacznie osłaniała ich nagie jeszcze nie w

pełni rozkwitłe ciała. Beatka uśmiechała się przez sen, natomiast Majką co jakiś czas wstrząsały dreszcze, a z ust wydobywało się cichutkie pojękiwanie. Głośne dudnienie ciężarówek, grzechoczących przyczepami wdarło się do pokoju. Majka zerwała się przerażona, w panice rzuciła się do drzwi, oprzytomniała jednak i odwróciła się, dopiero teraz spostrzegła śpiącą przyjaciółkę i wybuchnęła śmiechem. Beatka się obudziła.

—Co się stało? — spytała trąc oczy.

—Śniło mi się, że mnie wsadzają za kratki.

—To świetnie — ucieszyła się Beatka. — To znaczy, że będzie odwrotnie.

—Jak się coś śni na nowym miejscu, to zawsze się sprawdza

—upierała się przy swoim Majka.

—Będzie akurat odwrotnie. Zapytaj babci. Ona się na tym zna. Połóż się, dzisiaj niedziela. Możemy spać do południa — zapraszała ją do siebie Beata.

—Już dziesiąta — Majka rzuciła okiem na stojący na półce budzik.

—Spałyśmy prawie dwanaście godzin. A ja mam tyle spraw do załatwienia. Muszę znaleźć jakieś lokum, no i odszukać chłopaka Iwony, doręczyć mu list. To pilne! Pojedziesz ze mną?

Beatka pokręciła głową.

—Chodzi o babcię. Nie mogę zostawić jej samej. Już raz podpaliła dom... Czuję się jak w mamrze. Poczekaj do jutra, jak oni wrócą, pojedę z tobą, gdzie zechcesz.

—Nie. Boję się, że ta idiotka zrobi jakieś głupstwo.

—Co cię to obchodzi? Zostań! — doskoczyła do Majki i wciągnęła ją z powrotem do łóżka. Szarpały się wśród pisków i śmiechów. Majka broniła się coraz słabiej, znów czuła jak topnieje. Pod wpływem pieścizot Beatki zamienia się w miękkie ciasto, które można ugniatać w dowolne formy i kształty, jej ciało napelniało się żarem i nagle jakaś siła postawiła ją na nogi.

—Zostaw mnie! — krzyknęła ochryłym głosem. — Co ty wyprawiasz! Boże! Tak nie można! Ja chcę żyć normalnie.

—Czy ci źle? Powiedz? Czy ja nie jestem normalna? Czy miłość jest grzechem? Czy my robimy coś złego?



—Musimy z tym skończyć. Im wcześniej tym lepiej.

—Nie kochasz mnie! — Beatka osunęła się na kolana. — Nie mam po co żyć. Zabiję się! —jęknęła. Majka roześmiała się drwiąco, ale po chwili spoważniała.

—Nie pleć głupstw — mruknęła bez gniewu —jesteś mi potrzebna. Pogadamy jak wrócę. Przygotuj coś do jedzenia i nie szantażuj mnie, bo tu nigdy nie przyjdę, słowo daję — podniosła ją z klęczek, poklepała żartobliwie w policzek.

Beatka z wdzięczności przywarła ustami do jej ręki. Majka znów ją skrzyczała. Naprawdę nie wiedziała, co zrobić z tym fantem.

\* \*

\*

Jadąc autobusem na drugi koniec miasta usiłowała pozbierać myśli. Jednak wszystko było płynne jak woda w wielkiej rzece, brakowało punktu odbicia, a jeszcze bardziej punktu zaczepienia. Jutro rozejrzy się za pracą. To będzie jakiś krok do przodu. Pograżona w niewesołych rozmyślaniach dotarła nad Dolinkę do osiedla, które miało być chlubą epoki sukcesu, a stało się kolejnym pomnikiem socjalistycznego partactwa. W standardowych blokach, długich i brzydkich, gnieździły się tysiące rodzin. I tu schody od dawna nie miały kontaktu ze ścierką, przykurzone drzwi były zachlapane farbą, a dzwonek trzymał się cudem na jednej koślawej śrubce. Jego przejmujący dźwięk przeciął ostro ciszę na klatce. Majce zdawało się, że postawił na nogi wszystkich sąsiadów, ale nic się nie stało, po chwili niedzielna cisza powróciła do bloku. Za drzwiami z zachlapanym numerem ktoś jednak był, lecz zwlekał z otwarciem. Majka jeszcze raz dotknęła ostrożnie dzwonka. Odczekała chwilę, pomyślała, że przyjedzie tu wieczorem albo jutro z samego rana. Musi oddać ten list, słowo się rzekło. Z tym postanowieniem zeszła o kilka stopni w dół i wtedy otworzyły się drzwi. Na progu stanęła Iwona, ubrana w męską koszulę, narzuconą na gołe ciało.

—O Boże, Majka! — obejrzała się z lękiem za siebie, zamknęła drzwi, jeszcze raz się obejrzała, a po stwierdzeniu, że drzwi pozostają nadal zamknięte rzuciła się Majce w ramiona.

—Nie wiedziałam, że jesteś taką idiotką — odepchnęła ją Majka. — Nigdy stamtąd nie wyjedziesz. Nigdy...

—Cicho! — Iwona zatkała jej usta. — On o niczym nie wie. Powiedziałam, że jestem na warunkowym. Nie wysyp mnie, błagam! Podrzyj ten gryps. On jeszcze śpi, aleś mnie przestraszyła, już myślałam, że to gliniarze...

—Znajdą cię, nie martw się.

—Nic z tych rzeczy. Majka! On jest fantastyczny. Pobieramy się, słyszysz? Jak już weźmiemy ślub to dadzą mi spokój, no nie?

Majka milczała ponuro i kręciła głową.

—Dlaczego nic nie mówisz? Co, nie wierzysz w to? — spytała bojaźliwie, wpatrując się w nią z napięciem.

Majka potrząsnęła głową.

—Pokłóciłam się z ojczymem i nie mam gdzie się podziać — wypaliła jednym tchem. I wreszcie poczuła ulgę, że komuś to powiedziała. Beatki nie chciała wtajemniczać w swoje sprawy, bała się, że ona to wykorzysta i uzależni ją od siebie, co innego Iwona. Z nią można było rozmawiać o wszystkim. Iwona poza szczerą przyjaźnią niczego nie żądała.

—Och! Nie martw się — objęła ją i pocałowała. — Tolo coś wymyśli. On ma różnych znajomych, mówię ci, on jest naprawdę... Zaczekaj tu... pójdę go obudzić... tylko pamiętaj! Jestem na warunkowym — zniknęła za drzwiami.

Majka usiadła na parapecie i zapaliła papierosa. Kiedy po kilku minutach Iwona zawołała ją przez uchylone drzwi uśmiechnęła się do niej z ufnością. Nagle uwierzyła, że to właśnie Iwona pomoże jej znaleźć wyjście z tego zakłętego kręgu.

Tolo powitał ją powściągliwym aczkolwiek miłym uśmiechem. Kończył zapinać mankiety przy sportowej koszuli, która z pewnością nie była dziełem polskiego przemysłu. Miała pagony, sportowy kołnierzyk i dwie starannie wystebnowane kieszenie, kolorem zaś przypominała lody pistacjowe. Opalona twarz Tola z ciemnymi oczami w kształcie śliwek wyglądała sympatycznie i świeżo. Uścisnął Majce rękę i sięgnął po papierosa.

—Siadaj! — powiedział zdawkowo, podsuwając jej krzesło. —Przepraszam! Zapalisz? — wyciągnął do niej rękę z paczką carmenów.

Majka wzięła papierosa i podziękowała. Tolo jak przystało na dżentelmena podał jej ogień, odwrócił się do Iwony i objął ją czułym gestem.

—Słyszałem, że masz kłopoty — uśmiechnął się współczująco do Majki, która skinęła głową. — Tak to jest — ciągnął, nie spiesząc się.

—Wolność ma również niedobry smak. Trzeba się z tym pogodzić, ale nie upadać na duchu. Prawda Grubasku? — znów przytulił do siebie Iwonę.

—Och!

—Ja nie narzekam — odparła Iwona — mam ciebie, a to chyba coś jest — musnęła go ustami w policzek z wielką czułością. Tolo objął ją i posadził przy sobie. Jego piękne oczy pełne były miłości i przywiązania. I Majka, nie zważając na przyjazne uczucia do Iwony poczuła coś na kształt zazdrości. O nią nikt się nie troszczył, nie martwił, na dobrą sprawę nikt o niej nawet nie myślał, sama musiała borykać się z losem. Tolo jakby to wyczuł, spojrzął na nią z sympatią i zapytał, co zamierza robić.

—To co wszyscy — wybąkała jak uczennica na egzaminie. Mówienie przy Tolu o oczywistych rzeczach wydało jej się niestosowne —uczyć się, pracować. Skończyłam kurs fryzjerski, mam zaświadczenie...

—Zaświadczenia! Papiery — roześmiał się ubawiony — ten kraj zavalony jest milionami zaświadczeń... teraz to nic nie znaczy, moja miła. Czasy nie te. A konkretnie, co ty umiesz robić? — zapytał szybko i raczej nieprzyjemnie.

—Jak to co? — oburzyła się Majka. — Umiem strzyc, czesać...

—No — przerwał jej z czarującym uśmiechem — po fryzurze Iwony, a nie obraż się, i twojej, tego nie widać. Zalutuje od was prowincją, serio. Zanim coś zaczniesz robić, musisz pójść do dobrego fryzjera, ostrzyc się modnie, uczesać, a dopiero potem myśleć o pracy, nawet wiem jak by ci było do twarzy. Po raz pierwszy uważniej przyjrzał się Majce. — Musisz zasłonić czoło i uszy, i żadnej trwałej, pamiętaj. Jeżeli oczywiście chcesz oryginalnie wyglądać. Trwałą noszą wszystkie sprzątaczkę, tak moja miła, chyba, że zrobisz frędzle — tak — potarł palcami czoło i ciepłym uśmiechem obdarzył Iwonę. — Zrób nam kawy Grubasku — proszącym gestem ujął ją za rękę. — Po tym — wskazał na butelki po winie, stojące na stole —jakoś głowa mi nie pracuje... Widzisz —zmienił ton z żartobliwego na poważny — w Polsce zarobić nietrudno —trzeba mieć tu — pokazał na głowę. — I przestań się martwić —klepnął ją po przyjacielsku w ramię — coś się wymyśli, co trzy głowy to niejedna... Prawda Grubasku? — znowu posłał Iwonie uśmiech, na który ona odpowiedziała wiernopoddającym skinieniem głowy, które w pełni zadowoliło Tola. — Masz jakiś szmal? — zwrócił się niespodziewanie do Majki.

—Czterysta tysięcy — odpowiedziała z dumą.

—Czterysta — powtórzył z lekką ironią — kiedyś to była forsa, ale dzisiaj, chyba sama rozumiesz, że to nic nie jest.

Majka nie rozumiała. Te czterysta tysięcy to był jej zarobek, plus oszczędności z wypiski, a on lekceważąco orzekł, że to nic nie jest. Ogarnęło ją przerażenie, a więc znów była biedna, bezbronna, wydana na kpiny szkolnych koleżanek, którym nie potrafiła niczym zaimponować. Usiłowała pokryć dławiący ją strach beztroskim uśmiechem i jeszcze umocnić go gestem. Tolo jednak nie dał się zwieść, przejrzał ją na wylot, wiedział co się z nią dzieje, ale się nie wyśmiewał i nie kpił, spytał serdecznie i prosto, czy ma gdzie spać. Potwierdziła szybko, aczkolwiek myśl o powrocie do Beatki nie należała do przyjemnych. Majka nie znosiła scen, wyznań i tej zakładowej hysterii, z którą chciała raz na zawsze wziąć rozbrat, szukała więc ratunku w słowach Tola. Jego cichy spokojny głos nappełnił jej serce ufnością. Znów objął czułym gestem Iwonę, która postawiła przed nimi szklanki z kawą i przykryła je spodkami. Kawa pachniała przyjemnie, ale gruby kołnierz z fusów gromadzący się na wierzchu nie zachęcał do picia.

—Gdyby zabrakło ci na jedzenie wal do nas — przekonywał ją Tolo. — A może pożyczyc ci jeszcze parę złotych?

—Och! Nie! — przeraziła się Majka. — Nigdy nie pożyczam. Coś ty. Jest Beatka — piła kawę parząc się w usta. Wdzięczność do Tola za jego dobre słowa przepełniała jej serce. Iwona miała rację. Tolo był fantastyczny. Odprowadzając ją do drzwi obiecywał solennie coś dla niej zrobić i prosił, żeby wpadła do nich za dwa trzy dni.

\* \*

\*

Ostatniego czerwca, gdy część zakładów i sklepów zamykała się z powodu urlopów, chorób, remontów, epidemii, asenizacji i braku personelu Beatka dokonała cudu i załatwiła Majce pracę w niezbyt może wytwornym zakładzie na Pradze, który spośród wielu zalet miał i tę, że pozostawał otwarty przez całe lato.

Właściciel, miły pan o pogodnym usposobieniu, przyjął Majkę od razu, chociaż sprawdzian jej umiejętności fryzjerskich nie wypadł najlepiej. Tolo miał rację, załatwywało od niej prowincją, toteż pan Marek orzekł, że musi się jeszcze poduczyć, bo strzyc modnie i czesać nie potrafi. Kazał jej przeglądać zagraniczne pisma w wolnych chwilach, myć głowy, robić trwałe, no i nie odstępować go na krok.

—A pensja? — zapytała nieśmiało.

—Uczennicy — odpowiedział szybko Marek — plus napiwki. Jeżeli będziesz miła dla klientek, one będą miłe dla ciebie, ale przede wszystkim masz być miła dla swojego szefa. Jasne?

—Jestem miła.

—No, to się jeszcze okaże, na razie umyj głowę naszej kochanej pani Krysi. Trwała czy farba? — zwrócił się do klientki. — Proszę zejść na dół!

—Ale ja mam zaświadczenie, zdałam na czeladnika — upierała się Majka.

—To opraw je w ramki i powieś na ścianie — roześmiał się beztrosko, a widząc jej zmartwioną minę dodał — za pół roku wrócimy do sprawy, jeżeli oczywiście będziesz pojętna i posłuszna.

—A z czego ja mam żyć? — wyszeptała ze ściśniętym gardłem, ale tego już pan Marek nie raczył usłyszeć, wskazał jej ręką schody i Majka połykając łzy poszła myć głowę pani Krysi, za co dostała tysiączłotowy napiwek. Do końca dnia uzbierała dwadzieścia tysięcy, które natychmiast wydała na jedzenie i papierosy.

Z duszą na ramieniu wróciła na noc do Beatki. Jej matki wraz z kolejnym narzeczonym nie było, zjawiała się za to nazajutrz z rana niewyspana i zła, ścięły się od razu w kuchni z Beatką. Majka słysząc ich podniesione głosy wiedziała od razu w czym rzecz. Żałowała, że nie spędziła tej nocy na dworcu, naraziłaby się na niewygody, ale uniknęłaby przykrew sytuacji. Burza jednak szybko minęła. Przy śniadaniu, które spożywały w pozornej zgodzie we trzy, matka Beatki uśmiechnęła się do Majki, zachęcała ją do jedzenia, zaparzyła jej mocnej kawy i poczęstowała czekoladą. Już się udobruchała, a wychodząc powiedziała, że do powrotu Kuby Majka może u nich mieszkać. Później też mogłaby, ona nie ma nic przeciwko temu, ale Kuba nie znosi obcych osób w domu. Pocałowała ją na pożegnanie i wyszła, obładowana pakami do taksówki. Znowu jechała gdzieś w Polskę handlować. Po odjeździe matki Beatka się rozszalała.

—Chińskie gadanie! — syczała — Kuba nie znosi obcych! Akurat! Jemu w to graj, lubi ruch, dziewczyny... A ona jest dziko zazdrosna, stara wariatka, myśli, że nie wiem, o co jej chodzi. Kuba mógłby być jej synem... Myśli, że go upilnuje, zamknie w klatce, skleroza... Nienawidzę jej — krzyczała rzucając przedmiotami. Majka wyszła bez słowa. Beatka, co by nie mówić działała jej na nerwy.

Wieczorem pojechała do Iwony, nie licząc zbytnio na to, że zastanie ją w domu. Zastali ich oboje. Tolo tym razem powitał ją z niekłamaną radością, jak kogoś bliskiego, wyściskał, ucałował i naprawdę się ucieszył. Iwona w nowej fryzurze „a la punk”, w

modnych szerokich spodniach wydała się Majce nie tylko szczuplejsza, ale o wiele ładniejsza. Tolo kazał jej włożyć błyszczącą bluzkę i przejść się po pokoju.

—No jak? — zapytał z dumą.

—Pierwsza klasa — odpowiedziała Majka. — Mogłaby być modelką.

—Pewnie. A gadają, że nie szata zdoła człowieka. Napijesz się wina?

—Czy ja wiem? — zawahała się Majka.

—Nie bądź taka święta! Pij, rozluźnij się i opowiadaj co u ciebie?

—Właściwie to nic nowego, zaczęłam pracować w zakładzie fryzjerskim, miałeś rację, zalatuje ode mnie prowincją, muszę się uczyć wszystkiego od nowa. Ale to nie straszne. Lubię się uczyć. Gorzej, że nie mam gdzie mieszkać.

—To też nie problem, ale trzeba mieć forszę. Jak masz forszę, nikt cię nie pyta o mel-dunek ani o rok urodzenia. Prawda Grubasku? — zwrócił się do Iwony, która odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

—Ja nie mam forsy, dobrze o tym wiesz — nastroszyła się Majka.

—Ale możesz mieć. Każdy może, ty też... Znasz takie przysłowie? Dla chcącego nie ma nic trudnego.

—Mam kraść? — stwierdziła ponuro Majka.

Tolo roześmiał się beztrosko.

—Tego bym ci akurat nie radził. Przy recydywie sędziowie nawet nieletnich traktują surowo.

—Więc co? Iść na ulicę?

Tolo uśmiechnął się tajemniczo i zaprzeczył stanowczo.

Majka poczuła się oszukana, tak na niego liczyła, a on nie miał jej nic do zaproponowania, nie miał żadnych pomysłów, tylko głupawe stwierdzenia i ujmujący uśmiech, który na Iwonie być może robił wrażenie, ale dziś ją wyjątkowo złościł. Gdy człowiek tonie trzeba mu podać rękę i nie zbywać go miłymi słowy. Zgasiła nerwowo papierosa i wstała.

—Pójdę się rozejrzeć po dawnych kumpelkach.

Tolo skinał głową jakby się z nią zgadzał, a kiedy dotarła do drzwi zatrzymał ją i podsunął jej krzesło.

—Siadaj i napij się wina — nalał do szklanki.

—Nie chcę wina — wrzasnęła ze złością — nie mam gdzie spać, a ty chcesz mnie upić... — odwróciła oczy, ponieważ zbierało jej się na płacz.

Iwona skarciła łagodnie Tola i przytuliła się do Majki.

—Spokojnie, spokojnie — szeptała — on coś wymyśli, tylko się nie denerwuj.

—Wiesz, co sobie pomyślałem?—Tolo zaciągnął się dymem, w jego czarnych oczach pojawiły się wesołe błyski.

Majka wzruszyła ramionami z rosnącą irytacją i nawet na niego nie spojrzała, on nie spieszył się wcale z ujawnieniem swoich myśli, smakował wino i palił. Wyglądało na to, że się z nią drażni.

—Pomyślałem sobie—zaczął po chwili cedzić słowa — że mogłabyś mieszkać tutaj razem z Iwoną. Ja bym wam nie przeszkadzał, i tak nocuję u mamy. Staruszka nie najlepiej się czuje, dusi się, często trzeba wzywać pogotowie, a ostatnio po tych morderstwach i napadach po prostu się boi... Tę garsonierę wynajmuję dla przyjemności. Rozumiesz? — rzucił Iwonie porozumiewawcze spojrzenie, a ona odpowiedziała znaczącym westchnieniem. — Trzy dychy miesięcznie to nie jest chyba wygórowana cena?

—Zielonych?

Majce pociemniało w oczach. Co on sobie wyobraża, że klientki u pana Marka obsypują ją dolarami?

—Ja nie mam takiej forsy — szepnęła z poczuciem winy. Już nie patrzyła na Tola, denerwował ją blask w jego oczach, napięta gładka skóra na twarzy i czarne przylizane włosy, które upodobiały go do azjaty.

—Toteż nie będziesz płacić, przynajmniej na razie — huknął ją przyjaźnie w ramię.

—Naprawdę? — wykrzyknęła z niedowierzaniem.

—A co ty sobie wyobrazasz, że mógłbym zostawić przyjaciółkę Iwony w potrzebie? Nigdy w życiu. Zginiemy na tym najwspanialszym ze światów, jeżeli nie będziemy sobie pomagać.

—Dziękuję — bąknęła zmieszana Majka. — Nie chciałabym wam sprawiać kłopotów.

Tolo roześmiał się dźwięcznie i przygarnął do siebie Iwonę, która z oddaniem wtuliła się w jego ramiona.

—W razie czego kupimy ci bilet do kina albo do opery, stać nas na to. Prawda Grubasku? — nie przestawał się śmiać.

—Pewnie — potwierdziła ochoczo Iwona i zgmiotła Majkę w mocnym uścisku.

—Widzisz, on jest wspaniały — szeptała w uniesieniu — najwspanialszy na świecie.

Tolo udawał, że nie słyszy, z tajemniczym uśmiechem popijał wino i palił Marlboro.

—A teraz — zaczął głosem namaszczonego i dźwięcznym aczkolwiek niezbyt mocnym — porozmawiamy o tym, jak zdobyć forszę, ale, zanim przystąpimy do konkretnych działań, musicie spełnić pewne warunki: po pierwsze — skończyć z grypserą. Dla Majki nie będzie to trudne, zauważyłem, że wyraża się poprawnie, natomiast Iwona ma niemal we krwi wszystkie te ksywy, szlugi, szamania itp. Od dzisiaj koniec z tym. Musicie wysławiać się poprawnie co najmniej jak licealistki, dotyczy to przede wszystkim Iwony. Dalej, musicie przeczytać kilka lektur szkolnych no i wreszcie nauczyć się *savoir vivre*...

—Czego? — zapytała przestraszona Iwona.

—Sposobu bycia. Mówić kiedy trzeba — proszę, dziękuję, przepraszam, to chyba niezbyt skomplikowane. A przede wszystkim żadnych wzmianek o poprawczaku, jesteście z bardzo dobrych domów, trochę zepsute, żadne wrażeń... Z życiorysów i z lektur przepytam was za kilka dni, a potem przystąpimy do działania.

—Co będziemy robić? — spytała lękliwie Majka. Warunki wstępne były nieoczekiwane i dziwne, dla niej niezbyt trudne do spełnienia, ale co dalej?

Tolo nie chciał się zdradzić.

—Wszystko w swoim czasie — uśmiechał się wdzięcznie i dolewał jej wina.

Iwona o nic nie pytała, w pełni polegała na nim, była przecież zakochana do szaleństwa.

\* \*

\*



Jadąc autobusem odpędzała od siebie złe myśli. Nie miała zaufania do Tola, do nikogo nie miała. Zastanawiała się, czego on zażąda w zamian za dach nad głową, i na czym polega jego genialny plan. Kradzieże odpadają, sam przecież przyznał, nierząd, jak się to oficjalnie nazywa, też.

Mimo dużej zdolności przewidywania Majka nie potrafiła odgadnąć jego zamiarów. Siedziała przy oknie, wyglądała na ulicę i powtarzała w myślach:

*Wyratuj ty mnie z męki*

*Wyratuj z grzechu mego*

*Już słów mi brak dla Ciebie*

*Już spojrzeń brak i żalów,*

*Już noc się we mnie mroczy*

*Wyratuj ty mnie z męki*

*Wyratuj z grzechu mego.*

Czerwone światła unieruchomiły autobus na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Tłum przelewał się jak zwykle w tym miejscu, ludzie spieszyli do domów Centrum lub wracali stamtąd, pędząc na oślep do autobusów i tramwajów. Pośpiech, zmęczenie i smutek niczym groźne motta były wypisane na wszystkich twarzach. Majka nie mogła jednak wykrzesać z siebie odrobiny współczucia dla swoich rodaków, czuła do nich niechęć, złość, a nawet pogardę. Zwierzęcy niemal sposób bytowania mieszkańców stolicy trzydziesto- ośmiomilionowego narodu był upodlający i budził wstręt. A przecież kiedyś Warszawa była miastem, niezbyt ładnym, to pewne, ale ruchliwym, gwarnym i różnorodnym. Teraz przypominała gigantyczną wieś, w której odebrano chłopom ziemię. Nikt tu nie gospodarował na swoim, nikomu nie zależało na wyglądzie domów, sklepów, ulic i placów, wszystko tonęło w błocie, kurzu i dymie, sklepy odstraszały tandetą i wysokimi cenami, kawiarnie bezwstydną golizną brudnych ścian, podłóg i niezwykłą wprost dewastacją mebli i wszelkich urządzeń. W każdym kącie, na każdym skrzyżowaniu czaiły się smutek, bieda i złość. Nagle, w tym szarym, nieprzyjaznym tłumie, przelewającym się przez ulicę Świętokrzyską, pojawiła się jasna sylwetka Marcina. Szedł uśmiechając się do swoich myśli i do bezchmurnego nieba. Majka, nie zastanawiając się nad tym co czyni, podbiegła do kierowcy i zaczęła go błagać, żeby otworzył drzwi. Niestety, błysnęło zielone światło i kierowca, nie zwracając na nią uwagi, ruszył ostro z miejsca, ona wróciła do drzwi i z drżeniem serca czekała na przystanek, który znajdował się przy No-

wym Świecie. Wiedziała już, że nie dogoni Marcina, mimo to wysiadła i innym autobusem wróciła do skrzyżowania, błąkała się jakiś czas między pawilonami, które zastępują Warszawie centrum handlowe, łudząc się, że go spotka. Przeszła się Marszałkowską, obejrzała ludzi na przystankach, wśród których jego oczywiście nie było, zrezygnowana wróciła do Świętokrzyskiej. Po drodze zajrzała do trzech kawiarni, znajdujących się na trasie i — dziwiąc się własnej naiwności — powlokła się do przystanku, gdzie ponad pół godziny czekała na autobus.

\* \*

\*

Kilka dni spędzonych z Iwoną w niewielkiej kawalerce należało do jednych z przyjemniejszych w jej życiu. Codziennie rano wychodziła do pracy, gdzie pan Marek zawsze życzliwy i uśmiechnięty, wtajemniczał ją w arkana sztuki fryzjerskiej. Za pół roku, obiecywał, jak Majka się poduczy, zmieni umowę i zatrudni ją jako fryzjerkę, będzie zarabiał znacznie więcej. Żeby tylko ceny nie pędziły tak strasznie w górę, inaczej połowa klientów przestanie się czesać i farbować, niektóre przestaną się nawet strzyc.

Pół roku — myślała Majka — to cała wieczność. Do tego czasu mogą przymknąć Iwonę, a Tolo może wyrzucić ją na bruk. Na razie zachowuje się bez zarzutu, ale czy to wiadomo. Sam się kiedyś otarł o zakład, więc wie czym to pachnie. Miał szczęście, kochana mamusia wyciągnęła go stamtąd po trzech miesiącach. Rozumie dziewczyny takie jak one, i co najważniejsze — chce im pomóc, a właściwie nie tylko chce, już przecież to robi. Pożyczył Majce kilkaset tysięcy złotych. Wie, że samopoczucie dziewczyny w dużej mierze zależy od tego, co ma na sobie. Dzięki niemu Majka pozbywa się, aczkolwiek powoli, paraliżującego ją poczucia gorszości. Nie jest żadną pięknoscią, wie o tym, ale makijaż i odpowiednia fryzura oraz modny, lecz niezbyt krzyzący ciuch czynią ją interesującą, chwilami nawet ładną. Tolo też to zauważył.

— A wiesz — powiedział — że ty możesz się podobać, oczywiście nie byle komu. Iwona jest typem kurewki, a ty nie. Większość mężczyzn lubi ten typ, kurewski typ, rzecz jasna, ale wy dziewczyny z poprawczaka nie możecie sobie pozwolić na taki luksus, nie możecie wyglądać jak kurwy, inne tak, wy nie.

Jeśli chodzi o Majkę nie było sprawy, ona zawsze wyglądała subtelnie, szczupła, czarna, z piwnymi oczami, które przy odpowiednim oświetleniu błyszczały niesamowicie. Szeszywała do góry włosy i związywała je na czubku głowy, co czyniło ją banalną i pospolitą, dopiero w nowej krótkiej fryzurze, zasłaniającej uszy i czoło wyglądała cieka-

wie. Pan Marek również to zauważył i częściej niż dotąd spoglądał w jej stronę, chętniej udzielał rad jak posługiwać się nożyczkami.

Z Iwoną nie poszło tak łatwo, jej krzyżująca uroda nie poddawała się żadnym zabiegom, nawet bez trwałej i makijażu wyglądała wyzywająco i wulgarnie, nie udało się ukryć jej rumianych policzków, pulchnych mięsistych warg ani niebieskich oczu wielkości filizanek, włosy skręcone jak u Murzynki nie poddawały się żadnym grzebieniom, chociaż jeden z lepszych warszawskich fryzjerów już dwukrotnie starał się je ucywilizować. Udało mu się to zaledwie w połowie. Koloru nie trzeba było zmieniać, słońce zrobiło to lepiej niż zagraniczne farby, nadając im odcień lipowego drewna.

Tolo nie był zadowolony, chciał koniecznie coś zmienić, lecz poza upiększeniem czoła Iwony indiańską opaską nic nie mógł wymyśleć. Musiał zadowolić się jej postępani w sposobie wyrażania się. Tu egzamin wypadł na piątkę. Iwona starała się mówić mało, z namysłem i chociaż nieraz brakowało jej słów, nie posługiwała się slangiem.

Nadszedł wreszcie wyczekiwany z drzeniem dzień próby, kiedy należało pomysły Tola wprowadzić w czyn. Majka, ubrana w białą błyszczącą bluzkę i czarną spódniczkę, od dłuższego czasu krążyła po słabo oświetlonej ulicy, na której mrugały leniwie dwa neony, jeden z nazwą hotelu, drugi restauracji. Do restauracji rzadko ktoś wchodził, popychając niedbale dwuskrzydłowe szklane drzwi. Majka zacisnęła usta i żegnając się jak przed wskoczeniem do głębokiej wody dotknęła ich. Drzwi rozstały się przed nią jak baśniowy sezam. Zaskoczona zrobiła krok do przodu i cofnęła się na widok portiera o wyglądzie ministerialnego urzędnika, który niespodziewanie zagroził jej drogę i oświadczył, że miejsc nie ma.

—Jestem umówiona z panem Tolem — wystękała nieśmiało.

—W takim razie są miejsca — burknął portier i wrócił na swój posterunek przy drzwiach.

Majka, nadrabiając miną, wsunęła się na salę, oswajała się chwilę z półmrokiem, obserwując tańczących, wśród których przeważały pary w średnim wieku. Niski mężczyzna o białych rozwichrzonych włosach czynił najwięcej zamieszania, okręcał wokół siebie znacznie młodszą partnerkę, klaskał w dłonie, przeginał się, klękał. Wyglądało to żałośnie i wzbudzało współczucie, a on chciał, żeby go podziwiano i oklaskiwano, zapewne w swoim odczuciu był młody, silny, zdrowy i piękny. Iwona z włosami jak frędzle, zamysłona i smutna ginęła w przepaścistych ramionach jakiegoś grubasa. Przy barku Tolo zwrócony twarzą do sali z nieodłącznym papierosem w ustach, popijał coś z wysokiej szklanki. Spostrzegł od razu Majkę i ruchem głowy wskazał jej wolny stolik. Dotarła

tam, wymijając tańczących, usiadła z uczuciem ulgi. Tu pod czujnym okiem Tola czuła się bezpieczna. Też zapaliła i uważnym spojrzeniem zlustrowała salę, omijając wzrokiem Arabów stłoczonych wokół dwóch jasnowłosych pańienek, wychwyciła oczami zażywnego mężczyznę, który siedział sam i ze znudzoną miną sączył koniak. Uśmiechnęła się do niego, po czym szybko, jak przystało skromnej dziewczynie, odwróciła wzrok. Mężczyzna chwycił przynętę, wpatrywał się w nią nieustannie i czekał na jakiś znak z jej strony. Widząc to, Majka posłała mu bardziej wyraźny uśmiech, za którym kryła się zachęta i obietnica. Mężczyzna zrozumiał i wskazał ręką jej stolik, Majka skinęła głową, on przesłał jej uśmiech zdobywcy świata, rzucił jakiś banknot na stół i nie rozstając się z tym uśmiechem, ruszył do niej zdecydowanie.

—Pani pozwoli — skłonił się. — Pietras jestem—uścisnął mocno jej rękę.

—Majka — uśmiechnęła się oczami i wskazała mu krzesło.

—To od Marii? — zapytał zaciekawiony.

—Tak. A jak panu na imię?

—Eugeniusz — odpowiedział z dumą.

—To prawie jak Euzebiusz — wtrąciła Majka. Pan Pietras zrobił okrągłe oczy.

—Ojciec Juliusza Słowackiego miał na imię Euzebiusz — wyjaśniła z powagą Majka.

—Ach! Tak? Nie wiedziałem — bąknął zaskoczony. — W szkole mówiło się o ojczymie... jakże mu tam.

—Becu — odpowiedziała skromnie Majka — obrzydliwa kreatura, carski lokaj, donosiciel i szpieg. Spotkała go za to zasłużona kara...

—Czego się napijesz? — przerwał niecierpliwie pan Pietras. Widocznie historia literatury nie była jego mocną stroną.

—Och! Nie wiem. Tu bardzo drogo — odpowiedziała rumieniąc się.

—Słowacki się go...

—Ja płacę. No więc co zamówić?

—Coca colę.

—Coca colę? — powtórzył z niedowierzaniem. — Może wino albo koniak?

—Nie, to za drogo — obstawała przy swoim Majka.

—Wiesz co? — ożywił się nagle. — Mieszkam w tym hotelu. W pokoju mam jakąś butelczynę. Weźmiemy stąd coca colę i pójdziemy. Przyjemniej się rozmawia bez tego rzepolenia.

—Nie mogę — odpowiedziała szczerze zmartwiona Majka.

—W hotelu pełno tajniaków, a ja jestem niepełnoletnia. Panu nic nie zrobią, a mnie wsadzą do poprawczaka.

—To może pójdziemy do ciebie? — zapalił się.

—Czemu nie? Przed tym jednak poproszę o dowód. Nie pójdę w ciemno nie wiadomo z kim. Może pan jest zboczeńcem, karanym sądownie, bez stałego miejsca zamieszkania.

—No wiesz, ja i zboczeniec — roześmiał się pan Pietras. — Co ty opowiadasz dziecino! Jestem solidnym człowiekiem, szanowanym przez podwładnych i przełożonych. Dostałem nagrodę ministra za wdrażanie postępu. Nie wierzysz? — wyciągnął jakiś papierek, na który Majka ledwie rzuciła okiem. — Zboczeniec! A to dobre — nie przestawał się śmiać. — Popatrz! — wy dostał z portfela plik zdjęć. — To jest moja żona, a to dzieci, a tutaj cała czwórka na tle naszego domu.

—Jednym słowem szczęśliwe życie rodzinne — wtrąciła uszczypliwie.

—Ale nudne! Skarbie. Żona mi się nie sprawdza...

—Niemniej jednak poproszę o dowód — nie ustępowała Majka.

—Ale ty jesteś — cmoknął zachwycony. — Twarda, nieustępliwa. Z taką człowiek daleko by zaszedł, a moja żona jest miękka, ślamazarna, nijaka... — westchnął z żalem, ale widząc, że Majkę nie interesuje jego gadanie z pewnym ociąganiem podał jej dowód.

Majka obejrzała uważnie zdjęcie i porównała je z oryginałem, sprawdziła nazwisko, imię, miejsce zamieszkania i zwróciła mu go.

—W porządku — oznajmiła. — Pozostaje tylko uzgodnić cenę.

—Co? — zdumienie wykrzywiło mu twarz.

Majka uśmiechnęła się wdzięcznie.

—Nie to nie. Posiedzimy sobie, porozmawiamy o Słowackim albo o Balzaku. Lubi pan ojca Goriot?

Pan Pietras obrzucił ją wściekłym spojrzeniem i rozluźnił krawat.

—Ile? — wychrypiał ze złością.

—Trzysta tysięcy — uśmiechnęła się Majka.

—Trzysta tysięcy? — powtórzył nieprzytomnie.

—Chyba, że pan płaci w dolarach. Co to jest przy tej drożyznie. Kolacja kosztowała by pana drożej — nie przestawała uśmiechać się Majka. Wiedziała, że pan Pietras pożera ją oczami.

—No dobrze — westchnął zrezygnowany.

W taksówce, bojąc się strącić z ramion opasującą ją ciężką rękę pana Pietrasa, myślała znów o Marcynie, czekała niecierpliwie, licząc minuty, na finał. Na schodach kazała mu zachowywać się cicho. „Sąsiedzi!” — upominała karcąc go za nieprzyzwoity chichot i wyrwała mu się z objęć, unikając w ten sposób jego nachalnych pocałunków. Gdy weszli do pokoju zasłoniła okno i kazała mu usiąść. Pan Pietras nie usłuchał. Podejrzewając jakiś podstęp zajrzał najpierw do kuchni, potem do łazienki, a po stwierdzeniu, że nikogo nie ma, szarpnął za drzwi od szafy. Nie zdziwiła go znikoma ilość ubrań na wieszakach. Odetchnął z ulgą, pełen zadowolenia uśmiech okraszył mu twarz, usiadł wreszcie wielce z siebie zadowolony.

—No chodź! — złapał ją za rękę i usiłował posadzić na kolanach.

Majka wyrwała się ze złością.

—Najpierw forsa — oświadczyła twardo.

—A nie potem? — droczył się z nią.

—Nie — patrzyła ponuro gdzieś ponad jego głowę. Już się nie uśmiechała i nie wdzięczyła, czekała cierpliwie aż zapłaci. Pan Pietras wahał się jeszcze, jakby chcąc zyskać na czasie. Majka była nieustępliwa, przestał się przekomarzać, wyjął portfel i wydobywał ze środka banknoty, licząc skrupulatnie, pluł przy tym na palce.

—Może coś jednak opuścisz? — usiłował zajrzeć jej w oczy, ale Majka go nie widziała, był bezkształtną szarą plamą, wydzielającą zły zapach.

Zrezygnowany położył trzysta tysięcy złotych na stole, rozpiął koszulę i nie rozwiązując krawata rzucił go na krzesło.

—Może teraz napijemy się czegoś dla kurazu? Dopłacę za kieliszek czystej.

—Teraz pan będzie uprzejmy wyjść — roześmiała się nieprzyjemnie.

—Co? — pan Pietras nie rozumiał.

—Powiedziałam wyraźnie, pan będzie uprzejmy wyjść — powtórzyła jadownicie.

—Zwariowałaś! — zerwał się z krzesła — przecież ci zapłaciłem.

—Czym? Tymi papierkami bez pokrycia? Gdybym zamówiła befsztyk, łososia i wino, kosztowałyby drożej... A zresztą, po co tyle gadania. Zapłacił pan za milczenie. Jeżeli się pan nie uspokoi i nie wyjdzie stąd po dobremu, napiszę do pani Zofii Pietrasowej, to zdaje się pańska żona? Rzeszów, Warszawska 7. Opowiem jej, jak spędził pan dzisiejszy wieczór i ile pan wydał na mnie. Na wypadek gdyby nie chciała wierzyć mam świadków, taksówkarza i sąsiadkę z przeciwka, która nie odchodzi od wizjera... A ten krawat, w razie czego, również się przyda — nim pan Pietras zdążył po niego sięgnąć, Majka powiesiła go sobie na szyi...

—Ale z ciebie kurwa — wychrypiał z najwyższym uznaniem. Stał chwilę bez ruchu i patrzył na nią oczami koloru zgniłych liści.

Majka uśmiechnęła się gorzko, nie w smak jej była ta pochwała, to go chyba ośmieliło.

—A gdybym ci tak po ojcowsku przyłożył kilka pasów?

—Wówczas miałby pan do czynienia z własną żoną, wątpliwa przyjemność.

—Masz rację — westchnął zrezygnowany, zapinając koszulę.

—Rozstańmy się w zgodzie, dobrze panu radzę — uśmiechnęła się — a następnym razem jak pan do nas przyjedzie znajdę panu na pocieszenie piękną dziewczynę.

—Odpieprz się. Następnego razu nie będzie — warknął wycofując się do drzwi.

—Szkoda, bardzo pana polubiłam.

—Ja ciebie też, cholernie — obejrzał się za siebie i uchylił drzwi na klatkę schodową, gdzie kłębiła się nieprzenikniona ciemność. Nagle jak rażony gromem zatrzęsął za sobą drzwi i zachichotał piskliwie. Majka sądząc, że zwariował ulokowała się przezornie za

dużym dębowym stołem, jednak pan Pietras nie miał zamiaru jej atakować, śmiał się coraz głośniejszym, coraz bardziej czymś ubawiony.

—A to będzie numer, jak Boga kocham... Słuchaj! — zataczał się wprost od własnego chichotu. — Załatwisz w ten sposób mojego dyrektora, co? Będzie w Warszawie w pierwszą środę miesiąca. Przyjdzie na pewno do „Stylowej”. Już ja się o to postaram. Popatrz! To jego zdjęcie, z „Panoramy” zrobili z nim wywiad. Widzisz co za morda, sama kirpicza prosit... Patrz! Ten bydlak zaleca się do mojej córki. Masz pojęcie? Błagam cię, zrób z niego wała!

Przerażona Majka nie mogła wydobyć z siebie głosu, skinęła tylko głową.

—Zostawiam ci to zdjęcie — podniecał się pan Pietras — żebyś się tylko nie pomyliła, pamiętaj! Ubierz się tak samo jak dziś, wepnij kokardkę we włosy czy coś dziecinnego. To na niego działa. Mów, że masz szesnaście lat, nie więcej, pamiętaj, spuszcza oczy, rumień się i w ogóle udawaj strasznie wstydliwą i podbijaj cenę. Bydlak ma forszę, nakradł, nabrał łapówek, możesz śmiało zażądać milion... Cieszę się, że cię poznałem. Już przeboleiałem tę stratę. Cały czas będę myślał o minie tego skurwysyna, jak zrobisz go w konia. Och! Wiele bym dał, żeby to zobaczyć. Nie możesz mnie ukryć gdzieś tutaj w szafie?

—Niestety, nie, ale opowiem panu wszystko ze szczegółami.

—I nie pożałujesz — cieszył się jak dziecko. — Jak przyjadę następnym razem dostaniesz premię, tylko zrób z niego wała. Nie będzie to trudne, on się boi tej swojej wiedzy jak ognia. Będę w przyszłym miesiącu. Gdzie cię można spotkać?

—Tam, gdzie dzisiaj albo w Kongresowej.

—Do zobaczenia — pomachał jej ręką i wybiegł odmłodzony i lekki. A mówią, że miłość czyni cuda, okazuje się, że nienawiść również.

Majka odczekała aż echo jego kroków ucichło. Wzięła paczkę papierosów, koc, jasieczek i powędrowała na ostatnią kondygnację klatki schodowej. Za kilka minut Iwona przyprowadzi kolejną ofiarę i musi mieć wolną chatę. Była zmęczona i zła, zamiast satysfakcji z zarobionych pieniędzy owładnęło nią przygnębienie, do którego dołączył się niesmak. Znow musiała grać, udawać i kłamać jak w zakładzie, czy przed tym w szkole i w domu. A przecież wychodząc na wolność postanowiła żyć nie tylko godnie i uczciwie, ale inaczej, miała dosyć ustawicznych krętactw i oszustw, po raz pierwszy zatęskniła do własnej twarzy. Mistyfikacja i ucieczka od siebie, jak dotąd, kosztowały ją drogo. Mimo to zmęczenie wzięło górę. Otuliła się kocem, ułożyła na podłodze i natychmiast zasnęła.



Dopiero po dwu godzinach, kiedy zdążyła zdrętwieć już z zimna odnalazła ją Iwona i zabrała do mieszkania. Napoiła gorącą herbatą i wpakowała do łóżka. Iwone ograbianie naiwniaków z prowincji przypadło raczej do gustu. Opowiadając o poczciwym grubasie śmiała się ubawiona.

—Gdybyś mogła to widzieć — zachłystywała się — jak on błagał, jak prosił o jeden mój pocałunek, klęczał tu w przedpokoju przede mną i skamlał jak pies. Nie obchodziła go żona, gdzieś miał dzieci, o których mu ciągle przypominałam, chciał tylko mnie. Żal mi się go zrobiło i pozwoliłam się pocałować, to go dopiero rozpaliło, chciał, żebym się rozebrała — tylko popatrzy — mówił — nic mi nie zrobi, czołgał się, klękał, zachowywał się jak szajbnięty. Co miałam robić? Wstyd było patrzeć, zdjęłam więc sukienkę i wszystko co miałam na sobie, a wtedy on przypadł twarzą do moich stóp, całował po nogach. To było niesamowite, nigdy nie zetknęłam się z czymś takim, starszy gość, widziałś, wyszorowany, czyściutki...

—Poszłaś z nim do łóżka? — przeraziła się Majka.

—No wiesz — zaprzeczyła za śmiechem. — To szajbus, jemu wystarczyło samo patrzenie, załatwił się sam, jak Boga kocham...

—A gdyby cię tak przycisnął? Co wtedy? — dopytywała się Majka.

—Och! Ten był potulny jak baranek, grzeczny, łagodny...

—Ja mówię o tym co by było... To niebezpieczna gra, trzeba z tym skończyć.

—Skończyć? Zwariowałaś chyba! — roześmiała się beztrosko. — Nic nam nie grozi. Tolo jest zawsze w pobliżu, wystarczy krzyknąć. Zresztą, potrzebujemy forsy. A to się opłaca. Facet dorzucił stówę za to, że byłam miła... Jutro idę do „Stylowej”, a ty rób co chcesz; nikt cię do niczego nie zmusza. Przed tym się jednak zastanów! Skąd weźmiesz na zapłacenie mieszkania? Za co będziesz żyła? A ciuchy? Widziałaś te ceny? Jesteś goła jak święty turecki. A z czego zwrócisz Tolowi. Z tych nędznych napiwków?

Majka nie odpowiedziała, była senna, zmęczona i rozbita wewnątrz. W takim stanie nie chciało jej się podejmować żadnych decyzji.

Najpierw musiała się wyspać.

\* \*

\*

W sobotę pan Marek zamykał zakład o pierwszej. Spieszył się na działkę, gdzie czekała na niego żona z parą dobrze odżywionych bachorów. Natomiast Majka nigdzie się nie spieszyła, poza Beatką nikt na nią nie czekał, nie chciało jej się nigdzie jechać, zresztą wyjazd za miasto kojarzył jej się z zakładem, wołała więc chodzić po ulicach i cieszyć się wolnością, chociaż Warszawa w dni wolne od pracy z pozamykanymi sklepami wyglądała jeszcze żałośniej. Miało się wrażenie, że mieszkańcy uciekli w popłochu przed dżumą czy też przed inną zarazą, zostawiając nie uprzątnięte śmieci, powywracane kosze i porozbijane budki telefoniczne.

Kiedy znalazła się na ulicy niespodziewanie oślepiło ją słońce, zmrużyła oczy, dziwiąc się niezwykłej jasności płynącej z nieba, po kilku pochmurnych dniach był to, prawdziwy ewenement. Potężna dawka światła cięła po oczach, dlatego nie zauważyła Beatki biegnącej w jej stronę z gazetą w ręku.

—Mam, znalazłam — wpadła z impetem na Majkę. — Popatrz, piszą, że w krótkim czasie uczą samoobrony. No, co ty na to? — podała jej ogłoszenie zakreślone długopisem.

Majka czytając kiwała głową:

—To jest to o co mi chodzi. Spisałaś się na medal. Jedziemy! — ruszyły ochoczo do przystanku.

\* \*

\*

Wchodząc do klubu sportowego „Iskra” usłyszała nagle swoje imię wypowiedziane głosem czułym i miękkim, przepelnionym radosnym ożywieniem. Ten głos płynął do niej gdzieś z góry cicho, nostalgicznie i śpiewnie.

—Majka — usłyszała znów. — Zaczekaj! — twarz Marcina mignęła w oknie na pierwszym piętrze.

—Och? — ledwie poruszyła wargami, musiała się wesprzeć o Beatkę, zdawało jej się, że mdleje.

—Coś tak zbladła? — przeraziła się Beatka. — Usiądź! — pociągnęła ją do ławki stojącej w pobliżu, ale on już zbiegł z góry, już ścisnął jej ręce, przytulał w strasznym chaosie i zamieszaniu, mówił coś bezładnie, gorączkowo, bez sensu.

—Czy to naprawdę ty? Majka! Pokaż się! Niech ci się przyjrzę! Nie do wiary! Majka! Ta sama! We własnej osobie! Wyładniałaś! Obciąłaś włosy? Wiesz, że szukałem cię wszędzie? W dyskotekach. Na dworcach. Jeździłem nawet do Wiśniewa. Co ty wyprawiasz? Gdzie mieszkasz? Dlaczego uciekłaś z domu? Dlaczego nie zostawiłaś dla mnie wiadomości. Dlaczego? Odchodziłem od zmysłów. Nie wiedziałem, co robić. Mogłaś przecież napisać!

—W jaki sposób? Nie mam twojego adresu. Gdybym miała napisałabym od razu.

—Naprawdę? Ależ ze mnie idiota! Wiesz jak to jest, kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera. Byłem pewien, że dałem ci adres, ale byliśmy umówieni. Przyjechałem nazajutrz wieczorem, tak jak chciałaś...

—Miałam scysję z ojczymem, nie mogłam zostać. Kiedyś ci opowiem...

—Chodźmy! — burknęła ze złością Beatka — zamkną nam sekretariat...

—Zaraz, chwileczkę — Marcin trzymał ją za ramię. Nie puszczał.

—Gdzie ty mieszkasz? Co robisz?

—Pracuję u fryzjera. Poznajcie się... Moja koleżanka Beatka, a to jest Marcin...

—Miło mi — skinął głową, ale nawet na nią nie spojrzał. Beatka też go zlekceważyła.

—Chodźmy już — syczała bez przerwy — zaraz zamkną.

—Dokąd wam się tak spieszy? — zdziwił się Marcin trzymając Majkę za rękę. Chciał ją porwać i uprowadzić daleko stąd. Beatka ciągnęła ją w drugą stronę.

—Daj spokój — wyrwała się Beatce i wyjaśniła mu, że przyszły się zapisać na judo. Zdziwił się. Po co dziewczynom judo? Nie pracują przecież w policji. Radził gimnastykę artystyczną, aerobik lub coś w tym guście, lecz one obstawały przy swoim. Mówiły, że interesuje je tylko judo, w mieście zrobiło się niebezpiecznie, muszą umieć się bronić. Przekonały go, bo zaprowadził je do biura. Młoda sekretarka rozpromieniła się na jego widok, jednak na widok dziewczyn wyraźnie zmarkotniała.

—Słucham — mruknęła nieprzyjemnie. Jej ciemne nieduże oczka prześwidrowały je na wylot.

—Chciałyśmy się zapisać na judo, chodzi o kurs przyspieszony —zwróciła się do niej Majka.

—To drogo kosztuje — zawiesiła głos.

—Ile? — spytała Majka.

—Dwieście tysięcy od osoby.

—Ile? — spytała nie dowierzając Beatka.

Sekretarka nie raczyła powtórzyć, uśmiechnęła się drwiąco.

—Płacę za nas dwie — Majka z nonszalancją zamożnej kobiety wyłożyła pieniądze na biurko.

Marcin aż gwizdnął z wrażenia, sekretarka zaczęła wypisywać kwit.

—Pan też chce się zapisać? — spytała zjadliwie.

—Niestety, nie mam takiej forsy — odparł posepnie.

—Ja ci pożyczę — zaproponowała Majka, rada, że może coś dla niego zrobić.

—Nie ma potrzeby — odezwała się sekretarka — pan, jako nasz pracownik, może ćwiczyć za darmo. Wystarczy chcieć... — spojrzała z triumfem na Majkę.

—Oczywiście, że chcę — wykrzyknął radośnie. — Jest pani aniołem — cmoknął ją w policzek i w rękę. — Życie jest piękne — złożył sekretarce głęboki ukłon i wyszedł z dziewczynami na korytarz.

—A teraz — skłonił się tak samo przed nimi — zapraszam panie na lody.

Beatka próbowała protestować, mówiła, że są umówione, zresztą Majka nie może jeść lodów, bo się przeziębia, nawet w lecie choruje na gardło.

—Nie decyduj za mnie, bardzo cię proszę — ofuknęła ją ostro Majka. — Nic mi nie jest. Czuję się świetnie. Jeżeli jesteś umówiona, to idź, ja mam czas. Tylko ze względu na Marcina powiedziała to łagodnie, gdyby były same Beatka usłyszałyby więcej, raz na zawsze odechciałyby się jej wtykać nos w nie swoje sprawy. Komu potrzebna jej głupia troskliwość, zaczadzona kłamstwami, robi z niej gruźliczkę, mimozę, którą trzeba trzymać w koszyczku z watą. Zamęczy ją tym szpiegowaniem, podejrzliwością i wymówkami. Siebie również zamęczy. Nie dość, że schudła, szerniała i straciła apetyt, to jeszcze popłakuje bez żadnego powodu, grozi samobójstwem i żąda od Majki rzeczy niemożliwych. Teraz też, gdyby miała swój honor poszłaby do domu albo do kina i nie zawracała im głowy, ale nie, nie miała honoru ani wstydu, przywlokła się z nimi do kawiarni i siedziała nastroszona, nie odzywając się prawie. Marcin zapominał chwilami o jej istnieniu,

mówił do Majki, wciąż o tym jak jej szukał, jak tęsknił, jak się o nią martwił, jeździł do matki z nadzieją, że czegoś się dowie, a matka za każdym razem rozkładała ręce. Wreszcie postanowił dać ogłoszenie do „Życia Warszawy”.

—Ogłoszenie? — prychnęła nieprzyjemnie Beatka. — Jakie ogłoszenie?

—Ekspresowe. Chciałem napisać tak: Marcin czeka na Majkę w kawiarni „Hortexu” przy Marszałkowskiej tego a tego dnia, o tej godzinie. Przyszłabyś? — pochylił się ku niej.

—Nie — odpowiedziała Majka.

—Dlaczego?

—Nie czytam gazet — odpowiedziała.

—A wiesz, że ja też nie — roześmiał się.

—Gadanie — Beatka wydeła nieprzyjemnie wargi. Jej lalkowata twarz stała się nieprzyjemna i zła. — Nie dałbyś żadnego ogłoszenia. Pożałowałbyś forsy.

—Gwiżdżę na forszę, a co do ogłoszenia to i tak je dam, zobaczysz!

—Po co? — zdziwiła się Majka.

—Żeby cię zmusić do czytania gazet.

Oboje się roześmieli. Beatka nawet nie drgnęła. Ponurym wzrokiem omiatała drzwi i przeklinała siebie za pomysł z klubem sportowym „Iskra”. Gdyby nie namawiała Majki na judo nie byłoby sprawy. Nadal wpadałaby po nią do fryzjera, w czasie nieobecności Kuby zabierałaby ją na obiad, piekłaby dla niej ciasto, smażyła naleśniki, które Majka uwielbia, robiłaby wiele różnych rzeczy byle tylko sprawić jej przyjemność. Cóż, kiedy Majka nie doceniała tych starań, nie chciała się nawet zapisać na judo, mówiła, że nie ma czasu, a przecież codziennie naraża się na straszne niebezpieczeństwo, teraz tylu zbrojców i morderców kręci się po ulicach. Strach pomyśleć, co by było gdyby sprowadziła takiego do domu. Beatka stale o tym myślała, nie mogła spać i jeść, dlatego schudła, a ten cherlakowaty blondynek tryska humorem, śmieje się, dowcipkuje. Oczy mu błyszczą, jak okna wypucowane na Wielkanoc, mizdrzy się, czuli, aż obrzydzenie bierze.

—Nudno tu — zaskrzeczała piskliwie.

Noga Majki dosięgnęła ją pod stołem, przywołując w ten sposób do porządku.

—Tak? — zdziwił się Marcin, szukając odpowiedzi w oczach Majki.

Zaprzeczyła gorliwie. Marcin jednak, chcąc sprawić przyjemność Beatce, zaproponował kino. Poszli do „Luny”, bo było najbliżej. Majka kupiła bilety, gdyż Marcinowi po zapłaceniu za lody zostały tylko drobne na tramwaj.

Tu już Beatka nie mogła narzekać na nudę. Na ekranie działy się same dziwne rzeczy. Para zakochanych zamknięta w niewielkim plastikowym pudle, krążyła w przestrzeni międzygwiazdnej, uciekając przed bandą oprychów, którzy chcieli im wydrzeć jakąś tajemnicę. Beatka do dziś nie wie, o co chodziło, na ekran popatrywała z rzadka, interesowało ją tylko to co robią Majka i Marcin. A oni śledzili akcję z zapartym tchem, lecz ich ręce splecione w mocnym uścisku -poruszały się nieznacznie, zmieniały pozycję, ale nie rozłączały się nawet na chwilę.

Właśnie te ręce absorbowwały Beatkę bardziej niż film.

\* \*

\*

Majka czuła się dobrze w zakładzie fryzjerskim. Nigdy tam nie było nudno. Klientki znosiły różne plotki, opowiadały panu Markowi dziwne historie, niektóre chyba specjalnie dla niego je wymyślały. Najwięcej w nich było o gwałtach, włamaniach, napadach, zagadkowych zabójstwach i zaginięciach. Pan Marek uwielbiał sensacje, sam też lubił szokować klientki okropnościami. W jego opowieściach większość zbrodni popełniały kobiety, w najlepszym wypadku zmuszały mężczyzn do straszliwych czynów. Było to dziwne — gdyż do klientek odnosił się z wielkim uważaniem, niektóre całował w rękę, innym szeptał miłe słówka do ucha, a dla każdej miał na poczekaniu zawsze jakiś komplement i ujmujący uśmiech. Lubily go za to. Ostatnio jednak ruch w zakładzie wyraźnie się zmniejszył i pan Marek z konieczności zamykał zakład wcześniej.

Tak było i tym razem. Ostatnia klientka wyszła o szóstej. Majka włożyła jak zwykle grzebienie i suszarki do szafy, zamiotła podłogę, ustawiła pod ścianą krzesła i szykowała się do wyjścia. Przebrała się na dole w dzinsy i trykotową bluzkę, poprawiła włosy. Kiedy wróciła na górę pan Marek liczył kasę.

—Zaczekaj — rzucił, nie patrząc na nią, i dalej liczył.

—Coś się nie zgadza? — zaniepokoiła się Majka. Ciągle się bała posadzenia o kradzież, chociaż sumienie miała czyste.

Ruchem ręki nakazał jej milczenie i liczył dalej, wreszcie schował pieniądze i uśmiechnął się do niej.

—Pójdiesz do mnie — oznajmił nic nie znaczącym tonem jakby chodziło o mycie głowy. — Zjemy razem kolację. Żona wyjechała z dziećmi.

—Nie — odpowiedziała z przestraczem Majka.

—Co nie? Wyjechała dzisiaj rano samolotem do Szczecina. Wróci za dwa tygodnie. Załatwiłem jej wczasy w Świnoujściu.

—Nigdzie z panem nie pójde — oświadczyła twardo i wstała.

—Dlaczego? — wykrzyknął szczerze zdumiony. — Nie zrobię ci krzywdy, możesz być pewna. Jestem doświadczonym mężczyzną. Dwanaście lat po ślubie. — Podszedł do niej i chciał ją objąć, Majka odepchnęła go ze wstrętem.

—Nie podobam ci się? — jeszcze bardziej się zdumiał. Uważał pewnie, że taka rzecz w ogóle nie jest możliwa.

Majka nie odpowiedziała. Z torbą przyciśniętą do piersi usiłowała dotrzeć do drzwi, które on sobą zasłaniał.

—Chcesz tu pracować? — przestał się uśmiechać, jego spojrzenie stało się wrogie.

—Oczywiście, że chcę — potwierdziła.

W takim razie rób co ci każe i nie udawaj niewiniątka. Myślisz, że jestem wczorajszy, że nie wiem skąd się tu wzięłaś? — poczerwieniał i krzyczał z pianą na ustach. Złękła się, nigdy nie widziała go w takim stanie. Zawsze był grzeczny, uśmiechał się przymilnie, żartował. — Powiedzieć ci, co? — natarł na nią z furją, potrząsnął za ramię. — Nie chcesz, co? — zaśmiał się szyderczo. — Pewnie, że nie chcesz, w takim razie bądź miła dla swego szefa.

—A jeżeli nie będę? — odważyła się zapytać.

—To pożałujesz.

—W takim razie... — zawiesiła głos i uśmiechnęła się z rezygnacją — w takim razie — powtórzyła już nieco pewniej i korzystając z chwilowej nieuwagi szefa prześlizgnęła się pod jego ręką i dotarła do drzwi — już żałuję — krzyknęła śmiejąc mu się w twarz i wyskoczyła na ulicę. Tu była bezpieczna, zresztą pan Marek nie miał zamiaru jej gonić.

\* \*

\*

W domu nie zastała Iwony, czym zbytnio się nie przejęła. Każda z nich miała swoje sprawy i swoje życie. Iwona pewnie wyszła gdzieś z Tołem albo pojechała do jednej z dziewcząt wcześniej zwolnionych. W przeciwieństwie do Majki lubiła odwiedzać koleżanki z poprawczaka. Majka ułożyła się na tapczanie i natychmiast zasnęła. Zawsze w złych chwilach ogarniała ją przemożna senność, padała wprost z nóg.

Zakładowa pani psycholog tłumaczyła jej to zjawisko podświadomą chęcią ucieczki od trudności. Nie przekonała Majki. Każdy, jeżeli nie jest masochistą, nie pcha głowy pod topór, lecz kombinuje jakby się wymigać od nieszczęść czy od przykrości, a przecież nie wszyscy w takich razach zasypiają. Czasami dręczyło ją to, ale na ogół nie myślała o tej przypadłości, miała ważniejsze problemy do rozwiązania. Kiedy we śnie, w cudownym nastroju tańczyła z Marcinem walca, ktoś energicznie zapukał do drzwi. Zerwała się przestraszona.

—Kto tam? — usiłowała wyrzeć przez szparę.

—To ja — zapiszczała płaczliwie Beatka.

—Czego chcesz? Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? — Co ja ci zrobiłam — krzyknęła, a jednak otworzyła drzwi.

—Jedźmy do mnie! Starzy wyjechali. Będziemy same — Beatka składała błagalnie dłonie, głos jej drżał.

— Nie mogę. Zresztą nie chcę, muszę zarobić parę złotych. Twój pan Marek wywalił mnie z pracy.

—Za co? Tak cię chwalił!

—Nie chciałam pójść z nim do łóżka.

—Świntuch. Taki sam jak wszyscy — usiłowała objąć Majkę, ale została brutalnie odepchnięta. Przyjęła to bez oburzenia, raczej z pokorą.

—Znów idziesz do knajpy? — zaskomliła żałośnie.

— A co mam robić? Kraść?

—Mówiłaś, że chcesz żyć normalnie?

—I będę, ale żeby żyć normalnie muszę zarabiać nienormalnie.

—Podprowadziłam starej dwadzieścia tysięcy. Weź, mnie niepotrzebne.



—Daj spokój! To mnie nie urządza. Schowaj forszę!—nakazała ostro, a ponieważ Be- atka nie drgnęła, siłą wcisnęła jej pieniądze do kieszeni.

—W takim razie idę z tobą.

—Nie — zaprotestowała stanowczo Majka — ty się do tego nie nadajesz... Oddaj pieniądze matce i przestań kraść we własnym domu. Wpadnę do ciebie później, a jak nie, spotkamy się w klubie. Popytaj znajomych fryzjerów, może któryś potrzebuje uczennicy. A teraz zmykaj! Muszę się przebrać — pocałowała ją na odczepnego i wypchnęła za drzwi.

\* \*

\*

Późnym wieczorem, ubrana w suknię z błękitnego jedwabiu tańczyła w „Kaskadzie” walca i z poważną miną wysłuchiwała lamentów pana Szymczaka, który, jak większość znanych jej mężczyzn, był sfrustrowanym malkontentem, zżeranym przez ambicje. O sobie mówił, że jest fenomenalnie zdolny, opatentował kilka wynalazków, które mogłyby postawić nasz kraj na nogi, lecz bezduszna biurokracja ociągała się z wdrażaniem ich do produkcji. Czas w tym przypadku działał na niekorzyść pana Szymczaka i kraju, a świat pędził naprzód. Jutro tych samych odkryć dokonają Amerykanie lub Japończycy i pokażą nam figę. Majka pocieszała go mówiąc, że geniusze zawsze mieli trudne życie, wyspecjalizowali się w tym poniekąd. Weźmy na przykład Słowackiego, żył i tworzył w cieniu pana Adama, którego okrzyknięto wieszczem. Nikt go zbyt nie cenił poza własną matką, która po śmierci Euzebiusza Słowackiego wydała się za męża za pana Becu... Niech pan nie zapomina — mówiła z przejęciem — że Norwid, głuchy i obłąkany, zmarł w przytułku św. Kazimierza. Dopiero nie tak dawno poznano się na nim, albo Proust... „W poszukiwaniu straconego czasu” wydał własnym sumptem, więc niech pan nie upada na duchu. Idą lepsze czasy. Poznają się w końcu na panu.

Pan Szymczak uśmiechał się melancholijnie i tulił ją w tańcu. Na temat literatury wo- lał się nie wypowiadać. Jak większość magistrów inżynierów poprzestał na wiadomo- ściach wyniesionych ze szkoły, które po latach wypływały i zbladły w rumowiskach pamięci, więc milczał, wychodząc ze słusznego skądinąd założenia, że gesty są bardziej wymowne niż słowa, z gestami też przesadzał, Majka musiała go odpychać delikatnie od siebie i przypominać, gdzie się znajdują. Ujrawszy Iwonę w objęciach grubasa wzniosła oczy do nieba i pokręciła głową, domagając się współczucia. Iwona powiodła po niej roztargnionym spojrzeniem, wymknęła się niczym piłka z opasujących ją ramion i lawi- rując między tańczącymi parami pomknęła do wyjścia. Grubas zaś z zagadkowym

uśmiechem poszybował do baru. Parkiet opustoszał. Majka w towarzystwie pana Szymczaka wróciła do stolika. Zamówiła jak zwykle coca-colę i piła ją małymi łydkami.

— Przyjechałem interweniować w ministerstwie — zwierzał się pan Szymczak — mam tam swojego człowieka, duża szycha, ho, ho. Powiesz mi jak tam dojechać — sięgnął do tylnej kieszeni po adres i zbladł.

—Kelner — wrzasnął nagle. — Kelner! Rąbnęli mi portfel. Proszę wezwać policję!

Majce krew odpłynęła z twarzy, szklanka z coca-colą zakołysała się niebezpiecznie, odstawiła ją czym prędzej na stół.

Kelner usłyszał wołanie pana Szymczaka i przybiegł wystraszony.

—Proszę się uspokoić! — mówił szeptem. — Mamy zagranicznych gości. Zaraz wezwiemy policję. Pan pozwoli do kierownika — zwrócił się do pana Szymczaka, który nie przestawał lamentować — wszystkie dokumenty, prawo jazdy. Co ja teraz zrobię! Jutro mam być w ministerstwie...

—Ty też — kelner skinął na Majkę.

Podniosła się bez sprzeciwu, już się uspokoiła, czuła jednak wielką słabość w całym ciele. Podtrzymywana przez pana Szymczaka dotarła na zaplecze i stanęła przed groźnym obliczem władcy „Kaskady”.

—Gość twierdzi, że został u nas okradziony — poinformował go kelner.

—Tak? — zdziwił się jakby z musu kierownik. — Niech pan siada! — wskazał krzesło panu Szymczakowi, a sam z wyraźną przykrością podniósł swe korpulentne ciało zza biurka i lekkim giętkim kroczeniem doskoczył do Majki.

—Pokaż torebkę! — wrzasnął.

—Proszę! — podała mu.

Rzucił się na nią jak sęp, lecz gdy otworzył i wysypał całą zawartość na stół mina mu zrzedła. W torebce poza chustką do nosa, zapalniczką i dwudziestoma tysiącami złotych nie było nic.

—Zobaczmy — obwieścił groźnie i zaczął obmacywać ją jak zawodowy łapacz, chociaż gołym okiem było widać, że pod cienką sukienką trudno coś ukryć.

—Świnia — powiedziała, gdy skończył.

—Co? — spytał zaskoczony.

—Świnia — powtórzyła z gniewem, cofając się do drzwi.

Kierownik odwrócił się na giętkich nogach przypominających wałki od tapczanu, doskoczył do niej, chciał ją uderzyć, sycząc: „ty ścierwo”. Nie zdążył. Pan Szymczak, obserwujący dotąd w milczeniu popisy kierownika, ocknął się nagle, złapał go za rękę, stanął między nim a Majką i spokojnie, bez złości, odepchnął go.

—Nie bądź pan taki damski bokser — powiedział. — Szukaj złodzieja... Czego się pan jej czepiasz? Nie widzisz, że to przyzwoita dziewczyna!

—Przyzwoita! — ryknął kierownik — kurwa jak wszystkie tutaj. Oczu pan nie masz, czy co? — Zjeżdżaj stąd! — huknął na Majkę. — I nie pokazuj się więcej w naszym lokalu!

—Pan nie ma prawa mi niczego zabraniać — odpowiedziała z godnością. Skinęła głową panu Szymczakowi i wyszła. Kelner podążył za nią.

—Czy on rzeczywiście miał tę forszę czy robi nas w konia? — dopytywał się, mrużąc jedno oko.

Majka nie odpowiedziała,

— Chłwał wódę od siódmej, zjadł łososia i bryzol. Kto za to zapłaci?

—Na pewno nie ja.

—A dlaczegóż by nie? Tańczyłaś z nim, rozmawiałaś?

—Nie znam go, przyszłam sama i jak pan widzi sama opuszczam ten ściek. Do widzenia panu.

\* \*

\*

Odrapana taksówka zatrzymała się na jednej z dziwnych uliczek, uczczonych nazwiskami wielkich kompozytorów. Wsiadła z niej Majka z twarzą zagubionego dziecka. Ogromnym wysiłkiem dusiła w sobie płacz. Obrzydzenie wykręcało jej usta. Jeszcze czuła grube palce kierownika biegające po niej z bezwstydną bezceremonialnością i kwaśny wódczany zapach, którym nasiąkło jego ubranie. Gdyby nie była dziewczyną z poprawczaka trzasnęłyby go w twarz. A tak musiała do końca zachować zimną krew. Szkoda, że nie zemdląca, byłoby to jakieś wyjście, nie doznałaby upokorzenia, a jemu nape-

dziłaby strachu. Wpadła na to niestety dopiero teraz. Tak już jest. Dobre pomysły przychodzą przeważnie za późno.

—Stop! — zatrzymał ją ostry głos Tola. Po chwili, on sam wyłonił się z mroku. — Facet jeszcze tam jest — wskazał okno otulone szczelnie zasłoną. — Chodź, zaczekamy w samochodzie. — Ujął ją pod ramię i zaprowadził do czerwonej zastawy, stojącej w pobliżu. W mętym świetle latarni wyglądał niezwykle ponętnie i tajemniczo. Trudno się dziwić Iwonie, że straciła dla niego głowę. Tolo miał wdzięk i umiał go eksponować. Ubrany był super modnie w czarną marynarkę o szerokich ramionach z podwiniętymi rękawami i w czarne spodnie, zwężające się ku dołowi. Jasna koszula kontrastowała rozmyślnie z głęboką czernią szczesanych do tyłu włosów. Poruszał się lekko i pewnie jak ktoś przekonany o własnej wartości. Do Majki odnosił się z protekcjonalną wyrozumiałością jak do trudnego dziecka. Nawet, kiedy zwracał jej uwagę, robił to z uśmiechem, serdecznie, nigdy nie podnosił głosu.

—Miałaś dziś niefart? — zapytał ze współczuciem, a kiedy potwierdziła, poklepał ją po przyjacielsku w ramię i powiedział, żeby się nie przejmowała. Z tym zawsze trzeba się liczyć. Jak dotąd nie miała żadnej wpadki. Jeden udany wieczór i nadrobi tę stratę.

Usiedli w samochodzie i czekali aż Iwona zgasi światło, co zgodnie z umową oznaczało, że można wejść. Majce nie chciało się walczyć z sennością, ułożyła głowę na oparciu, zamknęła oczy. I nagle poczuła na wargach usta Tola. Cofnęła ostrym szarpnięciem głowę i odepchnęła go. Tolo roześmiał się zaskoczony.

—Przestraszyłem cię? — spytał łagodnie i usiłował pogłaskać ją po głowie.

—Co ty wyprawiasz! — wrzasnęła —ja nie chcę. Nie dotykaj mnie! — nacisnęła klamkę, lecz nie mogła otworzyć drzwi.

—Uspokój się! — Tolo niespodziewanie odsunął się od niej. — Nic ci nie zrobię. Nie napastuję dziewczyn, nie gwałcę. To nie w moim stylu. Podobasz mi się, więc sobie pomyślałem, że byłoby nam dobrze.

—Trzymaj się Iwony. Bo jeżeli ją skrzywdzisz będziesz miał ze mną do czynienia.

—O niczym nie marzę, tylko żeby mieć...

Urwał, odgłos szybkich kroków na schodach kazał mu spojrzeć w tę stronę, Majka również odwróciła głowę. Drzwi rozwarły się z hukiem. Z klatki schodowej wyskoczył grubas, który tańczył w „Kaskadzie” z Iwoną. Tam był różowiutki, błyszczący, radość wylewała się z niego wszystkimi porami. Tutaj w mętym świetle jarzeniówek wydawał

się siny niczym skórka spleśniałego chleba, poruszał ustami jakby chciał przełknąć ogromny kęs, zapewne wymyślał sam sobie i klął, lecz szelest wiatru i ściany samochodu głużyły jego słowa. W pewnej chwili uniósł

TLR

rękę chcąc poprawić krawat i wtedy z całym impetem i głośno rzucił: kurwa. Po czym skręcił w prawo i znikł w labiryncie wąskich uliczek, które w nocy jeszcze bardziej przypominały podziemne tunele.

Iwona zgasiła światło i tańczyła rocka przy wrzeszczącym radiu.

—Sąsiedzi — przeraził się Tolo. — Zapalił światło i ściszył radio — chcesz żeby złożyli skargę? — skarcił ją. Iwonę guzik obchodzili sąsiedzi, otarła się o niego nagim ramieniem i gnąc się w ukłonach zapraszała do tańca.

—To ty rąbnęłaś portfel panu Szymczakowi? — spytała Majka badając ją wzrokiem.

—Komu? — zdziwiła się Iwona.

—Temu co ze mną tańczył.

—Jasne — potwierdziła radośnie. — Tak był tobą zajęty, że mogłam go rozebrać do naga, też by nie zauważył.

—Miałyśmy nie kraść. Taka była umowa! Zapomniałaś?

—Przecież to ja kradłam, nie ty. Czego się czepiasz? Podzielimy się z tobą tą forszą. Prawda kotku? — spytała Tola, który z dużym zaciekawieniem przypatrywał się Majce.

—Chcesz, żeby cię złapali? — Stęskniłaś się za kratkami? — nie przestawała złościć się Majka.

—Kto ma mnie złapać? Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Naprawdę, nie wiem, o co ci chodzi? — zżymała się Iwona. W jej oczach wielkości filiżanek malowało się bezgraniczne zdumienie.

—Majka ma rację — odezwał się Tolo. — Nie powinnaś się narażać, tym bardziej, że jesteś na warunkowym, wystarczy małe potknięcie i koniec. Ale co się stało to się nie odstanie...

—Co zrobiłaś z portfelem? — spytała Majka.

—To co zawsze — roześmiała się bez troski — wrzuciłam pod jakiś samochód. Nikt mi niczego nie udowodni...

—Facet miał tam jakieś ważne papiery, przyjechał interweniować w ministerstwie...

—Jak się ma ważne papiery to się nie łązi z nimi do knajpy i nie podrywa nieletnich... Czym ty się martwisz? — rozgniewała się.

Majka machnęła ręką. Dalsza dyskusja z Iwoną nie miała sensu, nic do niej nie docierało, zresztą interesował ją tylko Tolo, zawisała mu na szyi i całowała go.

Majka wzięła zakiet i ruszyła do drzwi.

— Zostań! — zawołał Tolo. — Dokąd ty chcesz iść w środku nocy? Przecież możemy to robić razem, prawda Grubasku?

Nie usłyszała odpowiedzi, należało się spodziewać, że była twierdząca. Iwona znajdowała się w tym stadium zauroczenia, kiedy własne sądy, spostrzeżenia i opinie pozostają w uśpieniu albo nie istnieją, liczył się tylko Tolo i to co on robił, jak się zachowywał i czego pragnął. Dla Iwony wszystkie jego życzenia były święte, a czyny wspaniałe, natomiast dzika i uparta Majka nie chciała tego zrozumieć, zawsze była trochę szajbnięta.

\*\*

\*

Cały dzień wdzięczyła się, kłaniała, uśmiechała i nic, po prostu nic. Część zakładów witała ją zakurzonymi oknami z wyblakłą informacją na szybach „urlop od.... do...., zamknięte z powodu itd". W tych, które akurat pracowały nie potrzebowano nikogo. Iwona towarzysząca Majce do najbardziej odległych dzielnic, radziła zaczekać do jesieni, wszyscy wrócą z urlopów i będzie można przebierać, to przecież tylko kilka dni. Ale Majka nie chciała czekać, za wszelką cenę postanowiła coś znaleźć. Być może dopięłaby swego, lecz w ostatniej chwili przypomniała sobie o zajęciach w klubie. Za nic w świecie nie mogła się wyrzec spotkania z Marcinem, o Beatce nie pomyślała, ćwiczenia, za które wybuliła tyle forsy, nie nęciły jej wcale. Gdyby nie Marcin nie zawracałaby sobie nimi głowy.

A on już był, czekał i czekając umierał z niepokoju. Bał się, że Majka znów mu gdzieś zniknie, zgubi się, zawieruszy w tym wielkim mieście. A on w potwornej męce, z wędną nadzieją będzie jej szukał po całym świecie. Ułożył nawet wiersz parafrazując Gałczyńskiego: Fałszywy adres. Notował go właśnie w podręcznym notesie przejęty rykami, gdy poczuł na oczach jej palce. Dotknięcie było lekkie jak podmuch wiatru. Bał się oddychać, by go nie spłoszyć. Majka szybko opuściła ręce, usłyszał z tyłu jej dźwięczny śmiech.

—Nie poznałeś mnie? — spytała wyraźnie rozczarowana.

—Poznałem.

—To dlaczego nic nie mówiłeś.

—Było mi słodko, przyjemnie, mógłbym tak stać do rana, czułem twój oddech, twój zapach — uśmiechnął się wzruszony, zapomniał o wierszu i ujął ją za rękę... Lubie, gdy jesteś przy mnie, lubię na ciebie patrzeć. Wiesz, że piszę do ciebie listy?

—Naprawdę? Pokażesz mi je?

—Nie wiem, trochę się wstydzę.

—Mnie? — spytała. Nie bądź śmieszny. Mnie nie trzeba się wstydzić... Ja naprawdę wiele rzeczy rozumiem, chociaż na to nie wyglądam... posmutniała nagle.

—Wyglądasz wspaniale! Jesteś piękna, najpiękniejsza na świecie.

—Och! Nie mów tak. To nieprawda, wiem jaka jestem, przecież codziennie oglądam się w lustrze.

—Mnie się podobasz, bardzo, bardzo... chciałbym mieć twoje zdjęcie, dużo twoich zdjęć, cały film albo wiele filmów, oglądałbym je sobie przed zaśnięciem.

—Szybko! Chodźcie — krzyknęła z okna Beatka — trener was woła...

—Już, już — Marcin machnięciem ręki dał jej do zrozumienia, żeby im nie przeszkadzała. — Zwiewamy? — zwrócił się do Majki. — Po co nam te ćwiczenia?

Majka popatrzyła z rozterką najpierw na niego, potem na Beatkę. Propozycja Marcina była niezwykle kusząca, a jednak jakieś niejasne poczucie obowiązku zwyciężyło w ostatniej chwili.

—Tak nie można — orzekła bez przekonania. — Beatka czeka... Idziemy — pociągnęła go za sobą.

Przed wejściem do damskiej szatni Marcin zatrzymał ją jeszcze.

—Weź to — wręczył jej gazetę — i przeczytaj ogłoszenie zakreślone czerwonym kolorem. Cześć!

—Spóźniłaś się! — warknęła nieprzyjaźnie Beatka.

—Majka odpowiedziała jej rozmarzonym uśmiechem i zaczęła się rozbierać.

—Czego ten przygłup chce od ciebie? — w głosie Beatki pobrzękiwała tłumiona wściekłość.

—Masz! Przeczytaj ogłoszenie zakreślone czerwonym kolorem! — rzuciła w nią gazetę.



—Znalazłaś coś — ucieszyła się Beatka, mając na myśli pracę. Majka nie odpowiedziała. Przebywała w innym wymiarze, w jakiejś

dziwnej krainie bez trosk, kłopotów i lęków. Serce jej przepełniała nieznana dotąd radość i miała ją wypisaną na twarzy.

*Marcin czeka na Majkę w sobotę o siedemnastej w klubie „Iskra”*

—wychrypiała krztusząc się Beatka, po czym rzuciła z furją gazetę na podłogę i jakby tego było za mało, przydepnęła ją ostentacyjnie nogą. Wyszła trzaskając drzwiami.

Na zajęciach Majka chciała ćwiczyć z Marcinem, jednak trener był innego zdania, kazał im zmieniać partnerów, napadać na siebie z nienacką, bronić się rękami, głową, kopniakami, zawsze licząc się z kontratakiem przeciwnika, który należało przewidzieć. A tego Marcin nie potrafił. Każdy, kto chciał kładł go niespodziewanym uderzeniem na ziemię. Wykorzystywała to z istic diabelskim sprytem Beatka, atakowała go z nienacką od tyłu, podstawiała mu nogi, kopała i biła, a on się nawet nie bronił, dopiero interwencja trenera uchroniła go przed istną masakrą, wystarczyło jednak, że trener odwrócił się, a Marcin znów stawał się obiektem dzikich ataków Beatki.

—Co ci jest? — udało mu się wreszcie chwycić ją za rękę. — Co ja ci zrobiłem? Dlaczego ty mnie nienawidzisz?

Beatka, mając skrepowane ręce, wierzgała nogami i prychała jak koń, lecz nie odpowiadała.

—Już wiem — roześmiał się Marcin i puścił ją. — Ty się we mnie kochasz i chcesz w ten sposób zwrócić na siebie uwagę.

Zatkało ją w pierwszej chwili, ale szybko odzyskała mowę.

—Kretyn! Idiota! — puknęła się w czoło i odeszła obrażona w drugi koniec sali. Wreszcie dała mu spokój.

Kiedy instruktor obwieścił koniec zajęć, Marcin odszukał Majkę, przy niej niczym wierny pies warowała Beatka.

—Więc jak, przyjdiesz? — zapytał szeptem. — W sobotę jest tu dyskoteka.

—Szkoda, że to w sobotę. Miałam inne plany, ale przyjdę. —uśmiechnęła się do niego.

—Jakie plany! — oburzył się. — Powiedz, co się z tobą dzieje? Dlaczego jesteś taka tajemnicza?

—Chodźmy już — nadeła się Beatka ciągnąc Majkę za rękę.

—Nie mam żadnych tajemnic — Majka znów uśmiechnęła się do Marcina — uczę się, pracuję...

—Panie Marcinie! — rozległo się wołanie sekretarki. — Proszę pozamykać okna na górze i zabezpieczyć sprzęt.

—Zaraz, zaraz, nie pali się — mruknął ze złością. — Przepraszam — uściskał rękę Majki z lekką melancholią. — Muszę iść, ja tu jednak pracuję.

—Czy cię tu nie wykorzystują? — zatroszczyła się Majka.

—Może... Jestem przecież człowiekiem do wszystkiego: elektrykiem, gońcem, woźnym, hydraulikiem...

—A kiedy będziesz się uczył? — zaniepokoiła się.

—Mam czas. To nic trudnego. Nie martw się i pamiętaj, że czekam w sobotę... — Pożegnał ją tym uśmiechem, który palił i budził dziwne tęsknoty. — Cześć — powtórzył, i lekkim truchcikiem pobiegł na górę. Beatka pokazała mu język.

Wertując ogłoszenia w gazetach znalazła wreszcie to, czego szukała. Ubrała się starannie w jasne spodnie i luźny podkoszulek w paski, umyła głowę i ułożyła włosy, jednak oglądając się w lustrze doszła do wniosku, że bladość jej twarzy może wywołać niekorzystne wrażenie. Ludzie w takich wypadkach zawsze gotowi są dopatrywać się jakiejś choroby, najczęściej gruźlicy, która jak dotąd nie została zwalczona przez troskliwe i opiekuńcze państwo. Rumieńce z pudełka nałożone dyskretnie cieniutką warstewką usuwały groźbę takich podejrzeń. Zabiegi Iwony wokół jej głowy zostały również uwieńczone sukcesem. — Tak, to jest to — orzekła z zadowoleniem. Z taką fryzurą Majka mogła śmiało stanąć nawet przed obliczem królowej angielskiej.

— No to połam nogi — uścisnęła ją przed wyjściem Iwona i odprowadziła na schody. Z okna jeszcze machała ręką i życzyła jej szczęścia.

\* \*

\*

Wcześnie dotarła do śródmieścia. Przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej roіło się od ludzi, chociaż większość sklepów była jeszcze zamknięta, ale przybysze z prowincji podążali do domów.

Centrum, licząc naiwnie, że znajdą tu lepsze towary niż w swoich Brwinowach, Wołominach czy Tuszczach. Majka szybkim krokiem przecięła jezdnię, sprawdziła coś jeszcze w ogłoszeniach i bez pośpiechu ruszyła dalej. Wkrótce znalazła się na jednej z bocznych uliczek, oddzielonej od wielkomiejskich hałasów rzędem wysokich domów. Zatrzymała się przed zakładem fryzjerskim i przez lśniąca szybę zajrzała do środka. Podobal jej się ten zakład, już po zewnętrznym wystroju oceniła, że jest w porządku, czyste okna, wyraziste napisy, błyszczące aluminiowe drzwi i takie same okienne ramy świadczyły o wyższej znacznie kategorii niż „Wenus” pana Marka. Przeżegnała się dla dodania sobie odwagi, nabrała powietrza do płuc i weszła. Po przekroczeniu progu stanęła onieśmielona. Z olbrzymich luster spoglądały na nią kobiety w pstrokatych peniuarach, z głowami w pianie lub w wałkach, między nimi uwijały się szczupłe młode dziewczyny w różowych wesołych fartuszkach. Pachniało dobrym szamponem i wodą utlenioną.

—Dzień dobry — Majka wykonała dyg grzecznej uczennicy —ja... z ogłoszenia — rzuciła w przestrzeń. Nie zauważyła bowiem nikogo, kto by wyglądał na właściciela.

—Świetnie — uśmiechnęła się do niej młoda kobieta w okularach i dalej spryskiwała lakierem meszek na głowie jednej z klientek. — Masz się w co przebrać?

—Tak — potwierdziła ochoczo Majka.

—To się przebierz i nałóż pani farbę — wskazała zażywną panią, pogrążoną w lekturze ilustrowanego pisma.

Majka z ogromnym przejęciem, ale bardzo dokładnie i fachowo nałożyła farbę, potem umyła włosy młodej ładnej dziewczynie i nakręciła trwałą starszej pani. Szefowa, którą okazała się kobieta w okularach, przypatrywała jej się z uwagą, lecz nic nie mówiła. Dopiero po nałożeniu kolejnej farby poprosiła ją na dół.

—Siadaj! — wskazała krzesło. — Musimy porozmawiać. Pracowałaś już gdzieś?

—U pana Marka — wyznała niechętnie Majka.

—I co? Wyrzucił cię?

—Tak.

—O co poszło?

Majka zawahała się.

—No, ze mną możesz być szczerą! Śmiało! O co?

—Nie chciałam pójść z nim do łóżka — wystękała Majka.

Szefowa nie okazała zdziwienia. Widocznie знаła obyczaje pana

Marka.

—Podobasz mi się — oznajmiła z uśmiechem — myślę, że będziesz mogła tu pracować... Przypuśćmy jednak, że zadzwonię do pana Marka i zapytam o ciebie. To jak sądzisz? Co on mi odpowie?

Majka znowu się zawahała, po chwili jednak zdobyła się na odwagę i patrząc szefowej prosto w oczy odpowiedziała:

—Powie, że byłam w poprawczaku.

—A byłaś?

—Tak.

—Za co?

—Za to co wszyscy, kradzieże, ucieczki z domu..., ale już z tym skończyłam, chcę pracować, zarabiać..., chcę się uczyć.

Szefowa pokiwała ze zrozumieniem głową.

—Myślę, że chcesz, jestem przekonana, że jest tak jak mówisz. Musisz jednak wziąć pod uwagę fakt, że to elegancki zakład. Przychodzą tu zamożne kobiety, zauważyłaś? Prawda? A gdyby tak, nie daj Boże, coś któregoś zginęło, podejrzenie padłoby na ciebie. Rozumiesz mnie?

—Nie rozumiem. Robiłam źle, wiem, ale odsiedziałam swoje, zmądrzałam, jestem już prawie dorosła i chcę żyć normalnie — twarz jej stężała z gniewu, w oczach pojawiły się łzy, zdjęła roboczy fartuch, z którym tu przyszła, sięgnęła po kurtkę i wyskoczyła na ulicę. Szybko zmieszała się z tłumem. Już nie płakała.

Dławiła ją złość, świat poza murami zakładu był tak samo okrutny i obrzydliwy, chociaż pani Wanda i przystojny pan dyrektor zapewniali ją, że jest inaczej. Panowały tu te same wilcze prawa, przesady, taka sama nieufność i podejrzliwość. Ludzie byli źli, ci, z którymi stykała się ostatnio byli przeważnie źli, nienawidziła ich w tłumie i pojedynczo,

ciągle traktowali ją gorzej niż innych, gorzej niż na to zasługiwała. A ona chciała być taka jak wszyscy i nie mogła, przeszłość wypychała ją z szeregu, nie pozwalała mieszać się z tłumem, stać się zwyczajną dziewczyną spieszącą codziennie do pracy.

Zbliżała się do granicy wytrzymałości i miała wielką ochotę zrobić jakieś głupstwo, dokonać brawurowego włamania, okraść kasę, ale wtedy musiałaby się pogodzić z myślą, że nie ujrzy więcej Marcina, nie poczuje jego ciepłej ręki na swoim ramieniu, nie usłyszy jego srebrzystego śmiechu i czułych dobrych słów. A tego nie była w stanie sobie nawet wyobrazić.

\* \*

\*

W wolną sobotę nie szukała już pracy, gazety, które wertowała od rana nie zawierały żadnych ofert, penetracja Beatki skończyła się niejasnymi obietnicami: za tydzień, za dwa, coś się wykluje, potrzebowano rąk do pracy, ale piętno zakładu, ten bagaż, z którym, jak sądziła, rozstała się raz na zawsze, nie dawał jej spokoju, włókł się za nią jak smuga cienia, nie mogła się go pozbyć. Razem z Iwoną przygotowały obiad, na który zjawił się Tolo niezwykle ożywiony, tryskający humorem. O incydencie w samochodzie chyba nie pamiętał. Oświadczenie Majki, że nie przyjdzie dzisiaj do „Stylowej” przyjął obojętnie, kwitując je słowami: „Twoja strata. Ja cię do niczego nie zmuszam, jesteś wolnym człowiekiem”. Nie spytał nawet dlaczego Majka nie może przyjść, to ją ujęło, nie musiała wymyślać nowych kłamstw i była mu za to wdzięczna.

\* \*

\*

Punktualnie o osiemnastej zjawiała się w klubie sportowym „Iskra”. Marcin już tam był... Powitał ją jasnym, dobrym uśmiechem i długo czule ścisnął jej rękę. Potem wprowadził do sali, wypełnionej wrzawą, dudnieniem i hukiem, od którego drżały szyby. Majka zatkała uszy, jeszcze nigdy nie była w dyskotecie i wszystko ją szokowało. Kolorowe światła latały po sali niczym rajskie ptaki, tłum pulsował, drgał, zwijał się, kurczył, opadał i pędził jak rozszalały żywioł, zmiatając wszystko po drodze, zdawało się, że nic go nie zatrzyma, ale grube mury klubu sportowego stanowiły wystarczającą zaporę, zawrócił. Piski, gwizdy i chichot zawirowały pod sufitem. Jasny snop światła przeleciał po sali, zatrzymał się na twarzy Beatki i zataczając coraz szersze kręgi pomknął radośnie dalej, aż znikł w zwojach krępliny. W tym krótkim mgnieniu Beatka zauważyła Majkę, rzuciła się do niej torując sobie drogę pięściami, ale dziesiątki drgających ciał nie pozwoliły posunąć się choćby o krok.

Majka podrygiwała wraz z innymi, robiła to jednak bez przekonania, głośna muzyka zupełnie ścięła ją z nóg. Podrzucając biodrami zmierzała zdecydowanie do wyjścia, Marcin podążał za nią. On również nie czuł się dobrze w dyskotekowym tłumie. Rock przytłaczał go, powodując zawroty głowy. W uszach czuł granie wysokoprężnych silników. Wyszli razem do holu, tu tłum był rzadszy, tańczyło się znacznie swobodniej. Marcin objął ją ramieniem i zwolnił rytm. Posuwali się jak dwa cienie w somnambulicznym śnie. Na twarzy Majki błąkał się dziecinny ciepły uśmiech, oczy patrzyły z ufnością. Marcin dotykał ustami jej czoła i coraz śmieiej przytulał ją do siebie. Widok ten najwyraźniej nie spodobał się pani Ani, sekretarce klubu sportowego „Iskra”. Ze złym grymasem obserwowała Marcina, paląc papierosa w korytarzu. W jej siwych rozmydlonych oczach zapalały się niedobre iskierki. Marcin tego nie widział. Nie przerywając tańca wy dostał się wraz z Majką na cichą uliczkę, pograżoną w mroku, tańczyli jakiś czas bez muzyki i zgodnie orzekli, że tak jest najprzyjemniej. Nie chciało im się wracać na salę, w rozgorączkowany i w gruncie rzeczy obcy im tłum.

—Splywamy? — spytał Marcin. Majka skinęła głową, odwróciła się, czując na sobie czyjś wzrok i ruszyła z powrotem do drzwi. Rozmazana twarz Beatki z oczami pełnymi łez odkleiła się od szyby.

—Wróćmy tam! Beatka mnie szuka.

—To cię nie znajdzie. Idziemy! — odciągnął ją dalej i dalej od klubu. — Popatrz na niebo, ile gwiazd, kręcą się, wirują, pędzą z zawrotną szybkością.

—I nie zderzają się ze sobą?

—Nic o tym nie wiem. Tam w kosmosie panuje wzorowy porządek. Nie to co tu...

—Słuchaj! — odezwała się nagle zmienionym głosem. — Nie mogę jej tak zostawić. Ona nikogo nie zna.

—To pozna i przestanie cię wreszcie zanudzać. Daj spokój! Umówiłaś się ze mną czy z nią? — rozzłościł się.

—Masz rację — oprzytomniała Majka. Już się nie odwracała, uczepona ramienia Marcina patrzyła w gwiazdy, a on pokazywał jej wielki wóz i mały, drogę mleczną i inne gwiazdy o nazwach brzmiących pięknie i obco. Majka odniosła wrażenie, że niebo otwiera przed nią swoje sekrety, gwiazdy mrugają życzliwie, rozbudzają w niej tęsknoty za czymś pięknym nieodgadnionym, zwodniczym i tajemniczym, co, być może, jest szczęściem, a może zwykłą uludą. Szła przytulona do Marcina i było jej dobrze.

Nagle w otaczającą ich ciszę wdarło się irytujące dzwonienie, tramwaj pędził z gwizdem po szynach, ścigając się z autobusem. Czar prysł, jakby ktoś rozbił kryształowy puchar z cudownym napojem. Majka spostrzegła, że są tylko we dwoje na pustej ulicy, zimny wiatr wciskał się brutalnie pod ubranie. Słysząc było nieprzyjemne pijackie wołania, a ciemność za rogiem rozsiewała grozę.

— Co robimy? — spytała, usiłując zapanować nad drzeniem — chrapliwe pijackie nawoływania były coraz bliżej.

— Wszystko, co chcesz — odpowiedział nie przejmując się tymi głosami. — Możemy pospacerować po mieście.

— O! Nie! — sprzeciwiła się stanowczo. — To miasto nie nadaje się do spacerów...

— A do czego się nadaje?

— Żeby z niego uciec.

— No, ty zdaje się zasmakowałaś w tym sporcie — zażartował, a widząc drzenie jej warg i smutek w oczach przeprosił. — A więc uciekamy — podał jej rękę, pobiegli w stronę supersamu, gdzie było więcej światła. Na przystankach spore grupki ludzi z utęsknieniem wypatrywały autobusów i tramwajów.

W kawiarni „Świtezianka”, dokąd przybiegli zziębnięci i wystraszeni miastem, z którego po zapadnięciu zmierzchu wycieka życie, było przytulnie, ciepło, jasno. Nie przeszkadzał im dym, kołyszący się u sufitu ani wytarte fotele, ani przedziwnej konstrukcji krzesła, na których siedzenie zamieniało się w istną torturę. Smakowały im ciastka z przy- żółkłym kremem, a najbardziej gorąca herbata. Majka odtajała zupełnie, uśmiechała się z zadowoleniem, miała ochotę wziąć Marcina za rękę i trzymać ją przy sobie, blisko serca na piersiach, krępowała się jednak ludzi i jego, poprzestała więc na uśmiechu. Było jej dobrze, aczkolwiek niepokój o Beatkę dawał znać o sobie nagłymi ukłuciami serca. Nie powinna była jej tam zostawić. Beatka nikogo nie zna i nie pozna. Pewnie już pojechała do domu. Spędzi ten wieczór podobnie jak inne na bezsensownym wylewaniu łez. Trzeba było zabrać ją stamtąd, mimo wszystko.

— Coś tak posmutniała? — zainteresował się Marcin i z wielką czułością pocałował ją w rękę. — Myślisz o mamie?

Skinęła głową.

— Opowiedz mi o niej!

— Co?

— Nie wiem, co chcesz!

— Widzisz — zawahała się — moja mama nie miała szczęścia w życiu, ojciec zostawił ją, kiedy byłam zupełnie małą. Wyjechał do Ameryki po szmal, najpierw pisał, przysyłał jakieś pieniądze, i nagle przestał. Listy mamy wracały z adnotacją, że taki a taki nie mieszka pod wskazanym adresem. Nowego adresu nie przysłał i nie odezwał się więcej. Mama czekała dosyć długo, łudziła się, że on napisze, przyjedzie czy też przyśle zaproszenie i zabierze nas stąd, uczyła się nawet angielskiego... a on się nie odezwał, masz pojęcie? Nie odezwał się ani do żony, ani do własnej córki. Mama w końcu machnęła na niego ręką i wyszła ponownie za męża...

— A ty? Wciąż na niego czekasz?

— Nie. Już przestałam — uśmiechnęła się gorzko — teraz już nie — dodała zdecydowanie. — A teraz ty, powiedz coś o sobie, o swojej rodzinie. Przecież ja na dobrą sprawę nic nie wiem o tobie.

— Podobnie jak ja o tobie.

— Och, ty wiesz bardzo dużo, znasz moją matkę, wiesz gdzie mieszkam, byłeś w moim domu, znasz jedną z moich koleżanek...

— Widzisz, ja nie mam nic do ukrycia, mieszkam z rodzicami, mam trzy siostry, jedna wyszła za męża, wyprowadziła się, dwie studiuje i mieszkają z nami, mamy ciasne mieszkanie i niezbyt dobrze się nam powodzi.

— Dlatego pracujesz?

— Między innymi. Widzisz, ja uważam, że każdy kto skończył osiemnaście lat powinien pracować. Byłoby idealnie, gdyby można było mieszkać oddzielnie i zarabiać na siebie. Słyszałem, że na Zachodzie tak jest. Młodzież szybciej się usamodzielnia, a u nas



trzydziestoparoletnie konie są jeszcze dziećmi, ciągle przy mamusi, na jej garnuszku, to demoralizujące, nieludzkie — wykrzykiwał...

—Co z twoimi studiami? Za kilka dni początek roku akademickiego. Rzucisz tę robotę w klubie, czy będziesz ciągnął jedno i drugie?

—Widzisz — stropił się niespodziewanie, pociągnął nosem i spojrzął na drzwi, jakby stamtąd oczekując pomocy — dawno już chciałem ci to powiedzieć, ale nie było jak, ciągle ta Beatka, kręci się przy tobie. Czy ona nie może sobie znaleźć innej koleżanki?

—Przecież nie chodzi o Beatkę. Miałeś mi coś powiedzieć!

—Racja — przełknął ślinę... — Widzisz, prawdę mówiąc, okłamałem cię — uśmiechnął się, sądząc, że wypadło to dowcipnie.

Majka zbladła raptownie. Uczepiła się palcami stołu, jakby bojąc się, że upadnie.

—Co? — wyszeptała sinymi wargami — coś ty powiedział?

—Och! Nic strasznego! Naprawdę. Uspokój się!... Widzisz, nie mogłem w tym roku startować na studia, ponieważ oblałem maturę.

—Ty? Oblałeś? — nie mogła uwierzyć. — Jak to możliwe?

—Wyobraź sobie, że tak. Dostałem dwóję z polaka.

—Ty? — powtarzała nieprzytomnie — ty... dlaczego?

—Co się tak dziwisz! Zdarza się w najlepszej rodzinie — usiłował zbagatelizować sprawę. Nigdy nie przypuszczał, że ona z takiej błażostki zrobi prawdziwy dramat... — Napisałem wypracowanie wierszem, myślałem, że zadziwię tym świat, temat był dziecinnie prosty, „Rozwiń słowa poety: Miej serce i patrzaj w serce”. No i dostałem dwóję, wyobrażasz sobie, dwóję, z adnotacją: powierzchowne ujęcie tematu, jakby w ogóle mogło być inne, sądzisz, że mogło?

—Nie wiem — bąknęła cicho wpatrzona w szklanekę — sądzę, że mogłeś to napisać zwyczajnie, bez wygłupów...

—To nie były wygłupy, ale mogłem, pewnie, że mogłem, mogłem napisać na czwórkę, a nawet na piątkę...

—To napisz, po co tyle gadania...

—Pewnie, że napiszę — mruknął z obrażoną miną.

—I pójdziesz na studia?

—Po co? — rozłożył ręce — żeby całe życie harować za grosze? Teraz bez matury zarobię więcej niż po skończeniu studiów...

—Chodzi ci tylko o forszę? — spytała z naganą, w jej oczach dostrzegł cień rozczarowania i smutku.

—Chcesz całe życie pracować jako człowiek do wszystkiego w jakimś nędznym klubie?

—Żartowałem — zmienił ton — zrobię maturę, zdam na studia, skończę je z wyróżnieniem. Powiedz tylko, że ci na tym zależy, że chcesz, żebym miał maturę, żebym studiował...

—Och! Ja nic nie chcę — odwróciła od niego wzrok. Patrzyła w okno na zimne mdłe światło, które walczyło bezskutecznie z naporem mżawki i deszczu — każdy żyje na swój rachunek. A cóż ja mogę chcieć, ja przecież nic nie znaczę.

—Dla mnie jesteś wszystkim.

—Jeżeli tak jest jak mówisz, to zrób tę maturę, zrób tę cholerną maturę i pisz wiersze, pisz książki, ja lubię czytać i marzę o tym, żeby przeczytać to, co ty napiszesz, nie zwlekaj więc i pisz...

—Piszę pamiętnik, w którym najczęściej jest o tobie.

—Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że to za mało, pisz o życiu, tym co piękne, co brzydkie, o miłości, i o takich dziewczynach jak ja.

—Ale ja nadal nic nie wiem o tobie, jesteś strasznie tajemnicza. Nie wiem nawet, gdzie mieszkasz, gdzie pracujesz i czy mnie choć trochę lubisz.

Przechylił głowę i patrzył na nią płonącymi oczami. Serce jej się ścisnęło, nie chciała go okłamywać, a jednak nie mogła powiedzieć mu prawdy, jeszcze nie.

—Słuchaj! — wzięła jego rękę i przytknęła do swego policzka. —Kiedyś, może nawet szybciej niż myślisz, powiem ci wszystko o sobie, powiem ci ile ważę, ile mam w talii, ile w biodrach, ale nie dzisiaj, dzisiaj nie chcę o tym mówić.

—Rozumiem. Złóścisz się, że cię okłamałem... Przepraszam ukląkł przed nią. Majce zrobiło się wstyd ze względu na ludzi, podniosła go szybko i powiedziała, żeby się nie wygłupiał.

—A wybaczysz mi? — zrobił taki ruch jakby znów chciał uklęknąć.

—Nie mam ci nic do wybaczenia. Wszystko OK — odpowiedziała suchym głosem księgowej, nie mogła darować mu kłamstwa ani tego, że był kimś innym niż myślała.

—Jeszcze raz najmocniej przepraszam — nie przestawał się kajać, bił się w piersi, robił tragiczne miny. W jego spojrzeniu i słowach było tyle żaru, że Majka zmiękła i chciała wbrew sobie wyznać mu wszystko, powiedzieć kim jest, gdzie była i za co, pragnęła z całego serca wyznać mu prawdę i nie mogła, jakaś nieznana siła nie pozwoliła jej otworzyć ust powiedzieć: ja również nie jestem w porządku — patrzyła więc na wachlarze światła za oknem i na deszcz, który z każdą minutą przybierał na sile. A Marcin walił się w piersi, zaklinał się, jęczał, przyrzekał, że to się już nie powtórzy, nigdy jej nie okłamie, innych być może tak, żyć przecież bez kłamstwa nie sposób, ale jej nie okłamie choćby miał zginąć. Przyrzekał, że napisze gładziutkie wypracowanie z polskiego, bez rymów, metafor, porównań i rytmów, poprawne, banalne jak wszystkie. Nikt się nie będzie czepląc, otrzyma dobrą notę. Jeżeli Majka chce, to on ucieknie z domu, rzuci pracę w klubie, będzie aniołem, no co jeszcze, czego sobie życzy, może chce, żeby stanął na głowie?

Majka nie odpowiedziała, nie przywiązywała wagi do słów, zwłaszcza kiedy było ich tyle. Kiedy występowały w takim zmasowaniu i tłoku nie liczyły się prawie, on zaś myśląc, że ona upartym milczeniem ora? nieodgadnionym uśmiechem poddaje w wątpliwość to co mówi, zerwał się z miejsca i nim Majka zdążyła zapytać, o co chodzi, stał już na głowie na środku kawiarni, a dwie dziewczyny klaskały w dłonie, okazując mu w ten sposób swoją sympatię. Większość kawiarnianej publiki skwitowała ten incydent wzruszeniem ramion, ktoś uznał, że Marcinowi pomieszało się w głowie i chciał dzwonić po policję. Majka w porę przywołała go do porządku i skończyło się na pogrożkach.

\* \*

\*

Tolo wysłuchawszy relacji Iwony o trudnościach Majki w znalezieniu pracy wydawał się szczerze zmartwiony tym, że spotkało ją kolejne upokorzenie.

Widzisz, dziecino, wybrałaś zły sposób — orzekł, odrywając na chwilę wzrok od „Ekspresu Wieczornego”, który czytał namiętnie — i niespiesznym ruchem sięgnął po papierosa. Iwona usłużnie podała mu ogień.

Nie pytałaś o radę więc się nie odzywałem — dmuchnął aromatycznym dymem w sufit. — Nie lubię się wtrącać w nie swoje sprawy. Znasz takie przysłowie: „Nie pchaj palca między drzwi”. Zawsze trzymam się tej zasady i źle na tym nie wychodzę, to musisz

przyznać, więc skoro nie pytałaś, nic nie mówiłem. — Tolo uwielbiał popisywać się długimi oracjami. — Chodzenie po zakładach byłoby dobre, gdybyś miała osiemnaście lat skończone i dowód osobisty albo mamusię z dowodem i stałym meldunkiem. Rozumiesz? Ostatnio ludzie stali się podejrzliwi i nieufni. Trudno im się dziwić. Popatrz co się dzieje — zaszeleścił gazetą. — Jakieś bandziory obrabowały PEWEKS, rąbnęli z kasy pięć tysięcy dolarów, nie mówiąc o towarze. To jest coś! Nikogo przy tym nie uszkodzili, nie pobili. Czysta robota — orzekł z uznaniem — sam bym tak chciał...

— Miałaś mi coś doradzić — przypomniała Majka, widząc, że się zagalopował...

— Tak, ludzie się boją. Nikt nie chce przyjmować nikogo z ulicy, powinnaś zacząć od Urzędu Zatrudnienia. Jest tam, o ile się nie mylę, dział dla nieletnich. Idź od razu do kierowniczkii, to miła kobitka, lubi pomagać innym, zdaje się jej pewnie, że naprawia świat, ale to jej sprawa, a ty powinnaś umieć to wykorzystać, pójdziesz i powiesz jej wszystko o sobie, z pominięciem oczywiście tych paru szczegółów, które dotyczą „Stylowej”. O tym nikt nie ma prawa nic wiedzieć. Dadzą ci tam skierowanie do pracy i jakiś zakład spółdzielczy czy państwowy będzie musiał cię przyjąć. Ty też chcesz tam pójść? — zwrócił się do Iwony, która rzuciwszy Majce przerażone spojrzenie zaprzeczyła stanowczo.

Nie mając innego wyjścia Majka wybrała się pod wskazany przez Tola adres. Nie obeznana z urzędową rzeczywistością denerwowała się. Nie wierzyła, że kierowniczka będzie tak miła, jak to przedstawiał Tolo, poza tym bała się pytań, nie lubiła mówić o sobie, a jeszcze bardziej o ojcu, który ją porzucił i o matce, która lekkomyślnie wydała się za mąż za nieodpowiedzialnego faceta, o zakładzie też nie. Chciała zamulić to wszystko w oparach niepamięci, wykopać przepaść nie do przebycia między przeszłością a tym co jest i co będzie. Życie jednak żądało od niej powrotów do źródeł, ustawicznej ciągłości faktów i zdarzeń, łączenia skutków i przyczyn, ciągłego nicowania i obdzierania ze skóry tych kilkunastu lat, które miała za sobą.

Z sercem podchodzącym do gardła przestąpiła próg szacownej instytucji i cofnęła się w popłochu, sądząc, że trafiła do komisariatu, wyszła nawet na ulicę jeszcze raz sprawdzić napis na tablicy przy drzwiach. Już nie miała wątpliwości, to było tu. W mrocznym korytarzu, przesyconym kwaśnym zapachem brudu i gryzącego dymu z rakotwórczych papierosów krajowej produkcji, kilkanaście osób z wyraźnymi śladami degradacji alkoholowej oblegało rozlatujące się krzesła. Przeważali mężczyźni o twarzach porowatych i grząskich jak poleskie bagna, z nosami koloru zbutwiałych liści. To oni szturmowali okienko i podpierali ściany z wyrazem bezgranicznej apatii i znużenia. Majce zrobiło się nieprzyjemnie, że znalazła się w tym gronie. Wyglądało na to, że nikt z normalnych i

przyzwoitych ludzi nie szuka pracy, że tylko te zewłoki ludzkie, niszczące siebie z takim uporem pragną coś zrobić.

Po pół godzinie docisnęła się do okienka i dostała numerek do odpowiedniego działu. Tam znów musiała czekać, ale do tego zdążyła się już przyzwyczaić. W Warszawie nawet po bilet autobusowy trzeba odstać swoje. Była nawet zaskoczona, gdy po paru minutach urzędniczka po czterdziestce poprosiła ją do siebie. Jej pokój z zieloną wykładziną na podłodze i jasnym biurkiem wydał się Majce salonem wystawowym. Kobieta też wyglądała nienajgorzej, jedynie tusza i drobne loczki na głowie dodawały jej niepotrzebnie lat i dziwnej ociężałości w ruchach, a nawet w sposobie mówienia. Po każdym zdaniu musiała odsapnąć jakby zrobiła dwieście metrów biegiem. Miała okrągłą twarz i zabawne dołeczki w policzkach, które rozchyłały się wdzięcznie przy uśmiechu. Słuchała Majki z uwagą, zachęcając do zwierzeń, i od czasu do czasu zaglądała do papierów leżących na biurku.

— Gdybyś miała skończone osiemnaście lat mogłabyś sprzątać u nas w biurze — powiedziała z wahaniem.

— Nigdy w życiu — oburzyła się Majka. — Ja chcę mieć zawód. Umieć robić trwałą, farbować włosy, strzyc też od biedy potrafię, ale nie jest to jeszcze ta precyzja, ten sznyt... Niewiele mi potrzeba, żeby się poduczyć, pół roku, może mniej...

— Dobrze — urzędniczka przestała wgłębiać się w papierzyska. — Przyjdź za miesiąc... Na pewno znajdę zakład, który cię przyjmie bez żadnych zastrzeżeń. Zwrócę się z odpowiednim pismem do zarządu spółdzielni, do tej pory mi nie odmawiali...

— Dopiero za miesiąc? — przeraziła się Majka — ależ ja muszę pracować już, muszę podać sądowi adres miejsca pracy, nie mogę czekać. Jestem na warunkowym, pani wie co to znaczy? Oni jeszcze gotowi pomyśleć, że się uchylam od pracy i z powrotem mnie zamkną. Ja tego nie przeżyję, naprawdę. Wolałabym umrzeć niż tam wrócić.

— Nie wrócisz! Obiecuję ci to — urzędniczka była najwyraźniej poruszona wyznaniem Majki. — Postaram się znaleźć ci coś w miarę szybko, za dwa, trzy tygodnie. Z doświadczenia wiem, że wcześniej nie dam rady. Nie zamkną cię, nie denerwuj się. Dostaniesz zaświadczenie, że czekasz na skierowanie. Nikt się nie będzie czepiał. No, uszy do góry! — wypisała Majce stosowny papierek, przyłożyła pieczętkę i była na tyle miła, że uniosła się nawet zza biurka i podała jej rękę.

Majka wyszła od niej przepelniona wdzięcznością, żałowała tylko, że Tolo wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Gdyby tu przyszła od razu

miałaby już pracę i mogłaby Marcinowi bez żadnych obaw podać adres.

\* \*

\*

Zapadał szybki jesienny zmierzch. Suchy wiatr roznosił po mieście cierpkie zapachy opadających liści i usychających kwiatów, wzbudzając nostalgiczne tęsknoty za latem. W klubie sportowym „Iskra” skończyły się ćwiczenia judoków i Marcin odprowadzał Majkę do wyjścia. Beatki tym razem nie było. Obraziła się na Majkę po jej ucieczce z dyskoteki postanowiła ją ukarać, dlatego nie pojawiła się na zajęciach. Sądziła, że jej nieobecność zmartwi przyjaciółkę i zmusi ją do przyjazdu na Makowską. I tu była w błędzie. Majka zajęta Marcinem dopiero pod koniec ćwiczeń zauważyła nieobecność Beatki, nie przyszło jej jednak do głowy martwić się o nią, czy niepokoić, a już z pewnością nie miała zamiaru jechać na Makowską. Marcin poprosił, żeby zaczekała na niego kilka minut, zabezpieczy sprzęt, pozamyka sale, zamiecie główny korytarz i będą mogli pójść na lody albo do kina. Majka odmówiła, tłumacząc się mętnie brakiem czasu. Na poczekaniu wymyśliła sąsiadkę inwalidkę, której obiecała zrobić dziś trwałą, nie mogła nawalić, słowo się rzekło.

Marcin nie wierzył ani przez chwilę w ten wykręt, lecz nic nie powiedział. Zachowanie Majki, a przede wszystkim, te dziwne wieczorne zajęcia denerwowały go. Nie chciał jej o nic podejrzewać, nie był jednak idiotą i niezależnie od swoich pragnień nie mógł uwierzyć w naiwne kłamstewka. Tym bardziej, że usługowa wyobraźnia podsuwała mu całą gamę mniej lub bardziej prawdopodobnych rozwiązań. Z pewnością Majka nie miała zamiaru zawracać sobie głowy jakąś tam inwalidką czy emerytką. Umówiła się z kimś, na kim zależało jej bardziej niż na nim, dlatego tak się spieszyła.

W pierwszym odruchu chciał rzucić wszystko i jechać za nią, wiedział gdzie mieszka, ale po chwili namysłu, zrezygnował. Majka wsiadła do tramwaju, który wiozł ją w stronę domu, ale czy dojedzie, czy pójdzie do siebie, czy do tej sąsiadki? A może to sąsiad? Albo ktoś z kim mieszka, starszy bogaty facet, który wieczorem chce ją mieć przy sobie. Wszystko na to wskazuje, że mieszka z facetem. Dlatego nie zaprosiła go do tej pory do siebie, wykręcała się jakąś mityczną Iwoną, twierdziła, że przyjmując ją na mieszkanie, przyjaciółka zabroniła Majce zapraszać kogokolwiek do siebie. Wszystko nagle stało się jasne.

Tramwaj z odjeżdżającą Majką dawno już rozmył się w szarym zmierzchu, po nim pojechały w tamtą stronę następne brzęcząc przeraźliwie, a Marcin stał nadal w drzwiach

klubu i bezmyślnie wpatrywał się w niebo. Naraz, z gęstniejących ciemności, wynurzyła się rudawa grzywka pani Ani z sekretariatu.

— Co pan taki zamyślony? — spytała. — Trzeba pogasić światła na górze i zabezpieczyć sprzęt. Wie pan, że wczoraj nie mogliśmy się doliczyć jednej piłki?

— Wszystkie schowałem do szafy — wyjaśnił.

Ale jednej brakuje. Co się teraz wyrabia, takiego złodziejstwa najstarsi ludzie nie pamiętają, podobno nawet w czasie okupacji nie było tylu kradzieży... Aha! Niech pan przyjdzie po premię... Boję się trzymać tutaj tę forszę. Mówiłam prezesowi, że trzeba jakoś zabezpieczyć pokój. Machnął tylko ręką. Wszystkim się zajmuje tylko nie klubem. — Chodźmy, robi się późno.

Marcin krokiem lunatyka powlókł się za nią do sekretariatu. Pani Ania kazała mu usiąść, poczęstowała czekoladą i następnie, nie rozstając się z papierosem, wydołała z szafy kasę pancerną, podsunęła mu przygotowaną wcześniej kopertę i kazała podpisać listę.

— Od jak dawna zna pan te dziewczyny? — spytała od niechcienia, zaciągając się dymem.

— Jakie dziewczyny?

— Niech pan nie udaje — uśmiechnęła się wąską szparą fioletowych ust. — Podpisał pan? To proszę przeliczyć.

— Mam do pani pełne zaufanie — obdarzył ją ciepłym spojrzeniem i nie licząc schował pieniądze do kieszeni.

— Wie pan o kim mówię. To niech pan uważa. Spotkałam tę szczupłą, czarną w „Stylowej”.

— To co z tego? — zapytał obojętnie, jego serce stanęło nagle, z mózgu odpłynęła krew, poczuł dziwną słabość w nogach i oparł się ścianę.

— Nic! O Boże! Co pan tak zbladł? — podbiegła do niego, potrąciła krzesło. — Proszę, niech pan pije — nalała wody z butelki i podała mu. — Zaraz otworzę okno. A może dać panu walidol — miotła się po pokoju, nie wiedząc co zrobić, gorączkowo szukała czegoś w torbie.

— Wszystko w porządku — Marcin już doszedł do siebie, starł z czoła zimny nieprzyjemny pot. — Trener wycisnął dziś ze mnie wszystkie soki. Już dobrze — wstał i żeby to udowodnić podszedł do okna. — Co pani mówiła o tej dziewczynie? Gdzie ją pani spotkała?

— W „Stylowej”. Prawdę mówiąc byłam zszokowana. Taka młoda, skromna, wygląda skromnie, nieprawdaż? No więc zdziwiło mnie, że taka młoda i skromna dziewczyna podrywa starszych facetów.

— To nieprawda! — zatrzęsł się z oburzenia.

Spojrzała na niego z politowaniem, ruda grzywka przesłoniła jej oczy.

— Prawda, sama jestem tym zaskoczona — wyznała cicho, z wyraźnym smutkiem. — Nie mogę się z tego otrząsnąć. Zastanawiam się, po co ona to robi, dla sportu, czy za forszę? — uniosła rękę odsłoniła gładkie czoło. Ten bezradny gest oznaczał chyba załopotanie tym co mówiła, nie miała zamiaru sprawiać mu przykrości, chciała go tylko ostrzec, chociaż kobieca intuicja mówiła jej, że jest już za późno.

— Pani kłamie! — wychrypiał Marcin płaczliwym głosem i rzucił się do drzwi, nogi jednak miał drewniane, pozbawione czucia, nie mógł oderwać ich od ziemi, unieść i przestawić. Droga od okna do drzwi trwała straszliwie długo, a może tak mu się tylko zdawało. Sekretarka widziała, jak oderwał się od okna, przetoczył łukiem przez pokój i nie mogąc złapać równowagi zwolnił, a potem już bez pośpiechu wyszedł. Zdziwiło ją, że nie powiedział do widzenia. On, zawsze taki grzeczny i dobrze wychowany, wyszedł nagle bez słowa.



Ocknął się dopiero w tramwaju i zorientował się, że niepotrzebnie wsiadł w „29”, chciał przecież dostać się do śródmieścia, a „29” jechało na Banacha. Na dobrą sprawę nie bardzo wiedział dokąd chciał jechać, nic jeszcze nie postanowił, był jak człowiek rażony piorunem. Blask upiornego światła kłuł go jeszcze w oczy, mózg nie funkcjonował normalnie, trująca dawka była zbyt silna i mechanizmy obronne działały słabo.

Wysiadł przy Dworcu Centralnym. Znowu chciał jechać do niej, żądać wyjaśnień, zaprzeczeń, tak, przede wszystkim pragnął, żeby ona wszystkiemu zaprzeczyła, żeby zaprowadziła go do tej sąsiadki inwalidki, której robi trwałą i z ręką na sercu wyznała, że nigdy nie była w „Stylowej”. Nie, zmienił zamiar. Nie miał prawa żądać wyjaśnień. Majka niczego mu nie obiecywała, lubiła z nim rozmawiać, spacerować, pić kawę, nie protestowała, kiedy brał ją za rękę, całował i przytulał do siebie. Z innymi robiła pewnie coś więcej. Sekretarka nie kłamała, nie darzyła Majki sympatią, to inna sprawa, ale tej opowieści o „Stylowej” nie wysysała sobie z palca, z pewnością nie, a jednak wierząc jej słowom, zaczął ją posądzać o mistyfikację. Na pewno coś poplątała, źle widzi, krępuje się nosić szklę, w takich lokalach jak „Stylowa” w przyćmionych światłach niewiele widać. Wierząc sekretarce, jednocześnie domagał się cudu, chciał, żeby prawda zmieniła się w kłamstwo, a rzeczywistość w zły sen. Przesiadł się przy dworcu w autobus i po upływie kwadransa, nieoczekiwanie dla samego siebie znalazł się przed „Stylową”.

W tym czasie Majka udając jak zwykle solidną uczennicę, która wyrwała się spod opieki surowej mamy, popijała coca colę i robiła słodkie oczy do mężczyzny o tłustej nalanej twarzy, w której nadmiernie ruchliwe oczy poruszały się szybko i czujnie niczym dwie głowy węża.

—Och! Proszę pana — ziewnęła rozkosznie, przepraszając go za ten drobny nietakt uśmiechem — mama nic o tym nie wie. Wyjechała na wczasy do Jastrzębiej Góry.

—Sama! — zarechotał z zadowoleniem mężczyzna.

—Nie wiem, mama mi się nie zwierza. W każdym razie nie sędzę, żeby kogoś... ;

-s;

—Telefon do pani — skłonił się przed nią nieco zmieszany portier i trącił ją w ramię.

—Do mnie? — Jakieś niejasne przeczucie ścisnęło jej serce. — Nie wie pan kto dzwoni?

Portier pokręcił z powagą głową, jego czerstwa twarz bez wyrazu przypominała gliniany garnek.

—Proszę tędy, do pokoju kierownika — oficjalny, nieprzenikniony wskazywał kierunek, nie szedł jednak za nią, sprawdzał tylko czy trafi we właściwe drzwi. Zupełnie niepotrzebnie, gdyż złota tabliczka z napisem „kierownik” informowała bezbłędnie, dokąd należy iść. Już nie wierzyła w żaden telefon, kierownik „Stylowej” podobnie jak tamten z „Kaskady” oskarży ją o kradzież i zabroni tu przychodzić. Trudno, porozmawia z Tolem, niech raz wreszcie użyje swoich wpływów.

Krótkie szczeknięcie w odpowiedzi na jej pukanie nie było zachęcające, kobiecy głos, który usłyszała za drzwiami, wydał jej się znajomy. Weszła do jasno oświetlonego pokoju i od razu chciała się cofnąć, za biurkiem kierownika siedziała pani Jadzia, inspektor policji do spraw nieletnich. Druga kobieta, też policjantka, o pospolitej twarzy, z włosami koloru waniliowych lodów, zniszczonymi przez złe farby, chodziła z papierosem po pokoju. Obie panie ubrane po cywilnemu, w niezbyt gustowne wieczorowe bluzki skierowały na Majkę badawcze spojrzenia.

—Jesteś zaskoczona? — spytała szorstko pani Jadzia.

Majka potwierdziła ruchem głowy.

—Ja też — stwierdziła ze złością pani Jadzia. — Nie sądziłam, że tak szybko zmienisz profesję.

—Ja?

—A jest tu jeszcze ktoś? — pani Jadzia uśmiechnęła się porozumiewawczo do swojej koleżanki.

—Nie rozumiem, o czym pani mówi — wyprężyła się Majka.

—Siadaj! — pani Jadzia szorstkim ruchem wskazała jej krzesło. — I przestań udawać idiotkę. Znamy się nie od dziś.

Majka zacisnęła kurczowo palce na małej czarnej torebce i przycupnęła na krześle.

—Chcesz papierosa? — spytała pani Jadzia spokojnie.

—Dziękuję. Mam swoje. Chętnie zapalę, jeżeli pani pozwoli.

TLR

—A pał, ile chcesz! Nie moje zdrowie, nie moje papierosy. Od jak dawna tu przychodzisz?

—Od dwóch miesięcy.

—Ilu frajerów załatwiłaś?

—Ktoś złożył skargę? — przeraziła się Majka.

Obie policjantki roześmiały się ubawione.

—Z takimi skargami panowie raczej do nas nie przychodzą — wyjaśniła ze śmiechem pani Jadzia i spoważniała.

—Prawdę mówiąc — zrobiła przerwę jakby się wahała — powinnam cię zatrzymać i odstawić do domu — spojrzała na koleżankę, która nie przejawiała żadnego zainteresowania Majką. Twarz miała gładką jak lustro i tak samo zimną. — Ale tego nie zrobię, na razie nie. Wiem, że znów wrócisz na melinę. Prawda?

Majka siedziała w otoczce dymu i nie odpowiadała.

—Myślę więc — ciągnęła niezrażona tym pani Jadzia — że będzie lepiej, jak sama wrócisz do domu i zaczniesz żyć normalnie.

—Co to znaczy normalnie? — nastroszyła się Majka.

—Uczyć się, pracować... — odpowiedziała z pewnym wahaniem pani Jadzia.

—A z czego żyć? ?

Obie policjantki nie raczyły odpowiedzieć na to pytanie. ^

—Będziemy musiały powiadomić sąd o twoim zachowaniu — odezwała się ta o nieprzejrzystej twarzy. — Takie są przepisy. Sąd zdecyduje, co z tobą zrobić.

—Mimo wszystko — wtrąciła pani Jadzia — radzę ci spotkać się z matką, porozmawiać... Sądzę, że obie znajdziecie jakieś wyjście z tej sytuacji. I żebym cię więcej nie widziała ani tu ani w „Kaskadzie”, ani gdzie indziej. To byłoby wszystko.

—Czy mogę wyjść? — spytała zacinając się Majka. Obezwładniona zdumieniem z trudem dźwigała się z krzesła.

— Oczywiście — potwierdziła tym samym szorstkim tonem pani Jadzia. — Jesteś wolna i możesz robić co ci się podoba.

W ostatnich słowach Majka usłyszała wyraźny pomruk groźby.

\* \*

\*

Przemierzając tam i z powrotem niewielki pas cienia na wprost mrugającego neonu, Marcin toczył ze sobą walkę. Był chory, z trudem łapał oddech, serce skowyczało mu z bólu, mózg rozlatywał się na kawałki, a oczy zasnuwała gruba powłoka mgły. Chwilami mrugający neon ginał za jej zasłoną i rzeka ciemności zalewała ziemię. Na nic nie mógł się zdecydować. Bał się, że prawda go zabije, wpędzi w otchłań rozpacz, skąd już nie będzie powrotu. Niezbyt wiele doświadczył w życiu, wiedział jednak, że jeden krok może odsłonić mu wejście do piekła, skąd już nie zdoła się cofnąć. Stał na granicy cienia i szukał odpowiedzi w roziskrzonym niebie. Gwiazdy płonęły jak zwykle zimnym blaskiem i kpiły sobie z ludzkich cierpień. Tu na ziemi otaczał go bezmiar domów, aut, ulic, wśród którego był sam i sam musiał rozstrzygnąć

swoim losie. Podjął w końcu decyzję i nie zatrzymywany przez nikogo wszedł do „Stylowej”, przycupnął za kolumną i stamtąd obserwował roztańczoną salę. Orkiestra, mając na uwadze zaawansowany wiek przytłaczającej liczby gości, grała rozlewne tango. Pary poruszały się wolno w somnambulicznym rytmie, twarze tonęły w lepkim półmroku. Dopiero po chwili Marcinowi udało się wyłowić ją z tłumu. Stało się to wówczas, gdy dzięki złudzeniu, że jej tu nie ma, zaczynał odzyskiwać siły. Na nic się zdały modlitwy i wiara w cuda, ona tu była, ubrana z wzorową niemal skromnością w białą lśniąca bluzkę i czarną spódniczkę, tuliła się w tańcu do mężczyzny o tłustej nalanej twarzy, miała w półprzymknięte oczy i z wielką uwagą wsłuchiwała się w jego namolny szept.

Marcinem tak wstrząsnął ten widok, że chciał rzucić się między nich, rozerwać splecione w tańcu ramiona, wbić sztylet, którego niestety nie miał, w serce tego tłuściocha, a ją porwać, ocalić przed hańbą zbezczeszczeniem. Zamiast tego, nie dbając już o pozory ani o to, czy zostanie przez nią zauważony rzucił nieprzytomnie do wyjścia.

Majka, niczego nie podejrzewając z wdzięcznym uśmiechem pożegnała swojego partnera.

— Miło było — szepnęła nie przestając się mizdrzyć i omdlałym ruchem podpatrzonym na filmach podała mu rękę, którą on wśród wieloznacznych pomruków z wielką galanterią ucałował.

W holu Tolo, ubrany według najnowszych zaleceń „Przekroju” rozmawiał językiem migowym z grupą Arabów. Na widok Majki oderwał się od nich.

TLR

—Jak? — spytał z lekkim niepokojem. — Nikt cię dziś nie nękał?

—W porządku. Jadę do domu.

—Nie bój się, będę w pobliżu, a teraz rzuć okiem na tego przystojniaka — ruchem głowy wskazał stojącego obok mężczyznę.

—Daje pięćdziesiąt za jeden seans, a gdybym mu znalazł dziewicę dałby sto pięćdziesiąt.

—Sto pięćdziesiąt? — powtórzyła z niedowierzaniem Majka

—Poczekaj! Niech policzę. Półtora miliona! Matko Przenajświętsza, toż to kupa forsy — spojrzała z podziwem na przystojniaka.

—Pięćdziesiąt to też niemało — zauważył roztropnie Tolo — oni są szybcy, szast prast i pieniążki w kieszeni.

Rzeczowy głos Tola sprowadził Majkę na ziemię. Uśmiech zgasł na jej twarzy, wokół ust pojawił się niedobry grymas.

—Ja nie robię w tej branży. Cześć! — rzuciła szorstko. Zrobiło jej się wstyd, że głośno przeliczała dolary na złotówki. Nie obchodziło ją, co sobie pomyślał Tolo. Przed samą sobą czuła się nie fair, przecież gotowa była sprzedać się za dolary, nie ma się co okłamywać, tak było, tym razem opamiętała się w porę, ale gdyby suma była wyższa, a ona nie miałaby grosza przy duszy, to kto wie... Wzdrygnęła się jakby ujrzała upiora, odpędziła złe myśli i zwiewnym krokiem sprinterki przeleciała przez hol. Tym razem też nie zauważyła Marcina, który ukrywał się za palmą przy wejściu, na ulicy odnalazła tak-sówkę za kioskiem Ruchu i tam czekała pogrążona w zadumie. Nie wdawała się nigdy w żadne rozmowy z kierowcą.

\* \*

\*

W wielopiętrowym bloku przy ulicy sławnego kompozytora w kilku zaledwie oknach paliły się światła. Właściciele dwóch groźnych wilczurów spacerowali, trzymając ich krótko na smyczy, Marcin też spacerował, chociaż właściwie to co robił trudno nazwać spacerem. Stał przed domem i czekał aż z klatki schodowej wyskoczył mężczyzna o

oczach podobnych do węzowych główek. Czekał już dosyć długo, a on nie wychodził, przeszedł więc na drugą stronę, gdzie zamiast podwórza rozpościerał się trawnik z kilkoma karłowatymi krzewami. Obok trzepaka znajdowała się ławka. Wspiął się na nią i usiłował zajrzeć przez okno. U Majki paliło się światło, ale gruba zasłona zakrywała szczelnie wnętrze pokoju. Zrezygnował więc z podglądania i przeniósł się na klatkę schodową, przystanął pod drzwiami Majki i nasłuchiwał. Z górnych pięter sączyło się słabe światło, lecz tu, gdzie stał panował przyjemny półmrok. Sąsiedzi już spali i żadne odgłosy nie mąciły ciszy. Wtem za drzwiami usłyszał jakąś szamotaninę, coś spadło na podłogę i męski wzburzony głos wrzasnął:

—To skandal! Pójdę na policję! Niech zrobią porządek z tym kurestwem! — w głębi mieszkania trzasnęły drzwi.

Marcin zeskoczył na podest i udawał, że schodzi w dół. Uczynił to w samą porę, bowiem na klatkę wyleciał mężczyzna o nalanej twarzy, sapiąc z oburzenia i wykrzykiwał:

—Ja ci pokażę, ty kurwo! Ja cię nauczę! — Spozrzegł Marcina i umilkł zmieszany, szybkim ruchem przyglądził rzadkie, siwiejące włosy, chciał chyba poprawić krawat, a że go nie miał, zapiął tylko guzik przy koszuli, minął Marcina, który w tym momencie zapalał papierosa. Przyjrzał mu się i mruknął coś z obrzydzeniem. Bez wątpienia wziął go za alfonsa, to bardziej jeszcze rozwścieczyło Marcina. Przestał się interesować mężczyzną i runął do drzwi, nacisnął dzwonek i załomotał klamką. Majka z pytaniem: kto? wychyliła się przez łańcuch. Miała na sobie tę samą błyszczącą bluzkę i czarną zwiewną spódniczkę z jakiegoś lejącego się materiału, twarz niewinną i gładką, ozdobioną uśmiechem grzecznego uczennicy, który na widok Marcina rozbłysnął radością

—Otwieraj! Na co czekasz? — wrzasnął Marcin.

—Zaraz, zaraz — przycisnęła drzwi i zdjęła łańcuch.

—Co się stało? — spytała niewinnie. — Dlaczego jesteś taki wściekły?

—Dlaczego? — eksplodował upiornym śmiechem, od którego zachwiał się i zatoczył. — Ty jeszcze śmiesz pytać dlaczego? Jeszcze udajesz niewiniątko? Patrzysz tymi oczami skrzywdzonego dziecka, z tym uśmiechem grzecznego uczennicy i udajesz, że nie wiesz, ciągle udajesz...

—Nie wiem, o czym ty mówisz, naprawdę — szepnęła lękliwie.

—Nie wiesz? — zaśmiał się upiornie i strasznie. — To ci powiem. Zakochałem się w dziwce.



Majka cofnęła się jakby ją ktoś smagnął biczem po twarzy, a on wrzeszczał dalej.

—W zwyczajnej dziwce, rozumiesz? W takiej, co się oddaje facetom za pieniądze, starym obleśnym lajdakom, degeneratom...

Majka oderwała ręce od oczu, w jej twarzy nie było kropli krwi, zostały tylko sztuczne rumieńce na policzkach.

—A czego ty się spodziewałeś po dziewczynie z poprawczaka! —krzyknęła z determinacją. — Na co liczyłeś? — podeszła do stołu i usiadła zrezygnowana z rękami na kolanach. Dużo ją kosztowało to wyznanie. Teraz nie miała już nic do stracenia.

Marcin zajęty swoim bólem pomieszany z wściekłością nie słuchał, rzucał się nieprzytomnie po pokoju i krzyczał:

—Myślałem, że jesteś dobra, szlachetna, czysta, niewinna, inna niż wszystkie dziewczyny, lepsza od nich, a ty! Boże! Boże! — walił się pięściami po głowie — a ty, a ty! — Ile bierzesz?

Majka potrząsnęła głową. Nie zrozumiała pytania.

—Jaka jest twoja stawka? Ile ci zapłacił ten hipopotam?

—Trzysta tysięcy — odpowiedziała zgodnie z prawdą.

—Masz! — rzucił kilka banknotów na stół, pochylił się, zaczął liczyć gorączkowym szeptem: dwieście trzydzieści, czterdzieści pięć — przerwał, z wzrokiem szalonym i dzikim wygrzebał z kieszeni kilka pięćsetek, setek i pięćdziesiątek, przeliczył, brakowało tysiąc złotych, wysypał z portmonetki drobne dwudziestki, dziesiątki, dwójki i liczył tracąc oddech, trząśł się przy tym jak w febrze. — Masz! — powtórzył jadowicie. — Nie brakuje ani grosza. — Przelicz!

—Marcin! To nie tak, nie tak jak myślisz — cofnęła się przerażona do okna. — Posłuchaj! Wszystko ci wytłumaczę. Z tym facetem nic nie było. Marcin! Co ty chcesz zrobić?

—Rozbieraj się! — wrzasnął. — Na co czekasz? Nie brakuje ani grosza! — chwycił ją za rękę.

Trzęśła się przed nim skulona, bliska omdlenia, próbowała mu bezskutecznie wyjaśnić, co robiła z tym tłustym mężczyzną, nie spała z nim, on jej nawet nie pocałował...

—Rozbieraj się! — wrzeszczał. — Nie wciskaj mi tu ciemnoty! — zerwał brutalnie z niej bluzkę, odsłonił niewielkie dziecinne piersi, nie przywykłe do miseczek stanika, które ona, wstydzając się zasłaniała odruchowo rękami. Ten kolejny niewinny gest poruszył w nim, jakies tamy, obudził nieznane siły. Dość miał jej kłamstw, obłudy, oszustw i tej potwornej gry, która doprowadziła go do granic poczytalności, chwycił ją za ramię, popchnął na tapczan i nie zważając na rozpaczliwą obronę, zdarł z niej spódnice. Majka zasłoniła się kocem i błagała:

—Nie rób tego, proszę, nie tutaj, nie teraz... Zaraz przyjdzie Iwona... Marcin! — usiłowała go odepchnąć. — Ja jeszcze nigdy, z żadnym mężczyzną, zrozum, boję się, Marcin! Miej litość — rozplakała się.

Nie zważał na jej płacz, sądził, że to dalszy ciąg tej potwornej gry. Wcisnął się w nią brutalnie i nagle z okrzykiem przerażenia odskoczył, z jego piersi wydobył się straszliwy jęk:

—Przebacz mi, Majka przebacz! — Zdumienie, radość poplątały mu zmysły. Nie wiedział co robić, ukląkł przed nią, całował ją po rękach, przepraszał, wstał, przyniósł jej ubranie, znów ukląkł, znów błagał o przebaczenie. Majka z kocem naciągniętym pod szyję uśmiechała się przez łzy.

—Odwróć się! — powiedziała. — Muszę się ubrać — musimy stąd wyjść.

—Myślałem, że ty z nimi za forszę, no wiesz, przepraszam... — rozplakał się.

Majka skinęła głową na znak, że rozumie, zanurzyła mu palce we włosy i po raz pierwszy odważyła się pocałować go w usta. Porwał w ramiona jej kruche ciało i tulił się do niej z ogromną czułością.

—Odsuń się, chwileczkę — naciągnęła na siebie bluzkę. Kiedy wkładała spódnice rozległo się pukanie do drzwi. Popatrzyła z przestachem na Marcina, nie wiedząc co robić. Pukanie rozległo się znowu. Majka zapięła w popłochu bluzkę, podeszła do drzwi i zapytała:

—Kto tam?

—Nie wygłupiaj się! To ja — usłyszała niezadowolony głos Tola.

—Co ty jeszcze tam robisz? Znikaj szybko! Iwona zaraz tu będzie.

—Już idę! Nie wchodź tutaj! — powstrzymała go Majka.

—A forsa? — upomniał się przez drzwi.

— Nie martw się, dostaniesz swoje! — uspokoiła go Majka.

Wróciła do pokoju, zgarnęła ze stołu pieniądze, wcisnęła je Marcinowi do kieszeni, potem zabrała jeszcze z szuflady plik banknotów, narzuciła na siebie kurtkę i uchyliła ostrożnie drzwi. W brudnym świetle nieosłoniętej żarówki zobaczyła Tola, który ręką dawał jej znaki, żeby szła na górę. Wysunęła się bezszelestnie na klatkę, za nią Marcin, drzwi zatrzasnęły się samoczynnie. Z dołu dolatywał już głupawy chichot Iwony i bełkocliwie przechwałki jakiegoś mężczyzny, który wykrzykiwał na cały głos, że każdej dogodzi.

Tolo udawał, że nie zauważa Marcina, z palcem na ustach wchodził do góry i zachęcał Majkę, żeby szła za nim, ale ona została nieco w tyle, obserwowała z góry Iwonę, podziwiając jej opanowanie. Iwona z anielską cierpliwością znosiła umizgi wstawionego faceta, wdzięczyła się do niego, robiąc z siebie słodką idiotkę. Wreszcie otworzyła drzwi kluczem i weszła ze swoim adoratorem do środka. Tolo, który czekał tylko na ten moment, z marsową miną, błyskając smolistymi oczami zwrócił się do Majki:

— Bądź tak dobra i przedstaw mnie swemu koledze.

— Proszę bardzo, poznajcie się — zwróciła się do Marcina. — To jest Marcin, a to Tolo.

Uścisnęli sobie ręce.

— Z nim się też dzielisz? — spytał zaczepnie Tolo.

— Co? — Marcin popatrzył na niego jak na wariata.

Majka parsknęła śmiechem i popukała się w czoło.

— Widzisz — zaczął wyjaśniać Tolo, zwracając się do Marcina — z tą oto damą założyliśmy spółkę, która jak dotąd prosperuje nienajgorzej. Prawda kochanie? — posłał Majce uśmiech pełen trującego syropu.

Ona skinęła głową.

— Nie wypada więc zrywać umowy bez uprzedzenia. Nas też obowiązują pewne zasady...

— Nikt nie zrywa umowy. O czym ty mówisz? — oburzyła się Majka. — Jutro dostaniesz swoją dolę. Wszystko jest jak było.

— A on? — wskazał palcem Marcina. — Co on ma do tego?

— Nie twoja sprawa. Idziemy! — skinęła do Marcina, który otoczył ją ramieniem. Majka przytuliła się do niego z ufnością i zaczęli schodzić na dół.

Tolo zaśmiał się pogardliwie i splunął.

— Dziwka! — wrzasnął na cały głos — zwyczajna dziwka — powtórzył, lubując się tym słowem. — Myślałem, że jesteś inna, podziwiałem cię za to, a ty ciupciasz się z jakimś gnojkiem.

TLR

—Coś ty powiedział? — rzucił się do niego Marcin.

Tolo zaśmiał się zadowolony.

—Nie słyszałeś? To ci powtórzę. Myślałem, że ona chce do czegoś dojść, a to dziwka, zwyczajna dziwka, ciupcia się z...

Nie dokończył, ponieważ Marcin chwycił go z całej siły za ramię i usiłował uderzyć w twarz. Tolo z łatwością odepchnął go i odrzucił na ścianę. Marcin odbił się od niej i z furią zaatakował przeciwnika, szczepili się razem, Marcinowi udało się zastosować chwyt wyuczony w klubie, Tolo syknął z bólu, odskoczył od niego i sięgnął do kieszeni po nóż. Majka jakby przygotowana na ten ruch podbiła mu rękę i nóż wypadł na podłogę z bezsilnym młaśnięciem. Tolo ruszył na Marcina bykiem.

Na półpiętrze, w szparze uchylonych drzwi ukazała się zaspana kobieta w piżamie. Widząc szarżującego Tola zamknęła się czym prędzej na zasuwę, podbiegła do okna, otworzyła je i stamtąd zaczęła wołać rozpaczliwie:

—Policja! Na pomoc! Mordują, policja! Ludzie! Mordują!

Tolo nie przejął się jej krzykiem, mocnym uderzeniem powalił Marcina na podłogę, odepchnął Majkę, która okładała go pięściami, podniósł nóż i schował do kieszeni, po czym, jakby dla podkreślenia swojej przewagi, kopnął leżącego rywala i lekkim krokiem zbiegł na dół.

Majka podbiegła do Marcina, usiłowała go podnieść, lecz on leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami. Krew drobnymi strużkami sączyła mu się z nosa i krzepła. Na ustach błąkał się pełen błogości uśmiech.

—Marcin! — krzyknęła przerażona. — Co ty wyprawiasz? Marcin! Możesz wstać? Gdzie cię boli? Powiedz! Wezwę pogotowie.

—Nie trzeba! Nic mi nie jest — uniósł rękę i bardzo delikatnie dotknął jej twarzy. Nie czuł już bólu ani upokorzenia. Zdawało mu się, że zanurzył się cały w ciepłej spokojnej rzece i płynie z falą, dokoła szumią łagodnie drzewa i słyszać marsz Mendelsohna.

—Tak tu dobrze, tak cicho — szeptął ściskając jej rękę. — Nie chce mi się stąd iść.

—Musisz wstać! Jak nas ktoś zobaczy wezwie policję. Pójdę po taksówkę, zawiozę cię na pogotowie.

—Nigdzie nie pójdziesz! Ja cię nie puszcę. Teraz już zawsze będziemy razem, będę na ciebie patrzył, będę się tobą cieszył... Idziemy! — zacisnął zęby i nie wypuszczając jej ręki dźwignął się z podłogi. Bolały go ramiona i plecy, mógł jednak stać, poruszać bez trudu nogami, a kiedy dotykał jej twarzy i słyszał jej głos przepełniony troską o niego czuł w sobie niezwykłą siłę i gotów był walczyć o nią z całą zgrają warszawskich alfon-sów.

Przemyśla mu twarz chusteczką, zwilżoną wodą kolońską, którą zawsze nosiła przy sobie, objęła ramieniem i ostrożnie sprowadziła ze schodów. Marcin zapewniał ją, że nic mu nie jest, przeciwnie czuje się lekko, mógłby fruwać. Szeptem mówił:

\*\*

\*

*Zachłysnąć się tobą*

*jak wodą orzeźwiająca żeby było wesoło i młodo i trudno i gorąco*

—To twoje? — spytała zachwycona.

—Nie.

—Szkoda.

—Ja też żałuję, ale napiszę lepszy, zobaczysz, no, jeżeli nie lepszy — zreflektował się — to inny.

—Na pewno — potwierdziła z przekonaniem.

Na parterze zatrzymał ich przenikliwy gwizd syreny policyjnej, w szyby parterowych okien bryznęło światło reflektorów. Majka dygocąc przytuliła się do Marcina i stała drżąca z twarzą na jego piersiach.

—Nie bój się! — osłaniał ją ramieniem — jestem przy tobie. Nic ci nie grozi. Nie pozwolę cię skrzywdzić. Pamiętaj!

—Tak — potwierdziła ochoczo — teraz wiesz o mnie wszystko, a tak się tego bałam. Nie wiedziałam, jak zareagujesz, co zrobisz, myślałam, że jak dowiesz się prawdy, nie będziesz chciał mnie więcej znać. A tego bym nie przeżyła... Panicznie bałam się tego dnia, wiedziałam, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na wierzch, zawsze wycho-dzi...

Radiowóz odjechał, groźna cisza powróciła w mroczne tunele wąskich uliczek. W bloku naprzeciwko zgasło ostatnie światło.

— Nie będziesz się gniewać, jeżeli cię o coś zapytam? — stropił się Marcin.

TLR

—Pytaj! — zachęcała go uśmiechem. — Ja nie mam nic do ukrycia.

—Powiedziałaś, że byłaś w poprawczaku, w porządku, nie obchodzi mnie to. Było, minęło. Nikt nie jest święty. Nie rozumiem jednak, po co chodziłaś do knajpy i ściągałaś do domu tych mężczyzn?

—Chodziło o forszę. Zawsze w takich wypadkach chodzi o forszę. W knajpie brałam od każdego dowód, zapamiętywałam adres, ustalałam cenę i przyjeżdżaliśmy tutaj. Żądałam najpierw pieniędzy, a jak je dostałam kazałam się tym panom wynosić, uprzedzałam, że jeśli tego nie uczynią napiszę do ich żon.

—Szantażowałaś ich?

—Tak.

—I żaden cię nie zakapował?

—Do tej pory nie, ale taka rzecz zawsze może się zdarzyć... — dodała niepewnie.

—Już się nie zdarzy — orzekł z przekonaniem. — Idziemy! Odwiozę cię do domu — ujął ją za ramię i wyprowadził na ulicę.

—Ja nie mogę wrócić do domu — popatrzyła tępo przed siebie.

—Dlaczego?—zdenerwował się. — Powiedz wreszcie, co jest grane? Dlaczego uciekłaś, dlaczego tułasz się po obcych kątach? Chcesz, żeby cię znowu przymknęli? Kłótnia z ojczymem niczego nie wyjaśnia. Wszyscy się kłócą z rodzicami. Ja też. v jj-t

—Nie chodzi o kłótnię.

—A o co?

—On mnie chciał zgwałcić, ledwie uciekłam, usiłowałam wyskoczyć oknem, wolałam to niż...

—O Boże! — uderzył się z hukiem w czoło. — Dlaczego mi nie powiedziałaś?... Zabiję go...

—Daj spokój. To nie rozwiąże sprawy. Widzisz, ja muszę znaleźć jakieś lokum, muszę gdzieś mieszkać, pracy też nie mam, pan Marek mnie zwolnił, właściwie wyrzucił...

—Za co?



—Tobie wszystko trzeba tłumaczyć jak dziecku. Chciał, żebym poszła z nim do łóżka...

—O Boże! Co to za ludzie! Co to za świat! — uniósł ręce i groził nie wiadomo komu. — Co za chłam, co za gówno... A ja idiota, ciebie o coś podejrzewałem. Wybaczysz mi to...

—Cicho! Ludzie śpią — położyła mu palce na ustach.

—Idziemy! — pociągnął ją zdecydowanie do postojów taksówek. —Zabieram cię do hotelu. Wyśpimy się, pogadamy o wszystkim, a jutro, jutro na pewno znajdzie się jakieś wyjście. Wspólnie coś wymyślimy, zobaczysz!

Ponury i gburowaty kierowca zrobił im wielką łaskę, zawożąc ich do śródmieścia. Wysadził przy Domach Centrum i nie raczywszy odpowiedzieć na uprzejme „dobranoc” — odjechał. Majka trzęsła się z zimna, i dopiero po wielu namowach przyjęła od Marcina sweter. On został w cienkiej kurteczce i szczekał zębami. Była druga w nocy. Miasto pozbawione pojazdów i ludzi wyglądało jak po bombardowaniu. Gdzie nie spojrzeć leje, wykopy, rozpadliny, mroczne przejścia, kałuże błyskające brudnymi ślepiami, szpic Pałacu Kultury zwisał z chmur niczym miecz Damoklesa. Wiatr gwizdał przeciągle jak na sabacie czarownic, niosąc nie wiadomo skąd groźne dudnienie. Strach było stać w pełnym świetle na odsłoniętej przestrzeni. Zdawało się, że z mroków podziemnego przejścia wynurzy się banda nożowników i zrobi z nich miazgę. Zabrakło im odwagi, żeby tam wejść. Przeskoczyli ogrodzenie i znaleźli się po drugiej stronie jezdnii, od hotelu „Metro-pol” dzieliło ich zaledwie kilkadziesiąt kroków. Recepcjonistka jeszcze nie spała i wbrew oczekiwaniom okazała się osobą uprzejmą i współczującą, cóż, kiedy nie była w stanie im pomóc. Gdy zobaczyła dowód Marcina z warszawskim meldunkiem powiedziała, że nie może im dać pokoju, miejsca hotelowe są zarezerwowane tylko dla przyjezdnych.

—Ale przecież pani stwierdziła, że są wolne pokoje — przypomniał jej Marcin.

—Są, ale tylko dla przyjezdnych. Gdyby choć jedno z was miało meldunek innego miasta, dałabym wam pokój, a tak nie mogę rozłożyć bezradnie ręce, uśmiechnęła się wdzięcznie zaspanymi oczami z ziarnkami tuszu na powiekach. Nie mogła nic zrobić. Radziła życzliwie, żeby mimo wszystko wrócili do domu.

—Ale my nie mamy domu — szepnęła Majka patrząc szklanym wzrokiem na ciemne tafle szyb owianych nocą.

—W Polsce przecież nie ma bezdomnych — uśmiechnęła się drwiąco — to tylko w Nowym Jorku...

—Tak — podchwycił Marcin. — W Nowym Jorku ludzie śpią na ulicach, a u nas... Ech!... czysty surrealizm, jak wszędzie tutaj... Dobranoc Pani. Przepraszamy — skłonił się nisko.

Recepcjonistka nie przestając się uśmiechać, życzyła im szczęścia. Była od nich niewiele starsza i współczuła im szczerze... i gdyby nie te przepisy...

Miasto nurzało się ciągle w oparach snu. Zimne księżycowe światło, lejące się szczerze z rozsianych tu dosyć gęsto latarni potęgowało jeszcze wrażenie martwoty i pustki. Wiatr z dzikim świstem nadleciał od pustego placu, zatrzęsł metalowymi rurkami rusztowań, walnął w szklaną taflę i stracił impet. Majka nie czuła już chłodu, wciąż trzymając się Marcina zastanawiała się, dokąd pójść o tej godzinie, on też się zastanawiał, ale oboje nic nie mogli wymyśleć. Propozycja Marcina, żeby jechać w środku nocy do jego rodziny nie spodobała się jej.

—Co oni sobie pomyślą? Że jestem jakąś przybłądą, która nie ma gdzie przyłożyć głowy? Nie, ten pomysł odpada.

—Powiem, że przyjechałaś z Torunia, z Bydgoszczy czy ze Szczecina i nie zastałaś nikogo w domu.

—Nie mam ochoty kłamać, zresztą kto uwierzy w te bzdury? Chodźmy na dworzec. To jest miejsce wszystkich bezdomnych... Napijemy się herbaty, usiądziemy wygodnie i pogadamy. Chcesz?

—Po co pytasz, wiesz przecież, z tobą pójdę na koniec świata — wyznał żarliwie, gotów natychmiast słowa wprowadzić w czyn.

—Właśnie, że nie wiem, nie jestem pewna... Ciągle nie chce mi się wierzyć, że taki chłopak jak ty zadaje się z dziewczyną z poprawczaka. Przecież z twoim wdziękiem, z twoją urodą możesz mieć każdą...

—Ale ja chcę mieć ciebie, tylko ciebie...

—No to chodź — wzięła go za rękę. — Biegniemy! Mam ochotę na szklanekę gorącej herbaty — rzuciła się do przodu, ciągnąc go za sobą. Nagle stanęła przestraszona i zatrzymała Marcina. Przed nimi w niewielkiej odległości majaczyła w mroku sylwetka mężczyzny, leżącego na ławce, krzątały się przy nim dwie kobiety, jedna przeszukiwała mu kieszenie, druga wyprostowała się nagle, rzuciła jakiś przedmiot na ziemię i rozejrzała się trwożnie na boki. Widząc nadchodzących Majkę z Marcinem krzyknęła na kole-

żankę odciągnęła ją od mężczyzny coś jej tłumacząc, po czym obie ruszyły zgodnym truchtem w kierunku dworca.

Majka, przechodząc zatrzymała na chwilę wzrok na leżącym mężczyźnie, coś ją w nim uderzyło, podeszła bliżej.

—O Boże! — zawołała rozpoznając w nim ojczyma. Ucieszyła się sądząc, że on nie żyje. Chciała się podzielić tą nowiną z Marcinem, gdy wtem z ust niedoszłego denata wydobyło się chrapliwe bulgotanie. Bezwładna dotąd ręka podniosła się żwawo do góry i zawirowała niczym gałąź na wietrze:

—Wszystkie pary tańczą — zawołał radośnie, budząc się z drzemki. Nabrał w płuca powietrza i wychrypiał ogniście: — Para za parą... I raz... i dwa... i raz... i dwa...

Majka pochyliła się i odnalazła przedmiot, rzucony przez jedną z kobiet pod ławkę. Był to portfel, a w nim zdjęcie mamy, Jurka, Marzenki i swoje, stare kolorowe zdjęcie, przygotowane specjalnie dla ojca, do Stanów. Pamięta, że poszła wtedy do fotografa razem z Kaśką, z którą siedziała w jednej ławce i która miała cierpliwość wysłuchiwać jej niekończących się opowieści o Ameryce. Mówiła jej: „Przyjedziesz do nas jak dorosnie. Wybierzemy się razem do Hollywood popatrzeć z bliska na sławnych ludzi”.

Kaśka zrobi wkrótce maturę, pójdzie na studia i zostanie dentystką, tak jak jej matka. Będzie zarabiać kupę forsy i jeździć na zagraniczne wycieczki. Być może pojedzie również do Ameryki. Dziwne, że dotąd się nie spotkały, minęło tyle lat, Majka jest już porządnie zmęczona życiem, podczas gdy Kaśka...

—Co się stało? — zatrwożony głos Marcina wyrwał ją z zamyślenia.

—Nosi przy sobie moje zdjęcie. Patrz!

—Oszalałaś? Ten facet?

—To mój ojczym.

—Co? — Marcin ostrym szarpnięciem chwycił go za kołnierz i ustawił w pozycji siedzącej. Nagła zmiana położenia nie przerwała ojczymowi urojonej zabawy.

—Nie chwiej się mała — pogroził Majce. — I uważaj na rytm — i raz... i dwa... i raz... Wszystkie pary...

—Przestań się wygłupiać! — strzeliła go po rękę. — Dałeś się obrobić dwom starym zdzirom. Obudź się! Idziemy do domu — potrząsnęła nim, usiłując postawić go na nogi.

— Leć po taksówkę! — zwróciła się szorstkim tonem do Marcina. — Musimy go odwieźć do domu.

—Nigdy! Niech tu leży, niech się przeziebi, niech go...

—Nie krzycz! — poprosiła już łagodniej. — Nie możemy go tu zostawić. Chodzi o mamę, ona się denerwuje.

—To go przekonało. Niespodziewanie szybko sprowadził taksówkę, ale gdy kierowca zobaczył, w jakim ojczym jest stanie nie chciał jechać.

—Zabrudzi mi taki gablotę i co? — spytał przytomnie.

—Weźmie pan kogoś do sprzątnia — uśmiechnęła się Majka i podała mu banknot pięćdziesięciotysięczny.

—Chyba, że tak — zgodził się szybko i pomógł wnieść do taksówki rozbawionego delikwenta, któremu przypomniła się błyskotliwa, aczkolwiek krótkotrwała kariera wodzireja na paru weselach, bo kiedy się budził z poalkoholowej drzemki z niebywałą energią i ożywieniem wykrzykiwał: „Panowie proszą panie... I biały walc... i panie do środeczka...”

—Uspokój się! — rozzłościła się Majka, nie żałując mu szturchańców. — Znudziła mi się ta zabawa. Cicho.

Odpowiedział jej rozradowanym rechetem, jego ręka wykonywała teraz skomplikowane akrobacje, gięła się w ukłonach, tańczyła rocka, albo dla odmiany posuwała się powłóczyście w rozległym tangu. Głos wodzireja pobudzał ją do szybszych skrętów i półobrotów. Majka, patrząc na karkołomne wyczyny niegdyś pięknej dłoni ojczyma, kiwała z politowaniem głową.

Przed domem wstąpił w niego duch przekory i buntu, nie chciał wysiąść z taksówki, kazał wieźć się na Pragę, do pani Maluli, bo tam się — wrzeszczał — tańczy do białego rana...

—Sprowadzę zaraz mamę, już ona wybije ci z głowy panią Malulę i te zdziry sprzed dworca. Wysiadaj! Ale już! Nikt się nie będzie z tobą cackał.

W słowach Majki była jakaś magiczna siła, która podziałała na niego jak zastrzyk. Z miejsca zapomniał o pani Maluli, przytrzymał się obydwoma rękami za siedzenie i sam bez niczyjej pomocy wysiadł z taksówki, na własnych nogach dotarł do drzwi, ruszył zwawo do góry, na schodach potknął się, stracił impet i niczym mokra ścierka zawisł na

poręczy. Majka, nie chcąc budzić sąsiadów, już nie krzyczała na niego, wzięła go za rękę i z pomocą Marcina niczym ciężki worek wciągnęła do mieszkania.

Mamo! — krzyknęła zapalając światło w przedpokoju. — Masz tu swoją zgubę, jest cała, zdrowa, ale... — przerwała. Uderzyła ją cisza panująca w domu... Mamo — powtórzyła. Tym razem też nikt nie odpowiedział. Znów razem z Marcinem wepchnęła ojczy-  
ma do pokoju, ułożyła go na wersalce, pobiegła do kuchni, sądząc, że mama przysnęła na krześle, ale i tu jej nie było. W zlewie piętrzyła się góra brudnych naczyń, na stole stały talerze i kubki z resztkami jedzenia. W pokoju dziecinnym Jarek z umazaną buzią spał na piętrówce w swetrze i spodniach, Marzenka na dolnej półce palcami ciemnymi od brudu przyciskała misia do piersi.

—Gdzie mama? obudziła ją Majka. ti

—W szpitalu.

—Rodzi?

Marzenka zamknęła oczy i osunęła się na poduszkę.

—Dziękuję — Majka uśmiechnęła się do Marcina — bez ciebie nife dałabym sobie rady. Jesteś dobry, najlepszy...i...

—Co i? — dopytywał się Marcin...

—Bardzo cię lubię — stwierdziła spuszczać oczy.

—Lubisz? — powtórzył zawiedziony. — Lubisz? — A ja głupi myślałem, że mnie kochasz?

—Bo tak jest, Kocham — odpowiedziała zdziwiona jego wybuchem.

—To dlaczego mówisz, że lubisz, tylko lubisz...

—Nie przywykłam używać słowa kochana.

—Przywykniesz. Od dziś będziesz je wymawiać codziennie. Powtarzaj za mną: Kocham cię, Kocham...

Majka powtarzała szeptem: Kocham cię, Kocham... — Jej głosik nieśmiały i drżący przypominał śpiew ptaka o świtanie.

—Idź już — popchnęła go ku drzwiom. — Zrobiło się późno.

—Nigdzie nie pójde, nie zostawię cię samej.

— Musisz się wyspać. Miałeś ciężki dzień. On nic mi nie zrobi, są przecież dzieci.

— Nigdzie nie pójde. Będę tu spał — oznajmił twardo. W jego oczach było tyle determinacji i uporu, że Majka przestała nalegać. Wydostała ze ściennej szafy dwa koce, jeden grubszy podała Marcinowi, sama owinęła się w drugi i ułożyła na brzeżku wąziutkiego tapczanu obok Marzenki.

Jakieś dziwne fale rozjaśniały jej mózg, podchodziły do serca, napełniając je nieznaną dotąd tkliwością. Wyciągnęła rękę do Marcina, chcąc się upewnić, że on tu jest, że czuwa nad jej bezpieczeństwem, ale słysząc jego równomierny oddech — zrezygnowała, sama też wkrótce zasnęła,

\* \*

\*

Zamglony świt zajął leniwie do niewielkiego M3. Wraz z nim wzmógł się uliczny hałas. Przegubowce, podobne do przedpotopowych owadów z chrzęstem skręcały na Ursynów, inne w paroksyzmach wzmożonej czkawki ruszały z przystanku, plując w otwarte okna doborową mieszanką ciężkich metali. Piętnastopiętrowy blok budził się nieśmiało, tu i ówdzie trzaskały otwierane drzwi. Szczęśliwi posiadacze czworonogów biegali ze smyczami wokół trawników, z klatek schodowych wysypywali się ludzie, spieszący do pracy, dzieci pędziły grupkami do szkół, dzwoniły tramwaje. W sklepie spożywczym nie malała ani na chwilę kolejka kobiet z butelkami po mleko. Ulica, podwórko i klatka schodowa falowały życiem od dobrych dwóch godzin, a Majka wciąż spała mocnym snem bez snów, jak sportowiec po wyczerpujących zawodach. I nagle zbudził ją groźny huk, dom zatrzęsł się, zawirował, coś grzmotnęło o ścianę. Niewiele myśląc przeskoczyła zwiniętego w kłębek Marcina i zajrzała do kuchni, w której ojczym, ubrany do wyjścia, usuwał ślady eksplozji. Rozdygotanymi palcami zbierał kawałki talerzy, szklanek i kubków, skaleczył się w rękę i brudził podłogę plamami krwi. Na widok Majki cofnął się zaskoczony, przetarł oczy zdrową ręką, zmarszczył czoło od nadmiernego wysiłku myślowego i dalej sądził, że widzi zjawę.

— Wszystkie pary tańczą, co? I raz... i dwa... Panie do środeczka... — kpiła wykonując ręką taneczne ruchy. — Nie pamiętasz jak trafiłeś do domu?

Dopiero jej głos przekonał go, że Majka nie jest tworem jego wyobraźni. Skinął głową witając się z nią w ten sposób. Spostrzegł broczącą krwią rękę, oplukał ją pod zlewem i obwiązał niezbyt czystą chusteczką do nosa, po czym chrząknął, zakasłał.

— Nie mam na chleb dla dzieciaków — wyznał ze wstydem unikając jej oczu. — Mogłabyś mi pożyczyć kilka tysięcy?

Majka wysupłała z kieszeni dwa banknoty i położyła na stole.

— Dziękuję — zgarnął pieniądze do kieszeni.

— Pójdę po mleko. Chyba nie zdążę odprowadzić Jarka do szkoły...

— Ja go odprowadzę. Mleko też przyniosę. Co jeszcze?

— Marzenka chodzi na drugą zmianę, sprawdź czy odrobiła lekcje...

— Dobrze. Idź już! — podeszła do zlewu i ostrożnie, żeby się nie skaleczyć, zaczęła zbierać skorupy.

Ojczym ze spuszczoną głową zaczął wycofywać się z kuchni, w drzwiach zderzył się z Marcinem, który wepchnął go z powrotem do kuchni i wymachując rękami piskliwym głosem wykrzykiwał:

— Jeżeli jeszcze raz pan będzie próbował... — zacukał się, zabrakło mu słów... — Jeżeli pan jej coś zrobi, zabiję pana. Słyszysz pan? Zabiję!

Ojczym nie odpowiedział żadnym gestem, nie zaśmiał się, nie kazał mu się wynosić, nic z tych rzeczy, zabrał kurtkę z wieszaka i wyszedł, nie spojrzawszy na niego, zlekceważył go swoim milczeniem. To zabolalo Marcina najbardziej.

— Czego on chciał od ciebie? — spytał pomagając Majce uprzątnąć kuchnię.

— Pożyczyć pieniędzy.

— Zwariował, słowo daję. I co ty na to?

— Nic. Pożyczyłam mu.

— No wiesz! — zaśmiał się ubawiony. — Ja mu tu grożę śmiercią, a ty pożyczasz mu forszę. A to dobre! Nie ma co, wprost fantastyczne — nie przestawał się śmiać.

\* \*

\*

Jestem w domu — mówiła do siebie, wracając z zakupami ze sklepu — dziwnie to brzmi, a jednak jest to mój dom, w którym brakuje wprawdzie dla mnie miejsca, ale gdzie indziej również go nie ma.

Najważniejsze, że Jarek z Marzenką potrzebują jej teraz, bo ich własny ojciec wcale się o nich nie troszczy. Mama o niczym nie wie. Ufa bezgranicznie swojemu mężowi, który podobnie, jak ojciec Majki wykorzystuje ją i okłamuje bezczelnie. Jej sprawa, niech dalej mu ufa, Majce nic do tego. Ona swoje złudzenia pogrzebała głęboko i gdyby teraz jej własny ojciec odezwał się i obiecywał złote góry też by mu nie uwierzyła. Dziewczyny z poprawczaka nie wierzą nikomu, a Majka jest jedną z nich. Nie da się nabrać na czułe słówka, spojrzenia, czy uśmiechy, będzie zimna, wyniosła i nieprzystępna, nawet w stosunku do Marcina, musi być taka, chociaż on jeden zasługuje na coś więcej niż zaufanie. Czy to jest miłość? Czy ona przejawia się w niepokoju, w nagłej oślepiającej radości, w dzikiej, niepohamowanej tęsknocie i w tym wariackim pragnieniu bycia z nim stale, bez względu na porę dnia? Nie ma go od kilku minut, a ona już umiera z tęsknoty, już chce go widzieć, już czeka i robi sobie wyrzuty, że pozwoliła mu odejść. Do wieczora zostało osiem godzin. Jak je przeżyje? Czas wlecze się w zwolnionym tempie jakby zegary wstrzymały oddech. Krótki jesienny dzień dopiero wykluwa się z mgły...

—Wstawać! Pobudka! — zawołała, wpadając do dzieciennego pokoju.

Jarek otworzył najpierw oczy koloru południowego morza, potem buzię i wsuwając palec do ust wykrzyknął głosem Kolumba:

—Znowu uciekłaś?

Majka zaprzeczyła.

Skrzywił się jakby połknął surową rybę i zawiedziony odwrócił się do ściany.

—Kłamiesz! — wybuchnął niespodziewanie, w jednej chwili jego siostra z tajemniczej bohaterki, wystawiającej do wiatru całe szwadrony policji zamieniła się w zwykłą dziewczynę z bloku, była taka jak wszyscy, odarta z blasku, pozbawiona znamion wielkości, niczym się nie wyróżniała i pędraki z podwórka nie będą mu jej więcej zazdrościć. — Kłamiesz! — powtórzył głośnie. Wierzył bowiem w czarodziejską moc słów. — Dzielnicowy cię szuka, był u nas dwa razy, po co by przychodził gdybyś nie uciekła, po co?... — był bliski płaczu.

—Przestań! — skarciła go ostro. Wzmianka o dzielnicowym spłoszyła ją i zmartwiła. Czyżby któryś z tych starych patafianów poleciał ze skargą na policję? Niewykluczone,



że tak zrobił. Niech lata! Nic jej nie udowodnią, nie mają świadków. Trzeba pójść do Iwony, zniszczyć krawaty, uprzedzić żeby miała się na baczności, licho nie śpi.

Jarek wyrwał się i uciekł z łazienki. Nie miał zamiaru podporządkować się komuś, kto przestał być ważny, postąpił chwilę przed oknem i wrócił, lubił swoją siostrę, która na szczęście nie była już dzieckiem, a także, również na szczęście, nie stała się jeszcze kimś obcym, nieprzystępnym i mało pojętnym jak tatuś czy pani w szkole. Jeszcze mógł z nią gadać o wszystkim, zwierzać się z najskrytszych tajemnic, wrócił więc z pewnym zakłopotaniem i wyznał, że wczoraj, korzystając z nieobecności ojca grał w piłkę do późnego wieczora, tak się zmachał, że zasnął przed telewizorem. Marzenka wpakowała go do łóżka w czym był.

—A kto cię tak wystroił? — spytała ściągając z niego skarpetki nie od pary i sweter włożony na lewą stronę.

—Tatuś — pociągnął nosem Jarek. — Był pijany... Jak mamy nie ma to on tak ciągle... A wiesz — ożywił się, wskakując do wanny — mamę zabrało pogotowie. Karetka jechała na sygnale, wszystkie chłopaki wybiegły na podwórko, żeby zobaczyć, a teraz mówią, że ja nawijam, że to nie była nasza mama, mówiłem tatusiowi, żeby im powiedział co i jak, ale on ciągle... — znowu pociągnął nosem.

—Nie przejmuj się! Wszyscy mężczyźni piją — próbowała uspokoić go Majka.

Nieprawda! — zaperzył się chlapiąc z wściekłością wodą — pan Lipiński nie pije.

—Kto to jest pan Lipiński? )

Sprowadził się niedawno po tych, co wyjechali do Ameryki...

—A chciałbyś mieć takiego tatusia jak pan Lipiński?

—Pewnie — wyznał ze smutkiem — on ma kolorowy telewizor i nowiuśkiego wartyburga.

—Daj spokój! — ofuknęła go. — Rodziców się nie wybiera.

—Dlaczego? — ustawił się na nią ostrym błękitem niewinnych oczu, w których pojawiły się łzy. Majka udawała, że ich nie widzi, zawięła go w ręcznik i przytuliła do piersi.

Marzenka również wstała i myszkowała po kuchni, szukając czegoś do jedzenia.

— Teraz twoja kolej — zwróciła się do niej Majka — wykąpiesz się, a potem zjemy królewskie śniadanie. Wepchnęła Jarka do pokoju i zapatrzyła się w okno. Zniknęła bez śladu poranna mgła. Niebo pozbyło się uciążliwego plastra z chmur i błysnęło błękitem, zalewając światłem ulice. Słońce zapaliło tysiące świateł na starym dębie, który jako jedyny z rosnących tu licznie drzew ostał się pod toporem budowlanych i czuł się źle w kamiennej obręczy bliźniaczych wysokościorców.

Marcin po powrocie do domu nie zmrużył nawet oka. Nie mógł czytać, nie zjadł śniadania, nie poszedł do pracy, nie był w stanie rozmawiać z panią sekretarką. Mycie okien i reperacja sprzętu nie wchodziły również w rachubę, chciał patrzeć na Majkę, rozmawiać z nią, milczeć przy niej, czytać wiersze, zbierać żółto-brązowe liście i robić z nich zakładki do książek, albo pójść do antykwariatu, zanurzyć się w świat pożółkłych ksiąg, czytać je, wachać i gładzić. Stare księgi są jak roczniki win, sam ich wygląd przysparza o zawrót głowy. Wszystko to chciał robić z nią, przy niej, w jej obecności, za jej przyzwoleniem i aprobatą.

A jednak, nie ma róży bez kolców ani dymu bez ognia, na jego uniesienia i wzloty też kładł się cień. Jak wielu zakochanych szukał dziury w całym i drugiego dna, wiedział, że jest kochany, miał na to dowody, nie w słowach, do których odnosił się nieufnie, sam bowiem ich nadużywał, ale w czynach, dręczyła go niepewność: czy jego uczucie, bądź co bądź prawdziwe i wielkie, wywołuje właściwy rezonans z jej strony. Zastanawiał się, czy serce Majki ma tę samą pojemność co jego. Był maksymalistą i nie zadowalały go namiastki czy substytuty. Oczekiwał uczuć szalonych i wielkich, a jednocześnie obawiał się klęski. Nie mogąc spać pisał wiersze, dręczony z kolei poczuciem winy. Robił sobie wyrzuty, że zostawił ją w klatce lwa. Ojczym Majki wprawdzie nie wyglądał groźnie, w innych okolicznościach Marcin uznałby go za sympatycznego faceta, o miłej powierzchowności, chociaż to też nic nie znaczy, niczego nie wyjaśnia, teorie pana Lombroso nie przystają do naszych czasów. Ludzie o miłej powierzchowności również popełniają morderstwa. Pisał dygocąc jak w febrze, z trudem kreślił litery, chwilami nie był w stanie nadać im odpowiedniego kształtu, litery stawiały opór jakby były z kamienia, długopis wyskakiwał z ręki, podczas gdy słowa z huraganową wprost siłą napierały na mózg.

*Jesienna sonata skacze po linie,*

*Przegląda się w kroplach deszczu*

*W purpurowym wieńcu na skroniach*

*Szuka ciebie wśród mgły*

*Oplata przedzą ciche drzewa*

*Zastawia niewidoczne sieci, więzi pająka  
I małą muszkę, co nie chce już więcej latać  
A ciebie jednej nie potrafi odnaleźć,  
choć przesłaniasz sobą najwyższe drzewa i gwiazdy  
A ja umieram ze strachu i krzyczę z przerażenia,  
Bo zostawiłem cię w klatce lwa.*

\* \*

\*

Majka skończyła pranie. Dzieciaki wyszorowane, w czystych ubrankach gapiły się w telewizor. Ojczyrna nie było, a więc przesadzał z tą klatką lwa, pomógł jej zanieść bieliźną na strych, potem razem wsiedli do autobusu. Ścisnął jej kruchą, niewielką dłoń, szorstką od proszku do prania, prosił, żeby używała kremu do rąk, jutro — powiedział — pomoże jej umyć okna, wyczyścić podłogi, nie wstydzi się żadnej pracy, dla niej może zamiatać ulice, niańczyć dzieci, których tak naprawdę nie znosi.

Majka nie czuła zmęczenia, cieszyła się, że on przyjechał i był. Przy nim opuszczała ją senność, ból w nogach i wszystkie troski odchodziły w niebyt.

Pożegnała się z nim na Karowej i pełna złych przeczuców wkroczyła na szpitalny korytarz, przystanąła przed szklaną ścianą, zagradzającą przejście, nieśmiało dotknęła klamki. Drzwi, zamknięte na klucz, nawet nie drgnęły, rozejrzała się wylękniona za siebie, ale nikogo nie zauważyła, spostrzegła natomiast napis: „Wstęp wzbroniony”. Kiedy chciała nacisnąć dzwonek, przezornie umieszczony przy drzwiach, za szybą ukazała się pielęgniarka i z uprzejmym uśmiechem, co Majkę zbiło nie co z tropu, zapytała kogo prosić. Zanotowała nazwisko i zniknęła tak samo nagle jak się pojawiła. Majka dopiero teraz zaczęła się denerwować, wytarła spocone ręce i sięgnęła po papierosa, w porę uświadomiła sobie, że palić nie wolno. Podeszła do okna otulonego kratami i wzdrygnęła się mimo woli. Uznała to za zły znak. Co za głupoty — mruknęła i odwróciła głowę.

Za szklaną ścianą stała matka w przepaścistym szarym szlafroku i uśmiechała się trwożliwie. Majka rzuciła się do niej z radosnym okrzykiem, jej ręce wyciągnięte w powitalnym geście zawisły na szybie.

—Mamo! Mamo! — krzyknęła — słyszysz mnie? — Matka skinęła głową. — Jak się czujesz? Możesz już chodzić? Nic cię nie boli? Mamo! Dlaczego jesteś taka blada? Stra-

ciłaś dużo krwi? Przyniosłam ci pomarańcze, cytryny, czekoladę i polędwicę. Musisz dużo jeść, żeby nabrać sił... — drżącymi palcami pokazała wypchaną siatkę, lecz nie wiedziała jak ją podać. Od matki oddzielała ją gładka szyba, drzwi pozostawały nadal zamknięte. — Mamo! Możesz otworzyć? Mamo!

Matka poruszyła klamką z drugiej strony i pokazała, że nic nie da się zrobić.

—Gdzie ty mieszkasz? — spytała matka, jej głos tłumiony przez grubą szybę brzmiał dziwnie tępo i głucho, jakby pochodził z innego świata. — Nie wiesz, co w domu?

—W porządku — krzyknęła głośno Majka. — Posprzątałam, zrobiłam pranie...

—Naprawdę? Byłaś w domu? — twarz matki nabrała żywszej barwy, oczy oszroniła radość. — Dziękuję, dziękuję. A co Edward, czy on nie popija? — matka spuściła oczy, wstydziła się mówić o tym nawet z córką.

Majka zaprzeczyła ruchem głowy i pokryła zmieszanie szerokim uśmiechem, bała się, że matka wyczyta z jej oczu prawdę, ale ona zajęta swoimi myślami niczego nie spostrzegła.

—Zaczekaj! — rzuciła z wiele obiecującym spojrzeniem i zniknęła jak obraz, zdmuchnięty z ekranu kaprysem operatora. Na jej miejscu za szybą wyrósł sztywny czepiek pielęgniarki i z uchylonych drzwi wysunęła się ręka po torbę.

—To dla mamy i jeszcze list. Niech pani nie zapomni go oddać. To bardzo ważne. — Majka wydołała zaklejoną kopertę.

Pielęgniarka uśmiechnęła się obojętnie i brzęknęła drzwiami. Miażdżący zgrzyt klucza przyprawił znowu Majkę o drżenie. Tamte głosy odzywały w najmniej oczekiwanych chwilach.

Drzwi jeszcze drżały, zamknięte mocnym szarpnięciem, gdy w szybie ukazała się matka z małym czerwonym niemowlakiem. Trzymała go przed sobą w wyciągniętych rękach, promieniejąc szczęściem i dumą.

—No jak? Ładny? — spytała przyciskając becik do szyby.

—Śliczny, prześliczny, mamo — z prawdziwą przyjemnością wypowiadała to słowo — „mamo”. — Powtarzała, patrząc na kaprawego malucha, który był chyba najbrzydszym dzieckiem na świecie. Walczyła ze łzami, wpychającymi się siłą do oczu. Powstrzymywała je z trudem, rozciągając usta w uśmiechu i starając się o przyjemny wyraz twarzy.

—Widzisz, jaki duży, waży cztery kilogramy, ma 58 cm wzrostu i wcale nie płacze — nie przestawała się zachwycać mama.

—Dobrze, że to chłopak — stwierdziła z udanym entuzjazmem Majka, już się uporała ze łzami, ale jeszcze nie potrafiła się cieszyć, miała wątpliwości czy w ogóle potrafi — na tym parszywym świecie mężczyznom żyje się łatwiej. Jak ma na imię? !>

—Hubert. Ładnie, prawda?

—Hubert — patron myśliwych. Dlaczego?

—Oryginalnie, nie?

—Tak, tak...

—Pracujesz? — na ustach matki zawisł znowu trwożliwy uśmiech, w oczach błysnął tajony niepokój.

—Tak. Napisałam ci wszystko. List jest u siostry.

—Co?

—Na-pi-sa-łam. List u siostry. Kiedy stąd wyjdiesz?

Za szybą pokazała się biała postać i kazała kończyć rozmowę. Matka podniosła raz jeszcze dziecko do góry i przesłała Majce pocałunek przez szkło...

—Kocham cię, mamó — szepnęła Majka, przywierając do gładkiej zimnej powierzchni.

Matka odeszła, machając wolną ręką, drugą przyciskała niemowlaka do piersi. Nie wiadomo, czy usłyszała wyznanie córki. — Kocham cię, mamó — powtórzyła cicho. Dziwne ciepło spłynęło na nią od tych słów, uśmiechnęła się i wytarła wstrzymywane tak długo łzy.

Kiedy wyszła na ulicę zimny deszcz uderzył ją w twarz. Wiatr gwizdząc zajadle kręcił się wokół drzew w jakimś upiornym tańcu i obdzierał je z liści. Ludzie przebiegali chyłkiem wzdłuż domów, chroniąc się pod skrzydła parasoli, tylko Marcin stał z odsłoniętą głową i nie przejmował się barbarzyńskimi wyczynami wiatru.

—Wariat! — krzyknęła przerażona Majka. Podbiegła do niego z rozpostartym parasolem, otuliła go swoim szalikiem, chusteczkami z ligniny wycierała mu twarz. — Co ty wyprawiasz! Dlaczego nie pojechałeś do domu?

—Nie gniewaj się, musiałem cię zobaczyć.

—Mogłeś się gdzieś schować, wejść do holu...

—Lubię deszcz, wiatr, zamiecie śnieżne, huragany. Lubię patrzeć jak przyroda się miota, jak się nie poddaje losowi...

—Przeziębisz się, pokaż czoło? — dotknęła go dłonią — rozpalone, masz gorączkę...

—Nic mi nie jest. Daj rękę! — przyłożył ją do serca. — Słyszysz jak bije? Dla ciebie tak bije, gdy mnie zostawiasz zamiera, przestaje po prostu bić...

—Z tobą naprawdę jest źle. Chodźmy już, ty drzysz, miałam rację. Przeziębilesz się, weź moją kurtkę!

—No wiesz —oburzył się Marcin — za kogo ty mnie bierzesz, to ja cię mam osłaniać, bronić, troszczyć się o ciebie...

—Dobrze, dobrze — pociągnęła go do autobusu.

W domu jej obawy znalazły potwierdzenie w faktach. Termometr, który mu wsunęła pod pachę za każdym razem pokazywał bezlitośnie — trzydzieści osiem i pięć. Podniecenie Marcina, które przejawiało się w nadmiernej ruchliwości wskazywało również na chorobę. Majka, mimo jego protestów, sprowadziła taksówkę i odwiozła go do domu. Nie chciała wejść z nim do środka. Wstydziła się jego rodziców, którzy, jak wnioskowała z opowiadań Marcina, należeli do ludzi innego pokroju niż jej matka, przywiązywali dużą wagę do wykształcenia swoich dzieci, dbali o tak zwane dobre wychowanie i o manierę. Majka natomiast z domu nie wyniosła wiele, jej matka pochodziła z prymitywnej rodziny, sama nie nabrała większej ogłady, a przy nowym mężu zupełnie skapcała, o wielu rzeczach pojęcia nie miała, nie mogła więc nauczyć ich dzieci. Majka zdawała sobie z tego sprawę i robiła co mogła, żeby podciągnąć się w zwyż, brakowało jej jednak wzorów i dobrych przykładów. Dopiero Marcin uświadomił jej, że mieszkając w Warszawie nie korzysta wcale z dobrodziejstw wielkiego miasta, nie była nigdy w teatrze czy w operze, nie chodziła na koncerty i na wystawy, jedyną rozrywką uznawaną w jej świecie było kino. Toteż broniła się przed demaskacją, wiedziała, że niektóre matki mają jakiś dar jasnowidzenia i przenikania wzrokiem murów, widzą po prostu rzeczy ukryte przed

„szkiełkiem i okiem”. Dlatego, przynajmniej na razie, postanowiła trzymać się z daleka od matki Marcina.

\* \*

\*

W domu dzieci już niepokoiły się o nią. Jarek ciągle nie mógł zapomnieć o wizycie dzielnicowego i był przekonany, że Majka wciąż się ukrywa. W gadanie o zwolnieniu nie wierzył. Zdziwił się tylko, że sensacyjną wiadomość o przymknięciu Gąsiora i Staśkowskiego jego siostra skwitowała wzruszeniem ramion, a potem stała w otwartym oknie i w całej okazałości pokazywała się szczeniakom z podwórka, wśród których roilo się wprost od kapusiów. I jakby tego jeszcze było mało machała ręką do chłopaków z bloku, odpowiadając na ich pozdrowienia i w ogóle zachowywała się tak, jakby nikt jej nie ścigał, chwilami była tak samo nieznośna jak wszyscy dorośli. Kazała myć ręce przed jedzeniem, bez żadnej potrzeby pakowała go do wanny i szorowała, naprawdę miała bzika na punkcie higieny, a jednak ryglowała drzwi na wszystkie zasuwę, po dobranocce pędziła ich do łóżek, sama zaś kładła się u nich w pokoju na podłodze i zamykała od środka drzwi jakimś dziwnym kluczem, który wsuwała pod poduszkę. Bała się glin, to jasne, tylko dlaczego wystawała w tym cholernym oknie, wychodziła do sklepu, jeździła do szpitala zamiast siedzieć w domu cicho jak mysz. Wszystkie te pytania nie dawały mu spokoju i Jarek niezbyt uważnie oglądał dobranockę w towarzystwie Marzenki. Majka zaś jak gdyby nigdy nic jeździła na suknach po pokoju i czyściła podłogę. Jarek drgnął, słysząc dzwonek do drzwi. Majka zamarła w pozycji akrobatki, szykującej się do szpagatu. Dzwonek zadźwięczał znowu, tym razem bardziej złowieszczo i groźnie. Jarek rzucił się do przedpokoju, ale Majka go wyprzedziła, uwolniła drzwi z przytrzymujących je zamków i pociągnęła za klamkę. Z mrocznego korytarza wynurzył się ojciec. Objął zdziwionym spojrzeniem błyszczącą podłogę i próbował uśmiechnąć się do Majki. Jarek zrobił nieprzyjemny grymas i pomknął czym prędzej do telewizora. Majka odwróciła się i przeszła do dzieci.

—W piątek mama wraca do domu — obwieścił ojczym, wsuwając się z niepewną miną do pokoju. Dzieci nie oderwały oczu od telewizora i nie odezwały się.

—Pojedziesz po nią? — spytała Majka.

—To chyba jasne — odparł urażony.

—Nie bardzo — uśmiechnęła się drwiąco, patrząc w telewizor.

—Znam swoje obowiązki — oświadczył z godnością, grzebiąc w kieszeniach, wydobyl dwa pomięte batoniki i wręczył je Marzence i Jarkowi. Dziewczynka rzuciła się łapczywie na czekoladę, natomiast Jarek trzymał długo batonik w dwóch palcach jakby się bał nim pobrudzić, w końcu odwinął go z papierka.

Ojczym włożył kapcie, rozsiadł się wygodnie w fotelu, zapalił papierosa, po czym jakby coś sobie przypomniał, wygrzebał z kieszeni trzeci batonik i położył go na stole. Majka udawała, że tego nie widzi. Po „dobranocce” wyprowadziła z pokoju dzieci, które wychodząc spoglądały z lękiem na ojca.

Trzeciego dnia, z rana wybrała się wreszcie do Iwony po rzeczy. Długo stała pod drzwiami, dzwoniła, a Iwona zwlekała z otwarciem. Wreszcie podeszła do drzwi i wystraszonym głosem zapytała:

—Kto?

—To ja, Majka. Jesteś sama?

—Och! —jęknęła po tamtej stronie Iwona. — Wchodź! — Wpuściła ją do ciemnego przedpokoju i długo trzymała w pulchnych ramionach pachnących ciepłem i snem.

Przepraszam, że tak wcześnie — tłumaczyła się Majka. — Bałam się, że cię nie zastanę.

—Głupstwo! Napijesz się wina?

—Chętnie, ale odsłoń okno. Nic nie widzę.

—Zaraz, siadaj! — podsunęła jej krzesło, podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. — No, mam nadzieję, że nikt nam nie przeszkodzi. Opowiadaj! Co się z tobą dzieje? Zniknęłaś tak nagle. Gdzie ty mieszkasz? Dlaczego nie przychodzisz do „Stylowej”?

Tolo ci nic nie mówił?

—Nie.

—Widzisz, mama jest w szpitalu, więc ja zajmuję się dziećmi, właśnie odprowadziłam je do szkoły.

—Co jej jest? — zaniepokoiła się Iwona.

—Już nic! Wraca do domu...



—No to wypijemy jej zdrowie — Iwona nalała do szklanek wina, stuknęły się. — Znalazłaś pracę?

—Jeszcze nie... Może Beatka coś znajdzie...

Była tu wczoraj, strasznie zmartwiona. Teraz pewnie lata pa mieście i szuka cię.

Majka machnęła z lekceważeniem ręką i wypłało wino do dna.

—Potrzebujesz forsy? — zapytała z troską Iwona.

—Owszem — uśmiechnęła się Majka.

—Ile?

—Skromnie licząc kilkanaście milionów.

—A więc tyle samo co ja—odpowiedziała Iwona. Majka roześmiała się. Podeszła do okna i odsunęła zasłonę, śmiech zamarł raptownie na jej wargach, dostrzegła dwa niewielkie siniaki na twarzy przyjaciółki. s

—Kto cię tak urządził? Któryś z tych palantów? Iwona potrząsnęła głową.

— Więc kto?

Zamiast odpowiedzi Majka usłyszała ciężkie westchnienie.

—Tolo? — domyśliła się.

—Och! Głupstwo! Nie ma o czym mówić — usiłowała zbagatelizować sprawę.

—Nie ma o czym? — wykrzyknęła z gniewem Majka. — Co ty opowiadasz! Właśnie jest o czym! Jak on śmiało podnieść na ciebie rękę, taki gnój, takie nic?

—Więcej się nie ośmieli — orzekła twardo Iwona — daję ci słowo. Dolać? — spytała i nie czekając na odpowiedź napełniła szklanki.

—Skończyłaś z nim? — ucieszyła się Majka.

Iwona skinęła głową i upiła kilka łyków wina.

—Boję się, że on mnie zakapuże — wyznała ze wstydem.

—Nie sądzę — orzekła bez przekonania Majka. — Jesteś mu potrzebna. Tak jak on tobie.

— On jest wolny — stwierdziła z zazdrością Iwona. — Nikt mu nic nie może zrobić, a w moim przypadku wystarczy jeden telefon.

— Nie zrobi tego, jestem pewna.

— Zrobi — w oczach Iwony pojawiły się łzy.

— W takim razie pakuj manatki — zdecydowała nagle Majka. — Dzisiaj prześpisz się u mnie w kuchni, a jutro coś się wymyśli.

— Spróbuję jeszcze z nim pogadać — zawahała się Iwona. — Może się mylę. W gruncie rzeczy on nie jest zły.

— Zwariowałaś! — oburzyła się Majka. — O czym ty chcesz z nim rozmawiać? To ci nie wystarczy — wskazała siniaki. — Nie chcę nawet wiedzieć dlaczego to zrobił.

— Zabiera mi całą forszę. Rozumiesz? Co do grosza! A kiedy chciałam coś zatrzymać dla siebie to się wściekł. Patrz! — wygrzebała z solniczki dwudziestodolarówkę oraz kilka banknotów po pięćdziesiąt tysięcy.

— Nie połapał się, gdzie to trzymasz?

— Powiedziałam, że wydałam na ciuchy i tak zrobię. Jeżeli mnie nie zakapuje przepuszczę wszystko w jakimś butiku.

— Lepiej zrób to od razu, jutro może być za późno. Nie mam za grosz zaufania do twojego Tola, jest taki gładki aż śliski. Przepraszam, nie powinnam tego mówić, pomógł mi, ale miał w tym swój interes, brał pięćdziesiąt procent za „ochronę”, to trochę za dużo. Ciebie, jak powiadasz, ograbiał ze wszystkiego. Szczwany lis! Coś mi się zdaje, że kilka takich idiotek jak my tyra na niego. Kiedyś widziałam go z Arabami, żartował niby, że mogłabym się obłowić, tylko że z nimi trzeba by było iść na całość, mówił ci o tym?

— Nie, nie jest tak jak myślisz. Handluje walutą i odkłada do banku. Musimy zdobyć to mieszkanie, nie będziemy się tulać po wynajętych pokojach.

— Nic z tego nie będzie, wykiwa cię i rzuci, nie mam zaufania do takich facetów jak on, w ogóle nie ufam mężczyznom. Ubieraj się! Idziemy. Nie ma na co czekać!

— Nie, ja zostaję — oznajmiła płaczącym głosem Iwona.

Muszę się z nim rozmówić, zrozum! — Łzy zalały jej oczy, nie mogła mówić.

— Zwariowałaś od tej miłości — wybuchnęła Majka.

—A ty nie? — spytała, rozmazując palcami łyżę.

—Nie. Ja jestem nieprzemakalna — ucięła Majka. — Zabieram swoje rzeczy i znikam. Nie chciałabym natknąć się na niego.

Pozbierała swoje rzeczy, wcisnęła je do torby, ucałowała Iwonę.

—Wpadnę tu jutro koło południa. Może do tego czasu zmądrzejesz. No, trzymaj się! — popatrzyła na nią ze smutkiem, czując, że żegna się z nią na długo. Pragnęła być bardziej serdeczna i nie umiała. Złościło ją niezdecydowanie Iwony i ta idiotyczna miłość, która ciągnęła ją w przepaść. Uważała, że człowiek powinien panować nad emocjami, kontrolować je, a w razie potrzeby skrywać i tłumić, nie ulegać im biernie, wszak jest istotą rozumną, obdarzoną wolną wolą i wyższą świadomością. Zamknęła z hukiem drzwi i wybiegła na schody, za nic w świecie nie chciała spotkać się z Tolem.

Majka! Zaczekaj! — usłyszała wibrujący rozpaczą głos Beatki i nim zdołała ustalić skąd pochodzi, ona sama spadła z góry niczym ptak, objęła ją i całowała, szepcząc: „Kocham cię. Nie mogę bez ciebie żyć, weźmiemy taksówkę i pojedziemy do mnie”.

—Uważaj! — syknęła opryskliwie Majka, starając się wyzwolić z jej ramion. Peszyły ją namiętne pocałunki Beatki. — Ktoś idzie!

—Już się go boisz! — spytała bliska omdlenia i oparła się o ścianę. Majce udało się wyswobodzić z jej ramion.

—Kogo? — roześmiała się beztrosko. — Kogo u licha miałabym się bać?

—Nie udawaj! Wiem wszystko. Zdradziłaś mnie. Okłamałaś! —wychrypiała Beatka z histerycznym łkaniem.

Majka popatrzyła na nią z niesmakiem i pokiwała głową, a ponieważ nie miała jej nic do powiedzenia, zaczęła schodzić bez pośpiechu w dół. Minęła jakąś staruszkę wspinającą się do góry z ciężką torbą. Chciała jej pomóc, wiedziała, że powinna, staruszka ciągnęła za sobą chorą nogę niczym wór kamieni, coś jednak było w jej oczach, co powstrzymało Majkę, jakaś duma, wyniosłość czy pogarda, bała się odmowy, wiedziała, że ludzie starzy są niezwykle drażliwi i łatwo wpadają w gniew, tymczasem ku jej zdumieniu kobieta z chorą nogą zatrzymała się przed Beatką i zastukała laską.

— Skrzywdził cię jakiś łobuz? Co? — spytała szorstkim głosem, aczkolwiek nie pozbawionym współczucia. — Wszyscy są tacy sami. Pamiętaj o tym! I przestań beczeć! Nie warto psuć sobie oczu z powodu jakiegoś typa, który rzadko używa mydła i chodzi w brudnych, wytartych spodniach. Zauważyłaś pewnie, że polscy mężczyźni z dziwną bez-

troską traktują tę część garderoby? Oszczędzają w ten sposób na wódkę... No, widzisz, jaka jesteś ładna, kiedy się uśmiechasz? Uszy do góry! Powtarzaj to sobie! Uszy do góry, a będzie ci lżej. Masz, zanieś mi torbę na czwarte, sama nie dam rady. Po drodze powiem ci jak z nimi postępować, będą za tobą szaleć. Zobaczysz! Po pierwsze: traktuj ich z góry, jakbyś była królewną czy księżniczką, strasznie to lubią. Mają służalczość we krwi. Zauważyłaś? Prawda? Lubią jak się nimi pomiata. Każ więc sobie usługiwać, podawać. Nigdy nie noś ciężarów. Jesteś słaba, lękliwa, niezaradna, nic nie potrafisz, wymagasz opieki... Miewaj kaprysy, grymas i nie pokazuj, że ci na kimś zależy. Oni nie cenią dobroci czy szlachetności. Bądź więc jędrą, ale mądrą jędrą, taką co potrafi być słodka jak miód... I jeszcze jedno — nie pozwalaj, żeby przy tobie zachowywali się jak kumple, kłeli, opowiadali pieprzne dowcipy, mężczyźni cenią w kobiecie subtelność, kulturę, nie chcą, żeby była taka jak oni, nie chcą, żeby paliła, piła... i... — ostatnich słów Majka nie usłyszała, zagłuszył je szcęk klucza i skrzypienie drzwi.

Kazanie staruszki odniosło pożądany skutek, łzy przestały spływać z oczu Beatki, uwagi o mężczyznach, czynione przez starszą panią, działały jak balsam. Beatka nienawidziła brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, a raczej sądziła, że jej nienawidzi, jednak bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że się jej bała. Mężczyźni kojarzyli się jej ze straszną niszczącą siłą, której należy schodzić z drogi. Pierwsze miejsce w ich gronie zajmował jej ojciec, który we wspomnieniach urósł do baśniowego potwora, znęcał się nad matką, groził, że ją zabije. Matce udało się uciec, a Beatka została. Rano wepchnął ją do taksówki i powiózł w nieznaną... W pociągu tak strasznie się bała, że pragnęła zamienić się w drobinę kurzu, niewidoczną dla oka. Drżącymi wargami wypowiadała zaklęcia zapamiętane z bajek, ale one nie skutkowały. Ojciec z groźnym czarnym wąsem siedział obok niej i karmił ją czekoladą, oczy mu błyszczały gdy mówił: Kochasz tatusia, prawda? Nikogo nie kochasz tylko mnie. Zapamiętaj! Gdyby cię ktoś pytał, odpowiadaj: kocham tatusia, tatuś jest dobry, kupuje mi cukierki, chodzi ze mną do kina, kupił mi lalkę. Patrz! — wyjął z teczki ogromną różową lalkę, której Beatka nie mogła utrzymać w drobniutkich rączkach, położyła ją na kolanach, lala przewracała oczami, a po naciśnięciu guzika chrypiała minoderyjnym głosikiem jakiejś idiotki: lubię chodzić z tatusiem na spacer, mój tatuś zabiera mnie często na lody, nie lubię, gdy mój tatuś wyjeżdża z domu, najlepiej się czuję w towarzystwie tatusia.

Półżywa ze strachu wciskała się w twarde siedzenie i zapadła w sen. Myślała, że jak się obudzi, to ta lalka, porwanie, szalona jazda taksówką, pociąg i ojciec z czarnym groźnym wąsem ulecą w nicość i nie staną się nawet wspomnieniem, ale gdy otworzyła oczy z przykrością stwierdziła, że nic się nie zmieniło. Ojciec kroił jabłko, wkładał ogromne kawałki do ust i miażdżył je mocnymi zębami, różowa lala kołysała się miarowo w takt

pociągu, lecz nie mówiła. Za to w Łodzi, w jakimś obcym ciasnym mieszkaniu po całych dniach gadała lepkiem głosem sepleniącej panienki, że czeka na tatusia, tęskni za nim i kocha go ze wszystkich sił.

A po jakimś czasie przybrała postać siwej starszej pani, ubranej w biały lekarski kitel. Ta pani posadziła Beatkę przy niskim stoliku i powiedziała:

— Będziemy się bawić w taką grę. Ja powiem pierwszą część zdania, a ty drugą, dokończysz je, dobrze? Uważaj! Lubię chodzić na spacer z... zaczęła słowami różowej lali.

— Tatusiem — dokończyła z dumą Beatka.

— Nie lubię, gdy...

— Mój tatuś wyjeżdża z domu.

— Najlepiej się czuję w towarzystwie...

— Tatusia — wypaliła bez namysłu Beatka. i

Siwa pani zdjęła okulary i popatrzyła na nią zdumiona.

— Bawiłaś się z kimś w tę grę? — spytała.

Beatka zaprzeczyła.

— Nie wspomniałaś ani razu o mamie, dlaczego?

Dziewczynka spojrzała z lękiem na drzwi i nie odpowiedziała.

— Nie masz mamusi?

Beatka wzruszyła ramionami.

— Nie wiem.

— Chcesz być z tatusiem? — spytała siwa pani.

— Ja kocham mojego tatusia — odpowiedziała suchym głosem i znowu zerknęła na drzwi.

Starsza pani wstała, otworzyła drzwi na korytarz.

— Widzisz, tatusia nie ma — powiedziała z ciepłym uśmiechem — nie musisz się bać, nikt ci nie zrobi nic złego...

—Chcę do tatusia — oświadczyła ponuro Beatka, wpatrując się z uporem we własne paznokcie.

—Pójdiesz! Zaraz cię do niego zaprowadzę — siwa pani wstała, zgarnęła jakieś papiery do tekturowej teczki.

Wtedy Beatka zrozumiała, że nadeszła jej chwila, teraz lub nigdy pomyślała — doskoczyła do siwej pani, uczepliła się jej kolan i rozzierającym głosem krzyknęła:

—Ja chcę do mamy, ja chcę do mamy — rozplakała się i płacząc powtarzała: ja chcę do mamy, ja chcę do mamy...

Co było potem, pamięta jak przez mgłę, wie, że nie trafiła do mamy, przynajmniej nie od razu. Po straszliwej awanturze w poradni milicja zabrała tatusia, a ją siwa pani odwiozła taksówką do domu dziecka, była tam miesiąc czy dwa, nie pamięta, to stare dzieje. Po sprawie w sądzie, podczas której wyszła na jaw sztuczka z lalką, wróciła do mamy, ale już nigdy nie czuła się szczęśliwa. Mama była młodą, atrakcyjną kobietą i uwielbiała mężczyzn, toteż w domu wprost roiło się od nich, jedni odchodzili, drudzy wracali i tak w kółko. Niektórzy prowadzili z nią jakieś podejrzanе interesy, stale czymś handlowali, inni po prostu ciągnęli z niej forszę, natomiast wszyscy, ci od miłości i ci od handlu pili na umór, po wódce tracili rozum i skakali sobie do oczu, wyciągali noże, tłukli naczynia, przewracali meble. Trzeba było wzywać milicję. Robiła to najczęściej Beatka, pędziła w szoku do sąsiadów i prosiła, żeby dzwonili na komisariat. Dopiero, gdy podrosła, zbuntowała się, nie wzywała już milicji, wychodziła po prostu z domu i nocowała na klatce schodowej albo w piwnicy, w dzień wałęsała się po mieście, zaglądała do sklepów...

Teraz jest znacznie lepiej, matka uspokoiła się jakby, związek z Kubą wymaga wzmożonej aktywności z jej strony, oboje z zapałem handlują, jeżdżą za granicę, a potem rozwożą towar po Polsce. Beatka nie musi nigdzie uciekać, zamyka się w swoim pokoju i czuje się niezależna. Najgorsze są jednak wieczory, gdy nie ma mamy i Kuby, chwytą ją taka nostalgia, że nie może usiedzieć w domu, zamyka babcię i jedzie do „Stylowej”, ale nie wchodzi do środka, staje w ciemnym kącie na wprost drzwi i obserwuje, kto wchodzi i wychodzi. Kilka razy widziała Majkę jak biegła do taksówki, lecz nie odważyła się podejść do niej. Dziś od samego rana czekała na nią na klatce schodowej, nie mając pewności czy przyjdzie. Los był dla niej łaskawy, lecz tylko w połowie... Majka odtrąciła ją, odeszła nie mówiąc dokąd.

Tu, w tym ponad milionowym mieście będzie trudno ją odnaleźć, ale Beatka nie rezygnuje, zacznie znów chodzić do „Stylowej” albo do klubu sportowego „Iskra”. Jeżeli

jej nie znajdzie, zwariuje, nie może żyć bez niej jak bez powietrza. Pożegnała miłą starszą panią i szła nie wiadomo dokąd, w oczach miała bezbrzeżną pustkę, nie widziała domów i ludzi, potknęła się o krawężnik, byłaby upadła, gdyby czyjaś ręka nie podtrzymała jej za ramię. Podniosła oczy i znów się zachwiała, tym razem z wrażenia.

— Co ty wyprawiasz! — krzyknęła Majka, pomagając jej wrócić do pozycji pionowej. — Upiłaś się, czy co? A może naćpałaś się czegoś?

— Nie — uśmiechnęła się niepewnie Beatka. Złapała już równowagę, tylko że powietrze nie chciało dotrzeć do płuc, tkwiło w krtani niczym ogromny balon, w głowie narastał szum. Majka podprowadziła ją do ławki, stojącej obok, rozpięła jej kurtkę i wachlowała chusteczką pachnącą czymś słodkim i swojskim. Beatka zamknęła oczy i wchłaniała z lubością ten zapach. Po chwili oddychała już rytmicznie, a jej twarz nabrała zwykłego koloru niedopieczonej bułki.

— Oddychaj równomiernie — pouczała ją Majka i z niezwykłą powagą śledziła wskazówki zegarka. — Puls normalny — orzekła uradowana — nic ci nie jest. Wiesz co? — trzymała ją ciągle za rękę i Beatka była jej za to wdzięczna. — Pójdziemy do parku, dotlenisz się i od razu poczujesz się lepiej, tylko pamiętaj żadnego mazgajstwa, żadnego gadania o głupstwach. Lubię cię, jesteśmy przyjaciółkami i tak powinno być. Jasne?

Beatka była innego zdania, ale skinęła potulnie głową. Dobrze i to, namiastka szczęścia, ciepło małej dziecinnej dłoni i ten cudowny, swojski zapach, przyprawiający ją o zawrót głowy.

Pozwoliła się prowadzić za rękę i było słodko, przyjemnie. W parku pachniało jesienią. Mgła czepiała się krzewów unurzanych w purpurze. Nagle słońce wyszło spod wutowanej koldry i złotym grzebieniem przeczesywało drzewa.

Majka lubiła jesienne kolory i dziwiła się, że moda od kilku lat z uporem je lekceważy, propagując z upodobaniem czernie i biele. Zbierała czerwone i żółte liście, układała z nich bukiety. Beatka śledziła jej ruchy z dalekim uśmiechem, który pochodził z innego świata.

— To dla ciebie — Majka wręczyła jej ułożone misternie liście — możesz je zaszuszyć. Ja sobie nazbieram, słyszysz jak szeleszczą pod nogami? To niesamowite!

Beatka wzruszyła ramionami, nie obchodziły ją liście, miała ważniejsze sprawy na głowie, wzięła jednak bukiet od Majki i zasłoniła nim twarz.

— Ciągłe mówisz, że chcesz żyć normalnie — zwróciła się z pretensją do Majki — więc może mi powiesz, co to znaczy?

— Normalnie, to znaczy normalnie. Jak wszyscy — roześmiała się Majka.

— A więc kłócić się, oszukiwać, nienawidzić i klepać biedę?

— Nie — Majka spoważniała. — Biedy to ja mam potąd — pokazała na czubek głowy.

— Kochasz go? — Beatka zmieniła szybko temat.

— Nie wiem — odburknęła Majka. — Pojęcia nie mam co znaczy kochać.

— Chińskie gadanie — prychnęła Beatka. — Jak się kogoś kocha to się wie, nie ma się żadnych wątpliwości, więc nie udawaj, że nie wiesz. Ja tam wiem z całą pewnością. Nie mogę bez ciebie żyć i koniec — chciała się przytulić do Majki, ale ona przezornie odsunęła się.

— Znowu zaczynasz? — zrobiła groźną minę.

Oczy Beatki napeęzniały od łez.

— Słuchaj... — Majka nabrała powietrza i nie wiedziała co powiedzieć. — Wmawiasz sobie różne rzeczy, że jesteś brzydka, niezgrabna i głupia, a przecież jesteś ładną dziewczyną, mądrą, miłą, wiesz przecież, więc tę miłość też sobie wmówiłaś.

Beatka zajęta swoimi myślami nie słuchała.

— Czy on jest dobry dla ciebie? — spytała dziwnie apatycznie i cicho.

— Tak — wyznała tak samo cicho Majka — bardzo dobry.

— A co zrobisz jak cię rzuci?

— Nic, zresztą nie wiem. A dlaczego miałby mnie rzucić? — przeraziła się nagle.

— Wrócisz do mnie?

— Przecież jestem z tobą, o czym ty mówisz, jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

— Mogłybyśmy zamieszkać razem...

— Gdzie? Na księżycu? Nawet gdybyśmy miały forszę, co jest mało prawdopodobne, nikt nam nie wynajmie pokoju. Jesteśmy niepełnoletnie...



—Ale kiedyś w przyszłości...

—Kiedyś — przerwała szorstko Majka. — Kiedyś będzie tak samo jak dziś albo jeszcze gorzej, na razie zrób coś w sprawie pracy dla mnie, lada dzień zjawi się kurator, dzielnicowy już był...

Beatka z oczami pełnymi łez uśmiechała się do swoich myśli, nagle w jakimś odruchu rozpaczy wczepiła się w Majkę, objęła ją, przycisnęła do siebie.

—Nie zostawiaj mnie, nie potrafię bez ciebie żyć — szukała gorączkowo jej ust.

—Majka kątem oka dostrzegła jakąś postać u wylotu alejki.

—Przestań! — odtrąciła ją szorstko. — Ludzie patrzą!

—Mam dosyć twoich hysterii! Nie chcę, żeby mnie wytykano palcami — poprawiła włosy, zapięła kurtkę i skierowała się szybkim krokiem do wyjścia. Beatka stała przez chwilę skamieniała z rozpaczy i rozmazywała łzy na policzkach. Nagle ruszyła za Majką, przebiegła kilka kroków, stanęła przygwożdżona do miejsca jakąś myślą, spostrzegła pustą ławkę i padła na nią bez tchu. Słońce z coraz większą energią przeczesywało drzewa i ciepłym tchnieniem osuszało łzy.

\* \*  
\*

A jednak bała się wejść sama do mieszkania. Co prawda ojczym zachowywał się bez zarzutu, ale ona ciągle pamiętała ten dzień, kiedy to nie podejrzewając niczego spała sobie spokojnie w kuchni. Teraz miała się na baczności, nie zostawała sama w domu ani na chwilę, jedynie w obecności dzieci czuła się bezpieczna. Kupiła w sklepie warzywnym kapustę i pomidory oraz gumę dla Jarka i postanowiła zaczekać na niego w korytarzu. Nie musiała jednak tego robić, na III-cim piętrze, pogrążony w lekturze „Czarodziejskiej góry” czekał na nią Marcin.

—Co się stało? Dlaczego wstałeś? Chcesz dostać zapalenia płuc? — krzyczała czując, że blednie. Oczyma wyobraźni widziała Marcina plującego krwią.

—Nic mi nie jest — przekonywał ją z żarem. — Jestem zdrowy, nie mam temperatury, lekarz orzekł, że to nerwy, nerwy, rozumiesz? Nigdy mi się nic takiego nie przytrafiło. Naprawdę, sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę usiedzieć w domu, nie mogę nic robić. Czekam tu na ciebie od dwóch godzin. Gdzie byłaś?

—Czy to przesłuchanie? — nastroszyła się Majka.

—No wiesz? — rozbroił ją szczerym spojrzeniem. — Niepokoilem się o ciebie, śniło mi się, że on znowu...

—Nie martw się, przy dzieciach się nie ośmieli, a ja z nimi wychodzę i wracam... Właśnie miałam zamiar czekać tutaj na Jarka... Zresztą on ostatnio nie pije. Nie ma za co...

—Boję się o ciebie... Dręczą mnie jakiś koszmary, ciągle mi się śni, że cię zakuwają w kajdany, wsadzają do ciemnicy, a ja nie mogę nic zrobić, nogi mam z żelbetu, nie potrafię dźwignąć ich z miejsca.

—Przestań! Nikt mnie nie zamknie. Nie mają dowodów. Jestem pewna, że żaden z tych palantów nie złożył skargi, a gdyby nawet, kto mu uwierzy. Za kilka dni pójdę do pracy i wszystko się uspokoi... Trzeba będzie rozejrzeć się za mieszkaniem...

—Ale ja muszę być z tobą, zrozumi, tylko to się liczy, nie mogę spać, nie mogę jeść, jestem chory — porwał ją w ramiona, całował nieprzytomnie. Majka zakręciło się w głowie, czuła, że traci siły, rozum, wolę...

Na górze skrzypnęły drzwi, wyrwała się.

—Nie tu — szepnęła — chodźmy do domu!

Nie mogła otworzyć drzwi, trzęsła się cała, Marcin stał obok i też dygotał. Po kilku nieudanych próbach udało się, drzwi ustąpiły. Majka zamknęła je od środka, pozwoliła zdjąć z siebie sweter, całować się w szyję, w ramiona, sama również całowała go w oczy, w czoło...

—Jesteś moja na wieki — szeptał — moja jedyna, tylko moja, prawda? > i

—Tak — potwierdziła Majka.

—A kochasz mnie?

—Kocham.

—Powiedz jak...

Nagle w ich czułe szepty wdarł się brutalnie dzwonek. Odskoczyli od siebie przerażeni, dzwonek zaterkotał znowu. Majka naciągając sweter, pobiegła otworzyć.

—Kto? — spytała z ręką na zasuwie.

—Co jest? Otwieraj! — wrzeszczał z tamtej strony Jarek. Pchnął drzwi i wleciał do przedpokoju jak huragan.

—Kurwa, stara kurwa, wstrętna dziwka — rzucił się na Majkę z pięściami.

Chwyliła go za rękę i przytrzymała.

—Gdzieś się tak pobrudził? — spytała — ściągaj buty, są całe w błocie.

Jarek wyrwał się i od nowa zaczął ją poszturchiwać.

—Jesteś kurwa! Piotrowski mówił prawdę, a ja stłukłem mu okulary — niespodziewanie wybuchnął płaczem.

—Bileś się o mnie? — zdumiała się Majka, Jarek nie raczył odpowiedzieć. Płakał.

—A komu ty wierzysz? Mnie czy Piotrowskiemu? — pytała dalej. Jarek milczał uparcie i zasłaniał rękoma oczy.

—Posłuchaj — pochyliła się nad nim. — Kurwa to taka kobieta, która oddaje się mężczyznom za pieniądze, a ja tego nie robię. Wiesz dobrze, że nie. Marcin to mój chłopak. Kocham go i wyjdę za niego za męża.

Jarek łypnął nieprzyjawnym wzrokiem na Marcina.

—Twoja siostra mówi prawdę — potwierdził z powagą Marcin. — Słowo honoru... Można się z tobą przywitać?

Jarek rozdziawił buzię i wyciągnął niepewnie rękę utyłaną w błocie.

\* \*

\*

Mimo wczesnych godzin przedpołudniowych w autobusie panował ścisk. Ludzie w wieku produkcyjnym młodzi i zdrowi wałęsali się grupami po mieście, w sklepach nie można się było dopchać do lady, w kawiarniach brakowało wolnych stolików, a w całym śródmieściu, miejsc do parkowania.

Majka przyciśnięta do szyby niczemu się nie dziwiła, od kilku dni mniej zajmowało ją otoczenie, ulice i sklepy umykały z pola widzenia, nie interesowali jej ludzie, nawet kiedy jak w tej chwili-wgniatali ją w szybę, poszturchiwali siatkami i dmuchali alkoholem. Uśmiechała się do smutnych ulic i odrapanych domów i czuła się lepsza, mądrzejsza, ładniejsza, bogatsza, właściwie czuła się tak, jakby posiadała nagle wszystkie skarby

świata, o których istnieniu dotąd nie wiedziała, uwierzyła, że jest kimś ważnym, niepowtarzalną istotą ludzką, stworzoną na obraz i podobieństwo Boga, jedyną w swoim rodzaju. I cieszyła się z tego. Wszystko teraz było możliwe, wszystko mogło się zdarzyć. Kiedy szła ulicą była pewna, że lewituje, unosi się nieznacznie nad ziemią i płynie, w mięśniach czuła niezwykłą siłę, mogła nosić ciężary, przestawiać meble, przepływać jeziora, kanał La Manche, mogłaby prowadzić auto, samolot, skakać z wieży i trampoliny. Niczego się nie bała. Zakład odsunął się od niej w jakąś dziurę czy wyrwę, właściwie nie istniał, nigdy go nie było. Dziewczyny stamtąd też odchodziły w niepamięć, zobaczy się tylko z Iwoną, tak jak obiecywała, i więcej nie będzie się z nią umawiać, niech trzyma się Tola i tych starych palantów ze „Stylowej”. Majka ma co innego do roboty.

Kilkaset metrów dzielących ją od przystanku przebyła nie dotykając ziemi, sądziła, że za chwilę wzięci do góry, i tu spotkało ją rozczarowanie. W drzwiach, prowadzących na klatkę, zderzyła się z policjantem. Cofnęła się, zza jego pleców wyłoniła się zapłakana twarz Iwony, a z tyłu druga policyjna czapka.

— Zakapował mnie, wyobrażasz sobie? Do tej pory nie mogę w to uwierzyć — Iwona z głośnym szlochem rzuciła się przyjaciółce na szyję.

— A to skurwysyn! Od początku wydawał mi się lewy.

— Żądał ode mnie całej forsy — szeptała Iwona, tak by policjanci nie usłyszeli — a mówił, że połowę odkłada na mieszkanie. Wierzyłam mu, był jedynym człowiekiem, któremu wierzyłam bardziej niż sobie — wspomnienie własnej naiwności napędziło nową falę łez do jej oczu. Majka machinalnie zaczęła je wycierać.

— Mówiłam, żebyś nie wariowała. Miłość nie istnieje. Przestań spazmować! Nie ma tego złego... Przynajmniej dowiedziałaś się prawdy. Przetrzymasz to jakoś, będę ci przysyłać paczki, przyjadę, jak się tylko urządzę...

— Wiem — Iwona wytarła oczy i usiłowała się uśmiechnąć. — Jesteś jedyną osobą, na którą mogę liczyć. Wpadnij do tej idiotki. Nałykała się prochów.

Majka zbladła raptownie.

— Kto? — spytała zdrętwiałymi wargami, krztusząc się powietrzem.

— Nie denerwuj się — machnęła ręką Iwona. — Wyplukali ją, nic jej nie będzie, a swoją drogą ktoś powinien przemówić jej do rozsądku.

— No, pogadałyście i wystarczy — zdecydował jeden z milicjantów. — Idziemy! — skinął na Iwonę.

A ona, chcąc za wszelką cenę przedłużyć tę chwilę, zawisała znów Majce na szyi, zraszała jej twarz ciepłymi łzami i szeptała, że się zabije, nie wytrzyma dłużej, nie może tak żyć. Majka pocieszała ją, jak umiała, obiecywała listy, paczki, gdyż nic innego nie mogła wymyśleć. Policjanci zaczęli się niecierpliwić, bali się spóźnić na pociąg. Dziewczyny jednak nie mogły się rozstać, ścisnęły się i całowały od nowa.

Idź już. — Majka odsunęła Iwonę od siebie. — Nic nie zwojujemy. Przyjadę, to pogadamy, tylko się trzymaj! Pamiętaj! Uszy do góry!

Iwona patrzyła na ogromne boczysko nurzające się w łagodnym blasku słońca, na ludzi cisnących się do autobusu, którzy zerkali na nią z zaciekawieniem, rozczuliła się jeszcze bardziej nad sobą, pomyślała o ucieczce, ale wiedziała, że jest bez szans, złapią ją natychmiast albo postrzelą, chciała jednak coś zrobić, żeby w jakiś sposób zmanifestować swój bunt, powstrzymała ją tylko obecność Majki, cień uniesionej ręki, i uśmiech, którym dodawała jej otuchy. Otarła więc łzy, odwróciła się i zawołała:

— Nie daj się tylko w nic wrobić, i nie martw się o Beatkę. Idiotkom zawsze dobrze się wiedzie.

Tym razem autobus nie jechał, lecz włókł się niczym karawan pogrzebowy, dostawał zadyszki, chrząkał, przystawał, na skrzyżowaniach przepuszczał inne pojazdy, a sam skręcał dopiero w ostatniej chwili. Majce spieszyło się bardzo, obiecała Jarkowi przyjść po niego do szkoły, nie mogła nawalić. Żałowała, że nie wzięła taksówki, chciała zaoszczędzić na owoce dla dzieci, a teraz nie wiedziała co ważniejsze, pomarańcze czy dane słowo.

Kiedy dotarła na miejsce i spojrzała na zegarek, odetchnęła, nie było tak źle, zdąży, nawet jeżeli droga powrotna potrwa dłużej niż godzinę. Furtkę zastała otwartą, podeszła więc szybkim krokiem do drzwi wejściowych i zapukała, a ponieważ nikt się nie odezwał nacisnęła klamkę. Z holu, gdzie panował gęsty mrok powiało nieprzyjemnym chłodem, wzdrygnęła się sądząc, że ona znowu... Wtem rozległy się kroki. Z pokoju wyłoniła się jakaś zjawa w długiej białej szacie do ziemi, dopiero gdy błysnęło światło okazało się, że to Beatka we własnej osobie. Przystanęła w uchylonych drzwiach i patrzyła na Majkę pustymi oczami, chyba jej nie widziała.

— Co ty wyprawiasz? — krzyknęła na nią Majka złym głosem.

— Ty? Tutaj? — z oczu Beatki strzeliły tysiące iskier, jej twarz oblała się łuną. Rozpostarła ramiona. W luźnym długim szlafroku wyglądała jak pingwin startujący do lotu. Pełna nadziei podbiegła do przyjaciółki, chcąc ją objąć. I wtedy niespodziewanie spadły

na nią ciosy wymierzone ręką Majki, niektóre trafiały w twarz, inne odbijały się od pleców.

—Ty idiotko! Ty histeryczko! — krzyczała Majka, kipiąc gniewem.— Zachowujesz się jak pierwsza lepsza debilka stamtąd. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Nie chcę cię widzieć! Nie chcę cię znać! Do końca życia nie spojrzę na dziewczynę z poprawczaka. Słowa nie zamienię ani z tobą, ani z Iwoną. Nienawidzę was, nie znoszę, mam was... — Nie dokończyła, ponieważ Beatka osunęła się na ziemię i uklękła przed nią.

—Przebacz mi! — zaczęła błagać, spuszczać ze wstydu oczy —ja już nigdy, słowo honoru, miej litość nade mną...

—Przestań się wygłupiać! Wstań! Tobie naprawdę pomieszało się w głowie. Jesteś matoł, tępak. Nieudałota — podniosła ją z klęczek, rzuciła na ścianę i nagle chwyciła w ramiona i wybuchnęła płaczem.

—Co ty sobie myślisz? — szeptała przez łzy — że ja jestem bez serca, że ja nic nie czuję?

—Ja już nigdy, naprawdę — Beatka ze szczęścia mówiła piskliwym głosem — ale musisz mi wybaczyć!... Musisz...

—To ty mi wybacz — Majka wytarła oczy. — Boli? — dotknęła ustami jej twarzy. — Chodź, zrobię ci zimny kompres. Boję się, że będą ślady.

Beatka podreptała posłusznie do łazienki i z mokrym ręcznikiem na twarzy ułożyła się na wznak na tapczanie, czekała cierpliwie na śniadanie, którym właśnie zajęła się Majka. Z kuchni dochodziły przyjemne odgłosy, brzęk naczyń, alarmujący gwizd czajnika i uspokajający szum wody z kranu. Majka zmywała naczynia z taką wprawą, jakby niczym innym nie zajmowała się w życiu. Beatka znalazła nowy powód, by ją podziwiać. Obecność Majki działała na nią kojąco, chociaż czuła jak pod zimnym okładem puchnie górna warga, ale nie przejmowała się tym, natomiast Majka gdy to zobaczyła wpadła w popłoch.

—Co ja narobiłam. Nie możesz w tym stanie wyjść na ulicę! — lamentowała.

Beatka po obejrzeniu się w lusterku oznajmiła, że nigdzie się nie wybiera, jest osłabiona i ma ochotę poleżeć w łóżku, a za dwa trzy dni po opuchliznie nie będzie śladu. Chcąc pokazać Majce, że się tym nie przejmuje, zjadła całą patelnię jajecznicy. Zmartwiła ją oczywiście Iwona i podobnie jak Majka nie zostawiła suchej nitki na Tolu. Obie

przrzekły mu zemstę, ale nie wiedziały, jak ją zrealizować. Były pewne, że Tolo czerpie korzyści z nierządu, nie miały jednak na to dowodów.

Majka dopiła herbatę i pożegnała się z Beatką, nie chciała sprawić zawodu Jarkowi. Wzięła taksówkę i zdażyła na czas. Na kupno owoców zabrakło pieniędzy. Jarek, któremu powiedziała o swej decyzji, orzekł, że mógł z powodzeniem wrócić sam do domu, wiele razy to robił, ostatecznie zaczekałby na nią na klatce, ale skoro ona uznała, że ważniejsze jest słowo niż pomarańcze, to trudno, widocznie tak trzeba, słowo jest słowem, chociaż pomarańcze też dobre.

\* \*

\*

Po zajęciach judo, w których Marcin nie brał udziału, odnalazła go w sekretariacie, gdzie z zapalem godnym lepszej sprawy porządkował jakieś papiery.

—Cześć! — podeszła do niego z wszechogarniającym uśmiechem i wyciągnęła rękę.

—Cześć — bąknął zdawkowo, podniósł się z krzesła i ledwie dotknął jej dłoni. Powiało od niego chłodem jak z Antarktydy.

—Dlaczego nie było cię na zajęciach?

—Nie mogłem. Mamy strasznie dużo pracy — wskazał panią Anię bijącą w maszynę i porozkładane na stole i krzesłach papiery.

—W takim razie nie przeszkadzam — uśmiechnęła się blado. Starczyło jej jeszcze sił, by się odwrócić i dotrzeć do drzwi.

Na korytarzu chwyciła się za serce. Co się stało? Nic nie widziała, w pobliżu pracował młot pneumatyczny, drążył tunel w głębi ziemi, w którym było straszliwie duszno, nie mogła złapać tchu, topiła się z gorąca.

—Coś tak zbladła? — trener z zatroskaną twarzą pochylił się nad nią. — No, co nic nie mówisz? — wziął ją za rękę i wyprowadził na powietrze. Zimny wiatr orzeźwił ją i ostudził, ale młot pneumatyczny w jej piersiach pracował nadal, sprężone powietrze rozrywało skronie.

—Jesteś w ciąży? — spytał.

Nie mogąc otworzyć ust skinęła głową, i nagle roześmiała się, strząsając za jednym zamachem dławiący ją ucisk, młot, rozsadzający klatkę piersiową, umilkł, zrobiło jej się źzej, pomachała trenerowi ręką i pobiegła do tramwaju.

Zwariowałam — pomyślała — przyciskając do okna rozpalone czoło — naprawdę dostałam kręćka, przecież nic się nie stało, Marcin nic nie powiedział, nie ma żadnych dowodów na to, że przestał mnie kochać, a jeżeli nawet jest tak jak myślę, nie poddam się rozpacz, zniosę mężnie ten cios. Nie przyjdę więcej do klubu, będę omijać „Hortex” i wszystkie ulice, którymi z nim chodziłam, nie było ich zbyt wiele, lecz wszystko, co z nim przeżyłam zapisało się trwale w pamięci, trzeba będzie to zniszczyć, zatrzeć ślady, wypłoszyć i żyć bez... powietrza, bez światła, w wiecznym mroku, z wypalonym sercem, które rozpada się przy każdym oddechu...

Tramwaj zerwał się z przystanku, hałasując jak odrzutowiec, zatoczył się, nabrał szybkości i leciał rozkołysany w oparach kurzu. Zdawało się, że wypadnie z szyn, miażdżąc wszystko dokoła, ale on jechał dalej sycząc, pryskając iskrami i dziwnym trafem dowiózł ją na miejsce.

W domu było zwyczajnie i nudno, ojczym podsypiał przed telewizorem, dzieciaki odrabiały lekcje przy kuchennym stole, już się z nią oswoiły, i przestały zawracać jej głowę głupstwami. Dopiero, gdy zobaczył, że się przebrała do wyjścia w białą bluzkę i czarną spódniczkę, zmartwiły się. Jarek zostawił kolorowe mazaki, którymi malował kosmiczne pojazdy i wcisnąwszy się do łazienki śledził z dezaprobatą jej zabiegi przy oczach.

—Marcin pozwala ci się malować? — zapytał.

—Nie wiem. Nie pytałam go — roześmiała się.

—Ja bym nie pozwolił.

W takim razie—starła szybko cienie z powiek—nie będę. A usta można pomalować?

Jeżeli musisz — zgodził się łaskawie.

Majka roześmiała się i odłożyła szminkę.

—Nie muszę — powiedziała, przyglądając się w lustrze — ale jestem blada i bez wyrazu.

—Chłopaki mówią, że jesteś ładna...

—Piotrowski też?



—Nie rozmawiam z gnojem... On kabluje, wiesz i kłamie. Nikt się z nim nie bawi... Teraz rozpowiada, że nasza mama nas zostawiła. A przecież tatuś przywiezie ją jutro, taksówką, wiesz? I przywiezie też tego, jak mu tam?

—Huberta.

—Właśnie. Widziałaś go? Ładny? ?

—Prześliczny.

—A do kogo podobny?

—Do ciebie.

—Ee... — skrzywił się niezadowolony.

—No, zmykaj do lekcji. Powinam już iść — potargała go żartobliwie za uszy i ucałowała.

Jarek rzucił się jej na szyję i przykleił do niej jak kleszcz.

—Nie daj się tylko złapać! Bardzo cię proszę — oczy mu ściemniały, ścisnął ją coraz mocniej.

—Dobrze — pocałowała go znowu — tylko, że nikt mnie nie goni.

—Jasne — potwierdził ochoczo, ale nie wierzył. Wiedział, że to taka gra. Majka musi nadrabiać miną i udawać, że się nie boi. Tak zachowują się wszyscy bohaterowie filmów w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, żartują sobie i kpią. Majka nie mogła postępować inaczej, to by było w złym stylu. Nie spieszyła się jednak do wyjścia, widocznie miała cynk, że w domu nie będą jej szukać. Sprawdziła jeszcze matkę Marzence, też ją ucałowała czulej niż zwykle i Jarek jeszcze bardziej się zmartwił, był niemal pewien, że Majka znów zniknie. Mama wróci, a jej już nie będzie. Zawsze tak jest, jak się kupi flaster, to nie starcza na gumę, i odwrotnie. Majka chyba umiała czytać w myślach. Jarkowi nawet zrobiło się głupio, ledwie zdołał pomyśleć o gumie, a ona już wiedziała, wygrzebała z torebki paczkę donaldów i położyła na stole, jeszcze raz ucałowała go i wyszła. Na ojczyma nie spojrzała, on również jej nie zauważał, telewizyjne gędzenie o kolejnych reformach było stokroć ważniejsze.

Na schodach usiadła i zapaliła papierosa, jeszcze miała nadzieję, że Marcin przyjdzie i wytłumaczy się, powie jakieś głupstwo, uśmiechnie się, przyniesie kwiatek czy książkę, albo nic nie przyniesie, nic nie powie, nie będzie się tłumaczył i usprawiedliwiał, wystarczy, że przyjdzie, spojrzy na nią, weźmie ją za rękę, pożartuje z Jarkiem i pójdzie sobie,

nic więcej nie musi robić, byle tylko przyszedł... Niestety, dalsze czekanie nie miało sensu, wyszła więc na pustą i ciemną ulicę, już nie musiała oszczędzać. Gdy mama wróci ojczym będzie się sam troszczył o pieniądze na dom. Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i kazała się wieźć do „Stylowej”.

W holu portier o wyglądzie ministerialnego urzędnika, który zazwyczaj traktował ją z powściągliwą grzecznością, wylazł zza kontuaru i zagroził jej drogę.

—Pani nie wejdzie — oświadczył ponuro.

—Dlaczego? — roześmiała się Majka.

— Powiedziałem: pani nie wejdzie i proszę ze mną nie dyskutować.

—Na czyje polecenie pan działa? Tola czy policji? To zdaje się na jedno wychodzi.

—Powiedziałem swoje, proszę więc zrobić w tył zwrot.

—Ani mi się śni. Narobię takiego wrzasku, że zbiegnie się pół sali.

—Nie radziłbym, pani dobrze na tym nie wyjdzie.

—Ech! Co mi tam — rozeźliła się Majka i przestała się uśmiechać. Jeżeli szatniarzowi chce się żartować, to przebrał miarę, ona nie miała czasu. — Przepraszam — usiłowała usunąć go z przejścia, ale on był silniejszy, napał na nią całym ciałem i nie przepuszczał.

—Proszę się nie awanturować — oświadczył z godnością — powiedziałem wyraźnie. — Pani nie wejdzie!

—Owszem. Wejdzie! — wtrącił pan Pietras z marsową miną i ujął ją za ramię. Od dłuższego czasu obserwował zmagania Majki z portierem, a teraz niespodziewanie wkroczył do akcji i stanął po jej stronie.

—Przykro mi, ale nie ma miejsc — wyjaśnił triumfalnie portier

—nieco mniej natarczywie zagradzał drogę do sali.

—Mam zarezerwowany stolik — odparł spokojnie pan Pietras.

—Proszę — pokazał szatniarzowi kartonik — numer szesnasty.

—W takim razie przepraszam — szatniarz usunął się z przejścia za swój kontuar. — Az panią to jeszcze porozmawiamy — zagroził Majce, która nie raczyła spojrzeć nawet na niego.

—Dziękuję panu — uśmiechnęła się do pana Pietrasa.

—To tobie należą się podziękowania za dyrektora — ucałował ją w rękę.

—Mówił, jak żeśmy go załatwiły? — ożywiła się Majka.

—Nie, ale wrócił z Warszawy zły jak diabli i opowiadał, że tu straszna demoralizacja, ostrzegał mnie i kolegę, żebyśmy broń Boże nie chodzili do „Stylowej” i w ogóle nie pili, nie jedli, bo ani się człowiek spostrzeże zostaje oskubany z forsy. Zdaje się, że obiecałem ci premię?

—Och! Nie ma o czym mówić. Dyrektor zapłacił pełną stawkę.

—Jesteś fantastyczna! Zjesz ze mną kolację?

—Nie mam czasu. Szukam jednego faceta. Jeżeli tu go nie znajdę, pojedę do Kongresowej. Mogę natomiast poprosić którąś z nich... —wskazała trzy młode dziewczyny, wchodzące na salę.

—To profesjonalistki, nie wykiwają pana. Widzi pan, im się nie robi żadnych trudności przy wejściu. Mają zarezerwowane najlepsze stoliki.

—Prawdziwym kurwom zawsze dobrze się wiedzie — zauważył filozoficznie pan Pietras.

—Proszę im się przyjrzeć! Która panu odpowiada?

—Nie mam ochoty. Co innego gdybyś ty się zdecydowała.

—Pan wie, ja nie robię w tej branży — rozglądając się uważnie po sali, odprowadziła go do stolika, nie chciała jednak usiąść, chociaż pan Pietras zapraszał ją bardzo serdecznie. Nie, nie — powtarzała z roztargnieniem, jeszcze raz zlustrowała salę. — Nie ma go tu. Muszę iść. No to wesołej zabawy i niech pan uważa — pomachała mu ręką i bez żalu opuściła salę. Portier widząc jak nadchodzi wysunął się zza kontuaru. Majka tym razem ominęła go zręcznie i będąc już w drzwiach zagrała mu na nosie. Szybko przemknęła przez jezdnię i dotarła na drugą stronę, gdzie blask neonu nie docierał prawie. Zamierzała złapać taksówkę i pojechać do „Kaskady”, gdy nagle zatrzymał ją aksamitny głos Tola. — Cześć mała! — Po chwili on sam wyłonił się z ciemności w słodkich oparach old spice'a. Będąc przekonany, że nikt mu się nie oprze wyciągnął do niej rękę i chciał ją objąć. Majka odskoczyła jak oparzona.

—Nie bój się mała, to ja — głos Tola brzmiał łagodnie jak przyptyw morza i obiecywał nieziemskie rozkosze. — Nie zrobię ci krzywdy, chcę tylko dojść z tobą do porozumienia, poza tym... stęskniłem się za tobą.

Udała, że nie słyszy.

—Dlaczego ten stary rajfur nie chciał mnie wpuścić? — zapytała ostro.

—I nie wpuści... jeżeli... —jego głos tchnął nadal słodyczą i Tolo nie przestawał się uśmiechać.

—Czego chcesz?

—Założyliśmy spółkę, tak czy nie? Na uczciwych solidnych zasadach, prawda? Nigdy cię nie wykiwałem. Zawsze mogłaś na mnie liczyć. Chcę więc, żebyś dalej pracowała na tych samych warunkach.

—A jak nie, to zakapujesz mnie jak Iwonę?

—No... z tobą by nie wyszło. Ty rzeczywiście jesteś na warunkowym.

—Sprawdziłeś? Ech ty! — splunęła z obrzydzeniem.

—A co, miałem wierzyć dziewczynom z poprawczaka? Myślałaś, że się będę narażać? Na co? Po co? W imię czego? Ja lubię czystą robotę. Gram uczciwie, nie możesz mi nic zarzucić. — Tolo zadowolony z siebie rechotał chełpliwie.

—Iwona ci wierzyła.

—Ale mnie okłamywała... Zaczęła od kłamstwa...

—Nie miała wyboru.

—Ja też nie miałem, rozumiesz?

—Nie bardzo, ale to nieważne... Słuchaj! Czy mógłbyś mi wynająć to mieszkanie?

Tolo potwierdził nie przestając się uśmiechać.

—Za ile?

—Powiedzmy, że za dwadzieścia dolców.

—Co to, nagle staniało? Mówiłeś, że płacisz trzydzieści?

—Powiedzmy, że dla ciebie staniało... — Tolo zawiesił głos.

—A to z jakiej racji?

—Resztę zapłacisz w naturze...

—Nie rozumiem.

—Och! Nie udawaj! To proste, będę cię ochraniał i będę z tobą spał.

—Nigdy w życiu — wykrzyknęła ze świętym oburzeniem. — Co ty sobie wyobrazasz? Że ja za forszę czy nawet za chatę pójdę do łóżka z jakimś kapusiem?

—Nie, to nie — odparł spokojnie Tolo — ale pamiętaj, do „Stylowej” więcej nie wejdiesz, do „Kaskady” również... A jak będziesz za dużo gadać stracisz urodę — w rękę Tola błysnęła żyłeczka, którą on, licząc na odpowiedni efekt, przysuwał z wolna do twarzy dziewczyny. Majka nie drgnęła. Patrząc mu w oczy roześmiała się drwiąco.

—Myślałam, że jesteś dżentelmenem, a ty zachowujesz się jak zwykły luj. Schowaj to gówno i porozmawiajmy jak ludzie... A więc chcesz trzydzieści za mieszkanie, a ile za ochronę i wstęp do lokali?

Tolo schował żyłeczkę i zastanawiał się czy też raczej udawał, że się zastanawia.

—Siedemdziesiąt pięć procent — wycedził wreszcie i przestał się uśmiechać.

—Zwariowałeś? Do tej pory brałeś pięćdziesiąt procent.

—Mam wydatki. Reprezentacja coraz drożej kosztuje... Nie zapominaj, że było was dwie...

—A gdybym zamieszkała z koleżanką?

—Uciekinierka?

—Na warunkowym tak samo jak ja... wówczas brałbyś po pięćdziesiąt procent?

—Jak z nią zamieszkaasz porozmawiamy. A teraz do roboty! Upatrzyłaś kogoś?

—Tak, ale ten rajfur...

—Nie wyrażaj się, bardzo cię proszę, jesteś przecież panienką z dobrego domu... Nie zapominaj o tym. Idziemy! — Objął ją ramieniem, Majka przytuliła się do niego, nie protestowała, gdy musnął ją ustami w policzek i potem w szyję. Naraz wpił się gwałtownie w jej usta, Majka osunęła się, tracąc równowagę. Tolo chciał ją podtrzymać, lecz w tej samej chwili skulił się i zawył z bólu. Cios wymierzony ręką Majki trafił we właściwe miejsce. Tolo aż przysiadł.

—To za Iwonę — rzuciła i nawet na niego nie spojrzała. Nie miała potrzeby napawać się chwilowym triumfem. Biegła co tchu do taksówki, która powinna czekać za kioskiem „Ruchu”. Tolo lada moment dojdzie do siebie, a wtedy, strach pomyśleć co może się zdarzyć, gotów ją zabić, pociąć na kawałki, zrobić z niej miazgę i Bóg wie co. Nabrała z kieszeni do garści soli, którą w razie potrzeby postanowiła sypnąć mu w oczy. Lotem błyskawicy przecięła skwerek, dotarła za kiosk „Ruchu” i, nogi się pod nią ugięły. Taksówki nie było. Jeżeli Tolo doszedł do siebie, nie pozostało jej nic innego tylko modlić się do Boga w ostatniej godzinie, mimo to nie rezygnowała. Obejrzała się, od „Stylowej” oddzielał ją mroczny skwerek, dalej dumny rząd latarni oświetlał jedynie domy, natomiast chodniki i jezdnia tonęły w mroku. Tolo stamtąd mógł nadejść, wówczas go nie zobaczy. Wyteżyła słuch, wiedząc, że i tak nic nie usłyszy. Tolo nosił miękkie mokasyny i stąpał w nich bezszelestnie. Nieraz ją zaskakiwał, wyrastając jak spod ziemi. W odległości jakichś trzystu, czterystu metrów znajdował się przystanek autobusowy, stały na nim dwa Ikarusy oświetlone, przytulne. Gdyby udało się jej dotrzeć do któregoś z nich byłaby uratowana. Biegła co sił w nogach, pobiła chyba rekord świata na czterysta metrów, miała jednak wrażenie, że drepce w miejscu i że nigdy nie wydobędzie się z ciemności okalających skwerek, od autobusu oddzielała ją asfaltowa płyta, obłana trupim światłem jarzeniówek.

Tolo biegł za nią, wprawdzie nie słyszała jego kroków i nie widziała go, była jednak pewna, że kiedy się odwróci, ostrze żyłki przetnie jej twarz na całej długości, od czoła aż do brody, nie oszczędzając oka. W autobusie zawarczał motor. O Boże —jęknęła śmiertelnie przerażona — zaraz odjedzie, zostawi ją samą w tej zimnej kamiennej pustce pod niedosiężnym niebem. Zamachała rozpaczliwie ręką do kierowcy, silnik zarzęził jak ranione zwierzę, plunął czarną posoką. „Ikarus” drgnął i zakołysał się. Majka w ostatniej sekundzie wcisnęła się w szparę drzwi, które omal jej nie przepołowily, zatrzasnęły się niechętnie, popiskując z niezadowoleniem. Teraz już mogła się odwrócić, spojrzeć za siebie. Nie, nie chciała wierzyć, ulica biegnąca od ciemnego skwerku do przystanku była idealnie pusta, wymieciona z ludzi. Zielonkawe światło z dogorywających jarzeniówek układało się w asymetryczne plamy na asfalcie i falowało na wietrze.

Po wyjściu z autobusu, kryjąc się za parą staruszków uważnie rozglądała się dokoła. W gęstych ciemnościach, spinających bloki niewiele widziała. Na trawniku przed domem, pociętym kępkami krzewów gromadziły się cienie. Nagle jeden oderwał się od drzewa, minął śmietnik i wtopił się w czeluść klatki schodowej. Przeszył ją dreszcz. Nie miała wątpliwości, to był Tolo. Przyjechał wcześniej taksówką i teraz czeka, żeby się z nią rozprawić. Musiała pokonać strach. Żałowała jednak, że nie pojechała do Beatki. Tolo tam by jej nie szukał. Zwolniła, chcąc zyskać na czasie i z prawdziwym żalem odpro-

wadziła wzrokiem staruszków zmierzających w przeciwną stronę. Autobus dawno odjechał. Na przystanku był tylko wiatr. Wprawdzie w wielu oknach płonęły światła i telewizyjny szczebiot odbijał się od ścian, ale na ulicy nie było nikogo. Majka, nie mając nawet szczyryka, nabrała znów soli do garści i przygotowana na najgorsze otworzyła drzwi na klatkę, zapaliła światło i ukryła się na schodach, prowadzących do piwnicy. Z góry ktoś schodził powoli i niezbyt ostrożnie, słyszała każde stąpienie, to nie mógł być Tolo. Widocznie wynajął pomagiera, żeby się z nią rozprawił. Wysunęła się nieznacznie zza muru, czekała. Tu, gdzie stała, osłaniał ją mrok draśnięty tylko nieznacznie światłem nagiej czterdziestki. Jeżeli pomocnik Tola, czy też on sam podejdzie bliżej, sypnie mu solą w oczy i umknie do domu, zdąży otworzyć drzwi kluczem... Wstrzymała oddech i wsłuchiwała się w niezbyt ostrożne kroki. Adidasy wydały jej się znajome, dzinsy również... Oderwała się od ściany.

—Marcin! — krzyknęła takim głosem, jakby ujrzała ducha. Poczowała suchość w gardle, bezwład w całym ciele. Musiała chwycić się poręczy, żeby nie upaść.

—Co się stało? — podparł ją mocnym ramieniem. — Dlaczego jesteś taka blada? Gdzie byłaś? Znowu w „Stylowej”? — pochylał się nad nią zatroskany i czuły.

Przestała się bać, z nim mogła stawić czoła wszystkim niebezpieczeństwom świata.

—Tak — wyznała patrząc mu w oczy. — Musiałam rozprawić się z Tolem, zakapował Iwonę. Nauka judo przydała się na coś, dołożyłam mu.

—Sama? — przeraził się. — Dlaczego mi nie powiedziałaś, poszedłbym z tobą, przecież wiesz...

—Cicho! — położyła mu palce na ustach. — To są nasze sprawy, nasze porachunki, nie masz potrzeby mieszać się w nie. Jesteś z innego świata... Jesteś taki...

—Jestem taki jak ty, taki sam — przerwał jej szorstko, jakby się obawiał, że ona powie coś niestosownego — przekonasz się zresztą. A teraz powiedz, czy zrobisz coś dla mnie?

—Oczywiście.

—Idź więc szybko na górę, weź szczotkę do zębów i najpotrzebniejsze rzeczy, a przede wszystkim spodnie, sweter, adidasy, kurtkę oczywiście też. Zrób to szybko, jak możesz najszybciej. Mamy mało czasu, ja pójdę po taksówkę...

—Dobrze, ale dokąd ty chcesz jechać?

—Ty nie chcesz?

— Chcę, tylko, dlaczego tak nagle? Mama się zdenerwuje..

—Zostawisz jej kartkę, jutro napiszesz list. Mamy mało czasu. Pociąg odchodzi za półtorej godziny, ja jestem już spakowany...

Dopiero teraz spostrzegła niewielki plecak przytroczony do jego ramion...

—Mam już bilety — nie przestawał jej przekonywać — wyjedziemy w góry. Wynajmiemy pokój, będziemy razem. Nigdy nie byłeś w górach, prawda? A ja znam jedno cudowne miejsce... Z okna widok na czeskie Tatry... Cicho, biało, zielono... nie będzie Tola twojego ojczyma ani tej cholernej Beatki, drepczącej ci po piętach...

—Co ty chcesz od Beatki? — zaniepokoiła się.

—Och! Nic. Ale byłem wściekły. Myślałem, że zabiję ją, ciebie... Ta idiotka wyznała mi wszystko, miała to być kuracja wstrząsowa, chciała mnie zniechęcić do ciebie...

—To dlatego byłeś dziś taki nieprzyjemny?

Skinał głową.

—I mimo to chcesz jechać ze mną w góry?

—Tylko o tym myślę i marzę...

—Och! Ty wariacie — Majka rozwarła palce i otrząsnęła je z soli.

—Co to jest? — zdziwił się Marcin.

—Sól zamiast pistoletu gazowego, na Tola, gdyby mnie dogonił —śmiała się teraz ze swoich obaw i patrzyła rozradowana na niego.

—Robisz cholerne głupstwo — spoważniała nagle i przestała się śmiać.

—Zastanów się, póki nie jest za późno.

—Już jest za późno... — zmarkotniał nagle, ale szybko przepędził jakąś złą myśl i uśmiechnął się promiennie — straciliśmy tyle dni, tyle nocy... Już od dawna powinniśmy być razem, zawsze razem. Nie wiadomo przecież czy ten świat potrwa jeszcze dwa dni... Lecę po taksówkę. Za pół godziny masz być gotowa!

\*\*

\*



Los bywa nie tylko okrutny, bywa także wspaniałomyślny i szczodry jak dobra wróżka, chociaż obsypuje darami nie zawsze tych, co na nie zasługują. Majka wiedziała o tym i była mu wdzięczna, w myślach przeżyła już bowiem rozstanie z Marcinem i dlatego jego nagłe zjawienie się wypchnęło rumieniec na jej twarz, przyspieszyło rytm serca, znów pragnęła żyć tylko nim, tylko jego słuchać i tylko o nim myśleć. A jednak leżąc w pociągu, w głębokich ciemnościach nie przestawała niepokoić się o jutro. Dziś było dobrze, było wspaniale, ale przyszłość rysowała się ciemno. Po krótkim pobycie w górach będą musieli wrócić do Warszawy, każde do siebie, i wtedy zaczną się problemy. Ona, na dobrą sprawę, nie ma dokąd wracać. Nie może matce powiedzieć prawdy i nie chce. Po co łamać jej życie. Z tym co ma, czuje się dobrze, jest, być może, szczęśliwa.

Wszystko zależy przecież od punktu widzenia.

Nad ranem wreszcie zasnęła i śniły jej się góry, całe niebiesko-białe, padał śnieg i ona zapadała się coraz głębiej w puszystą pierzynę, było słodko, lekko, błogo, wcale nie czuła zimna. A kiedy się obudziła naprawdę była już w górach. Marcin ubrany w gruby sweter z owczej wełny siedział przy niej i trącał ją w ramię, dojeżdżali do Zakopanego. Musiała się ubrać.

—Zobacz! Góry! — powiedział, ale okno zapotniałe i brudne zasłaniało je jak kurtyna. Brzask niewyraźny, oblepiony mgłą trzymał się kurczowo nieba. Wjechali na senny jeszcze dworzec, parę osób wysiadło, sezon się kończył i kolejka do taksówek nie była duża. Marcin zajmował się bagażem i nią, on jeden wiedział dokąd jada. Podał adres taksówkarzowi, wszystko wiedział i chętnie udzielał wyjaśnień. To Gubałówka — mówił — a to Giewont, widzisz, fajkę kurzy, nie będzie pogody, na Kasprowym jest śnieg, zabiorę cię tam kolejką.

—W remoncie — powiedział z zadowoleniem taksówkarz.

—Co? — nie zrozumiał Marcin.

—Kolejka.

—Znowu?

—Przecież nie sezon?

—Szkoda — westchnął z żalem Marcin.

Majka zbagatelizowała sprawę. Uśmiechnęła się i ścisnęła go za ramię.

—Co tam kolejka — szepnęła. — Ważne, że jesteśmy razem, że mamy mnóstwo czasu dla siebie...

—Będiesz spać ze mną w jednym łóżku?

Skinęła głową.

—Będę ci opowiadał bajki na dobranoc, czytał wiersze, napiszę coś tylko dla ciebie. Będziemy chodzić na wycieczki... Pokażę ci czeskie Tatry.

—Wstrzymali wszystkie wycieczki — wyjaśnił usłużnie taksówkarz.

—Dlaczego? — zdziwił się Marcin — zawsze były.

—I się skończyły — zarechotał zadowolony. — Boją się, żebyśmy im nie wykupili majtek i pasty do zębów..., a ja pamiętam jak stąd wywozili kiełbasy, bekony i szynki, nikt im nie bronił.

—No, tak dobrze chyba nie było — zaoponował Marcin — obie strony mają coś na sumieniu... Jesteśmy na miejscu — obwieścił radośnie i wskazał duży góralski dom przyklepiony do zbocza.

Gaździna знаła Marcina od dawna, przyjeżdżał tu z rodzicami i kolegami, z dziewczynami nigdy, ta była pierwsza. Przedstawił ją jako swoją narzeczoną. Gaździna wycalowała się z nim, potem z Majką.

—Nie spieszta się aby ze ślubem — radziła z dobrego serca — czasy niedobre, ciężko wam będzie... Marcinek powinien pojechać do Ameryki na zarobek albo i paninkę ze sobą wziąć. Przywieźliby jaki grosz, dom postawili to i żenić by się mogły, a tak to jeno męczarnia będzie. No, odpocznijcie, a potem pogadamy... zaraz śniadanie przygotuję, pewnie zmarznięte i głodne... Pokój na górze, ten duży, Marcinek wie, wygodnie wam będzie, teraz nikogo nie ma, to co se żałować, nie policzę drogo — zostawiła ich w holu, a sama poszła do kuchni.

Marcin wniósł bagaże na górę i kazał jej zamknąć oczy.

—Ja cię wprowadzę — wziął ją za rękę. Usłyszała leciutkie skrzypienie drzwi, palcami dotknął jej ramienia. — Jeszcze trzy kroki. Nie otwieraj oczu! Teraz — powiedział — teraz!

Pokój zalany był światłem. Pasma białych gór dotykały nieba i kapały się w słońcu, niżej głębsza zieleń lasów drzemiała jeszcze w cieniu, wielka kopuła błękitnego nieba spinała ziemię.

—Nie miałam pojęcia, że świat jest tak piękny — wybąkała zmieszana. Nie mogła oderwać oczu od okna.

—A wiesz, co jest piękniejsze od tych gór? — zapytał z przekornym uśmiechem.

Pokręciła głową.

—Ty! — wykrzyknął z płonąca twarzą.

Majka roześmiała się.

—Nie wiem jaka jestem, zaglądam od czasu do czasu do lustra... Chciałabym być piękna i zmienna, codziennie inna, nie znudziłabym ci się, kochałbyś mnie do śmierci, nawet kiedy bym zbrzydła ze starości...

—Zawsze będę cię kochał — objął ją — nigdy cię nie opuszczę, nigdy się z tobą nie rozstanę, nikt nas nie rozdzieli, nawet śmierć... A teraz obejrzyj pokój, powiedz czy ci się podoba... Wiesz, kiedy tu przyjeżdżałem z rodzicami jako dzieciak mówiłem, że zamieszkać tu z moją dziewczyną, tu ją przywiozę. I jestem tu, jestem z tobą. Przed nami cudowne dni i podwójne małżeńskie łóżko... Czy można chcieć czegoś więcej?

—Tak — wyszeptała — żeby to trwało wiecznie... żebyśmy zawsze byli razem.

—Będziemy, nikt nas nie rozdzieli — powiedział z takim żarem, że uwierzyła mu i przez krótką chwilę była szczęśliwa.

A przy śniadaniu, które składało się z jajecznicy, masła, miodu i chleba domowego wypieku, nie mówiąc o cudownej mocnej kawie, pojawił się lęk. Co będzie jutro, za tydzień, za dwa?

—Słuchaj! — przerwała jedzenie i sięgnęła nerwowo po papierosa — skąd weźmiemy na to forszę? — Ja mam zaledwie kilkadziesiąt tysięcy złotych?...

—Nie martw się, ja mam znacznie więcej. Spuściłem na giełdzie sprzęt elektroniczny...

—Zrobiłeś to dla mnie?

—Dla nas. Ja nie istnieję jako ja, ty też nie, jesteśmy jedną istotą, rozumiesz? Jedną istotą...

—Nie wydaje mi się — bąknęła — chyba jednak przesadzasz, każde z nas jest przecież kimś innym, ma swoje wady...

—Ale nie możemy istnieć bez siebie... Z tym się chyba zgodzisz?

—Tak, tak — oczywiście — potwierdziła szybko, chociaż nie była tego pewna, ale bardziej niż wątpliwości dręczyły ją złe przeczucia, szczęście jest uludą, krótką chwilą, umykającym promieniem, za którym gonitwa pozbawiona jest sensu, promień znika za chmurą i gruby cień pokrywa ziemię.

—Coś tak spochmurniała? — zaniepokoił się. — Złe się czujesz?

—Nie — odegnała złe myśli. — Jest dobrze. Lepiej niż myślałam... Masz rację. Życie jest piękne!

Nie dokończyli śniadania, jedzenie przestało być ważne. Znaleźli się nagle w innym świecie, żyli sobą, dla siebie, przestały obchodzić ich góry, piękne widoki, słońce, kochali się przez cały dzień, w nocy zasnęli wyczerpani. Księżyc zimnym blaskiem wtoczył się do pokoju i zajrzał im w oczy, obudzili się i w pierwszym świadomym odruchu szukali siebie, ich ręce i usta odnajdywały się szybciej niż oczy, zasnęli od nowa spleceni w uścisku...

Niepostrzeżenie minął tydzień, który był właściwie jednym cudownym dniem. Oboje nie wiedzieli, jaka była pogoda, nie obchodziło ich to. Którejś nocy spadł śnieg i leżał pół dnia, potem znikł, ale oni go nie widzieli, halny przeleciał z hukiem, łamiąc drzewa i sygnął ulewnym deszczem, którego też nie spostrzegli. Nie wychodzili prawie z domu, gaździna o nic nie pytała, przynosiła jedzenie na tacy i waląc butem w drzwi zawiadamiła, że przyniosła śniadanie, obiad lub kolację, zapraszała ich na telewizję przez drzwi. Nigdy nie wchodziła do środka, nie chciała im przeszkadzać, kupiła niedawno kolorowy telewizor w PEWEKS-ie i koniecznie chciała się nim pochwalić. Marcin powiedział, że przyjdą, a jakże, z wielką ochotą, i nie poszli. Bali się wszystkiego, co toczyło się i przepływało obok, na zewnątrz. Przerazało ich normalne życie z tysiącem zagadnień, z nieustanną walką o byt, o zaspokajanie zwykłych codziennych potrzeb, takich jak jedzenie czy mieszkanie, tu nie musieli o niczym myśleć, dopóki mieli forszę, a wciąż ją mieli, zasoby Marcina zdawały się nieprzebrane.

Pod koniec tygodnia uregulował gaździnie rachunek za pobyt, a zapytany przez Majkę, ile mu jeszcze zostało wzruszył ramionami i powiedział, że go to nie interesuje, nie zastanawia się nad tym co będzie, jest szczęśliwy i nie chce mącić tych chwil przyziemną troską o dach nad głową, jest dobry, nie trzeba o niczym myśleć czy też martwić się bez powodu. — Otulił ją kołdrą i zasnął trzymając ją w ramionach. Majka jednak nie spała, delikatnie, by go nie zbudzić, wysunęła się z łóżka, ubrała.

Kiedy wyszła przed dom zakreśliło jej się w głowie, oparła się o ścianę i z rozkoszą wdychała czyste górskie powietrze. Było wczesne popołudnie i słońce ślizgało się po górach, zapalając na szczytach tysiące zimnych ogni. To było wspaniałe, z każdym oddechem odzyskiwała utracone w ciągu ostatnich dni siły. Nagle zapragnęła pójść na któryś z tych szczytów, zanurzyć się w wilgotny chłód lasu, biec, iść przed siebie bez celu, śpiewać, krzyczeć i tańczyć. Rozpierała ją dzika radość spotęgowana widokiem gór, nigdy nie doświadczyła czegoś takiego.

—Marcin! Wstawaj! — wpadła z krzykiem do pokoju. — Patrz! Jakie słońce, jaki piękny dzień! To grzech leżeć w łóżku, gdy dookoła tak pięknie — ściągnęła z niego kołdrę.

—Och! Nie — wzbraniał się nie otwierając oczu. — Chcę spać, połóż się przy mnie, lubię twój oddech, twoje ciało...

—Będziemy spać w nocy, a teraz pójdziemy na spacer. Jeżeli ty nie chcesz, pójde sama.

—Co ty wygadujesz? — zerwał się nieprzytomnie i sięgnął po koszulę. — Poszłabyś sama? Beze mnie? Co ci przyszło do głowy? Majka! Nie kochasz mnie już?

—Co to ma wspólnego z miłością, chcę odetchnąć świeżym powietrzem. Czuję się jak w więzieniu.

—Przepraszam — wychrypiał nieco spokojniej — nie pomyślałem o tym... W więzieniu, masz rację, ale czy więzienie ze mną jest takie złe?

—Nie chcę być w żadnym więzieniu, nawet z tobą, rozumiesz? — krzyknęła z pasją. — Chcę wyjść! Inaczej zwariuję!

—Dobrze, dobrze — zgodził się z nią.

Wyszli nie odzywając się do siebie, Marcin szedł obok nadąsany, milczący.

Majka widząc jego marsową minę uśmiechnęła się.

—O co ty się gniewasz, głuptasie? — pociągnęła go żartobliwie za ucho. — Przecież cię kocham. A co w tym złego, że nie chcę żyć w więzieniu? Czyżby miłość była więzieniem? — przeraziła się własnych słów. — Sądziysz, że jest więzieniem? — popatrzyła na niego z lękiem.

—W jakimś sensie, na pewno — odparł po namyśle—człowiek sam sobie narzuca ograniczenia, sam się skazuje na przebywanie z innym człowiekiem.

—To jeszcze nie jest więzienie...

—Sam sobie narzuca różne ograniczenia... w konsekwencji ogranicza swoją wolność...

—Ale nie pakuje się do więzienia — zauważyła przytomnie Majka.

—W sensie dosłownym być może nie, ale w bardziej ogólnym...

—Nie mówmy o przykrych rzeczach, cieszymy się tym co jest, bo naprawdę jest czym. Podziwiamy przyrodę.

—Ja tam wolę podziwiać ciebie — uśmiechnął się wreszcie i przytulił ją do siebie.

—Prawdę mówiąc, ja też wolę podziwiać ciebie — pocałowała go.

To pierwsze drobne nieporozumienie miało swoje następstwa.

Marcin zrozumiał więcej niż powiedział, uznał jej racje, przy których wcale nie obstawała, i zmienił tryb życia. Nazajutrz po śniadaniu, które gaździna jak zwykle zostawiła dla nich w przedpokoju, ubrał się, przygotował kanapki na drogę i zaproponował wycieczkę do Pięciu Stawów, chociaż obawiał się trudności. Majka nie miała wprawy w chodzeniu, więc może by tak poprzestać na Gąsienicowej?

—Nie — powiedziała — czuję się wypoczęta i silna, mogę iść na koniec świata.

Do Pięciu Stawów dotarli pod wieczór, przenocowali w schronisku, a rano wracali w śnieżnej zadymce przez Roztokę. Majka nie czuła zmęczenia, humor jej dopisywał. Świat zewnętrzny, tu w górach, był również ciekawy, spotykali samotnych turystów i niewielkie grupki młodzieży. Marcin pozdrawiał ich, wymieniał z nimi uwagi na temat trudnych przejść, słuchał z powagą ostrzeżeń o grożących niebezpieczeństwach, a potem je lekceważył i popisywał się odwagą. Majka karciała go jak rozkapryszone dziecko i tłumaczyła cierpliwie mówiąc: — Kocham cię takim, jakim jesteś. Wcale nie musisz być inny, lepszy czy gorszy, bądź sobą, po prostu sobą...

—Jestem.

—Popisujesz się odwagą, stale chcesz mi czymś imponować, a to niepotrzebne, ponieważ i tak jesteś lepszy, jesteś dobry we wszystkim... Tyle wiesz, tyle umiesz, znasz angielski, łacinę, a ja ledwie kilka słów po rosyjsku... Wiesz co? Kupimy jakiś podręcznik i będziesz mnie uczył, jestem zdolna, naprawdę, w szkole nie miałam kłopotów... Teraz żałuję, że nie wykorzystałam tej jednej szansy, jaką bezsprzecznie miałam... Mogłam

się uczyć, naprawdę mogłam..., ale dopiero teraz wiem o tym, zgodnie z przysłowiem: „Mądry Polak po szkodzie”...

—Niczego nie żałuj! Tak musiało być, ja musiałem oblać maturę, po to żeby cię spotkać, ty musiałaś po to samo wyjść z poprawczaka. W innym wypadku nasze drogi nigdy by się nie zeszły. Wyobrażasz sobie, co by było gdybyśmy się nie spotkali?

—Nie, właśnie tego sobie nie mogę wyobrazić... Wiesz, kiedy budzę się w nocy i patrzę na ciebie, to zdaje mi się, że od zarania dziejów, od urodzenia, a nawet jeszcze wcześniej byliśmy razem, nie tylko jesteśmy, ale byliśmy, byliśmy... rozumiesz coś z tego?

—Oczywiście. Wiesz, ile razy ja usiłuję przypomnieć sobie dziewczynę, z którą się całowałem po raz pierwszy, zawsze przed moimi oczami zjawiasz się ty...

—Przesadzasz...

—Nie. Słowo honoru! Ty jesteś tą dziewczyną, z którą chodziłem na wagary, dla której pisałem wiersze, z którą się kochałem i z którą się chciałem żenić. Nie było nikogo prócz ciebie. Rozumiesz? Nikogo!

—Tak — powtórzyła z przejęciem — nie było nikogo... Obejmij mnie. Przytul i już nic nie mów! Słowa zawsze coś burzą, a tu jest cicho, słyszysz, jodły rozmawiają szeptem...

—Ładnie powiedziane — spojrzał na nią z uznaniem, przystanął i nasłuchiwał — masz rację, one rzeczywiście rozmawiają szeptem, a co do słów — uśmiechał się przekornie — to ... też masz rację, ale ja będę mówił, ponieważ chcę mówić o tym co czuję, co przeżywam. Widzisz, ja muszę znaleźć odpowiednie słowa, żeby nazwać rzeczy nie nazwane, przeżycia jeszcze nie przeżywane, po to by pisać hymny do ciebie. Wyzbędę się wszelkich ułomności, szablonów, tych strasznych banałów w rodzaju: nie mogę bez ciebie żyć...

—Masz rację, to banał, choć brzmi nieźle, banał powtarzany przez wszystkich zakochanych, banał polany fałszywym sosem. No, bo powiedz, iluż z tych co mówią „nie mogę bez ciebie żyć” umiera w chwilach rozłąki? Znikomy procent, niezauważalny prawie, podczas gdy większość żyje...

—Ja umrę — wyszeptał, blednąc.

— Ja nie — roześmiała się Majka. ,

—Będziesz żyć beze mnie?

— Nie — śmiała się dalej — będę żyć z tobą długo i szczęśliwie. Co ci jest? — spytała zdziwiona widząc, że on nie podziela jej radości. Twarz miał bladą z pęcherzykami potu na czole, chwycił ją kurczowo za ramię.

— Nic, nic — usiłował się uśmiechnąć — źle stąpnałem, chyba skręciłem nogę. Już lepiej... Już dobrze — westchnął z ulgą — po prostu źle stąpnałem. To mi się czasem zdarza, stare zwichnięcie daje o sobie znać — ruszył kulejąc. Majka przytrzymała go za ramię. Minęli las i wyszli na pola przyprószone śniegiem. Nie mówili już o swoich uczuciach, które każdemu z nich wydawały się wielkie i niepowtarzalne, zgodnie uznali, że mówienie o nich trywializuje je i spłaszcza, lepsze było milczenie lub mówienie o górach i o niedźwiedziach. Podobno pojawiły się w Chochołowskiej i zaatakowały samotną turystkę, która na ich widok zemdląła ze strachu, niedźwiedzie obwąchały ją i poszły sobie, natomiast turystkę w szoku pogotowie odwiozło do szpitala. Majka znów spytała go o pieniądze, postanowiła napisać do mamy, powiadomić ją, kiedy wróci. Minął już tydzień i matka pewnie się niepokoi, podejrzewając ją o najgorsze. Marcin zmarszczył się — nie odpowiedział od razu.

— Co ci się tak spieszy? Czy ci tu źle?

— Nie o to chodzi czy mi dobrze czy źle. Wiem, że mama zagryza się z mojego powodu, a ona i bez tego nie ma lekko. Muszę ją uspokoić, podać w przybliżeniu jakąś datę.

— Napisz, że wrócisz za kilka dni...

— Co to znaczy kilka?

— Tydzień, dziesięć dni, zobaczymy... na razie nie myśl o tym. Popatrz, ile słońca, nie do wiary, że to schyłek jesieni... Pan Bóg jest dla nas łaskawy.

— Wierzysz, że się nami zajmuje?

— Jestem tego pewien, a ty nie?

— Nie. Nigdy mi w niczym nie pomógł.

— Prosiłaś go?

— Po co? — zdziwiła się szczerze. — Skoro jest Bogiem, to powinien wiedzieć, kiedy pomagać. Po co miałabym się upokarzać i o coś go prosić, to nie w moim stylu.

— No, no, tak to ujmujesz — gwizdnął — jesteś naprawdę niepowtarzalna...



—Cicho! Wystarczy tych komplementów — przywarła do niego ustami i nie pozwoliła mu więcej mówić.

\* \*

\*

Następnego dnia wyruszyli do miasta. Majka obejrzała słynne Krupówki, kościół i stary cmentarz, gdzie zamiast Witkacego pochowano jakiegoś mołojca, wjechali kolejką na Gubałówkę, skąd po niesmacznym i drogim obiedzie zeszli pieszo na dół. Miasto podobało się Majce, ludzie wyglądali solidnie, a nawet dostatnio, tylko sklepy odstraszały bublami, brudem i złą obsługą, dlatego wołała siedzieć w kawiarni i przyglądać się ludziom. Ciągle nie mogła uwierzyć, że jest taka jak wszyscy, że może wejść do kawiarni, zamówić kawę i siedzieć przy stoliku jak inni, albo wyjść kiedy zechce, wstąpić do sklepu, wsiąść do autobusu, zatrzymać taksówkę. Czuła się wolna, mówiła, że cieszą ją drobiazgi, na które większość ludzi nie zwraca uwagi. Samo chodzenie po ulicy sprawia jej radość, a nawet takie automatyczne ruchy, jak: otwieranie i zamykanie drzwi, przeglądanie się w szybie, wchodzenie do sklepu, pytanie o cenę, nie musiała nic kupować, wystarczyła świadomość, że może wejść i wyjść kiedy chce. Codzienne życie dostarczało jej takich radości, o jakich się filozofom nie śniło. Marcin organizował wycieczki nie tylko w góry, ale i do pobliskich wsi i miasteczek. Pokazywał jej swoje ulubione kościoły, domy, ulice. Odkrył w niej niezwykłą wrażliwość i umiłowanie piękna oraz głód wiedzy...

Niepostrzeżenie szybko minął następny tydzień. Majka wysłała kartkę do matki, w której zapowiadała swój rychły powrót. Niepokoiło ją jedno, coraz częstsze stany ponurej zadumy, w jakie popadał Marcin. Nie pytając, wiedziała co one oznaczają, pieniądze były na wyczerpaniu. On jednak zaprzeczał i przygotowywał kolejną wyprawę w góry, tym razem miało to być coś extra. Załadował do plecaka liny, haki, ona zabrała kanapki oraz termos z herbatą.

Ranek tego dnia był mglisty i zimny, prószył mokry śnieg, ale gdy dojechali autobusem do Morskiego Oka słońce otrząsnęło się z mgły i powitało ich oślepiającym blaskiem, trzeba było zakładać ciemne okulary. Majka, nie czując ciężaru plecaka, zeskokczyła ze stopnia autobusu i zachwyconym spojrzeniem objęła ośnieżone góry.

—Miałeś rację — odwróciła się do Marcina. — Życie jest piękne! A ja jestem szczęśliwa — dodała szeptem.

—Ciii — wskazał palcem niebo. — Uwważaj! On nie lubi szczęśliwych ludzi... Z powodu jednego głupiego postępku Ewy zesłał na nas cierpienie, głód, choroby i śmierć.

Wszystko na to wskazuje, że On nas nienawidzi, czemu się wcale nie dziwię, wszyscy ojcowie nie znoszą nieudanych dzieci...

—Ty jesteś udany, ale bądź cicho — ofuknęła go Majka. — I nie psuj nastroju! Popatrz! Dzięki tobie oglądani to wszystko i jestem ci wdzięczna.

Marcin pogrążony w niewesołych rozmyślaniach, uśmiechnął się z wyraźnym przymusem i ścisnął ją mocno za rękę. Ruszyli w las ledwie zaznaczoną ścieżką.

Po dwugodzinnej wspinaczce, kiedy już byli wysoko w górach, Majka pośliznęła się na oblodzonej skale i upadła, podniosła się, masując stłuczone kolano, zakreśliło jej się w głowie, pot spływał z niej strumieniami, nie była w stanie się ruszyć.

—Nie idę dalej. Naprawdę nie mogę. To bez sensu. Po co pchać się tak wysoko? Czy nam tu źle? ?

—Ale tam jest wyżej...

—Nic mnie to nie obchodzi, nie idę.

—Proszę cię. Zrób to dla mnie, to niedaleko. Zaraz będzie szczyt. Nie wolno rezygnować w pół drogi. Chodź! Pomogę ci — wciągnął ją siłą na występ skalny, obwiązał liną i kazał odpocząć, sam niezmordowanie wspinał się dalej.

Majka przytuliła głowę do zimnej wilgotnej skały. Pod powiekami poczuła wibrację drobinek światła, które w postaci kółek, spiralek i wężyków przelatowały obok siebie, mijały się, znikwały i rosły, przeistaczając się w pękate bukiety egzotycznych kwiatów. Nad nimi krążyły olbrzymie czerwone ptaki z niebieskimi skrzydłami. Bukiety szybko zniknęły, zamieniły się w wodne oczka, wyrosły słupy ognia, które rozlewały się w plamy i z sykiem wpadały do wody, ogłupiałe i przerażone ptaki płonęły w locie i rozrywały się z hukiem granatów. Na bezchmurnym niebie pojawiły się eskadry odrzutowców, zniżyły lot, większości udało się zręcznie ominąć ogień, ale kilka roztrzaskało się o skały gdzieś tu, w pobliżu. Majka poruszyła zdrętwiałymi nogami, głowa ciążyła jej jak kamień, w dole odezwało się echo dalekiej eksplozji.

—Hej! — zawołał Marcin. — Widzisz tę linę?

—No?

—Trzymaj się jej i chodź do mnie! Nie bój się, nic ci nie grozi. Ja cię asekuruję. Tylko nie patrz w dół.

Chwyciła się liny i szła za jego głosem, jak za światłem latarki.

—Ostrożnie, odpocznij, nie patrz w dół — instruował cierpliwie.

Spod jej nóg usuwały się z chrzęstem kamienie, leciały z szumem w dół, pociągając za sobą inne. Majka posuwała się wolno, krok za krokiem, bojąc się spojrzeć za siebie, widziała tylko własne ręce wczepione w linę i nogi ślizgające się po kamieniach.

—Już, już — dopingował ją Marcin — jeszcze jeden krok, teraz zacznij się wspinać, stawiaj nogi w szczeliny, ja cię ubezpieczam. Pamiętaj! Trzymaj się liny, jeszcze naprawdę tylko jeden krok. Daj rękę! — przeciągnął ją nad przepaścią.

Majka z uczuciem ulgi zeskoczyła na skałę, a z niej prosto w objęcia Marcina, który przytulił ją do siebie, wytarł jej spoconą twarz. Po chwili odwiązał linę i odrzucił ją daleko na skały. Lina ześlizgnęła się węzowym ruchem, i ściągając swym ciężarem kamienie, poleciała w dół.

—Coś ty zrobił?—przeraziła się Majka. — Jak my teraz zejdziemy?

—Znam inne łatwiejsze zejście. Nie będzie potrzebna lina.

—To dlaczego weszliśmy tędy, narażając się na niebezpieczeństwo?

—Ponieważ wybraliśmy się na wspinaczkę.

—Ech! Ty coś kręcisz? Nie podoba mi się tu. Gdzie ten szczyt?

—Cierpliwości, jeszcze tylko niewielki spacer i będziemy na miejscu.

Niewielki spacer zamienił się w półgodzinny, wyczerpujący marsz. Majka już nie mówiła, zrezygnowana wlokła się za nim wąską kamienną ścieżką, która biegnąc łagodnym zboczem zaprowadziła ich na szczyt.

—Jesteśmy na miejscu — obwieścił Marcin tonem zdobywcy, wskazał na niezbyt rozległy płaskowyż pocięty wysepkami granitowych skał. Wiatr, który tu na górze hasał bezkarnie, uderzył na nią z zaciętością boksera. Majka skuliła się pod cienką kurtkę. Niewielkie skupiska skał wyglądały odrażająco, a prócz nich niczego nie było. Wiatr jeszcze bardziej się rozpanoszył, czepiał się bezczelnie ramion, podcinał nogi i z piekielnym gwizdem wlatywał do uszu. Zatęskniła nagle za przytulnymi łożyskami dolin, za ponurą ciszą drzemiących lasów.

—Mam to gdzieś — krzyknęła z wściekłością — myślałam, że po tej cholernej wspinaczce znajdziemy się nad chmurami, a tu nic nie ma. Zimno, ohydnie.

—Myślałem, że będziesz zadowolona. Popatrz! Jaki ładny widok.

—Nic nie widzę. Zamieniłam się w sopel lodu. Schodzimy!

—Nie. Zostańmy tu, proszę. Masz śpiwór, okryj się — narzucił jej na ramiona zlodowaciałą koldrę.

—Po co mi śpiwór? Chcesz tu nocować? — parsknęła gniewem.

—Chcę tu zostać na zawsze, rozumiesz co to znaczy? — zapytał, drżąc na całym piele.

—Nie rozumiem! Co ty mówisz? Mam tu zamarznąć na śmierć?

—Właśnie, na śmierć — odparł z dziwnym uśmiechem, który ją już wcześniej przeraził. — Skończyła się forsa, a to oznacza rozstanie. Będziesz musiała wrócić do klatki lwa, a ja... — wziął ją za rękę i przytulił.

—Ty oszalałeś, Marcin! Musisz pójść do lekarza! Co ty wygadujesz! — usiłowała wyrwać się z jego ramion. — Puść mnie! — krzyknęła rozpaczliwie. — Ja nie chcę umierać! Nie chcę, słyszysz?

Zwolnił uścisk i Majka odsunęła się od niego.

—Nie bój się! — szeptał zbolalym głosem — wszystko obmyśliłem. To nie potrwa długo, ułożymy się tutaj, w zacisznym miejscu pod skałą, nie będzie ci zimno, wziąłem śpiwór, proszki nasenne...

—Wybij sobie to z głowy! Ja tu nie zostanę. Nie znoszę hysterii, a twoje zachowanie przypomina mi zakład i tamte dziewczyny — odwróciła twarz wykrzywioną gniewem i poszła w kierunku ścieżki.

—Majka! — zawołał piskliwie. Rozpacz i żal kaleczyły słowa zmieniając je w rzeźnię. — Nie zostawiaj mnie! Błagam! Ulituj się nade mną. Bez ciebie nie starczy mi odwagi. Kocham cię, zrozum, ale wszystko straciło sens. Powrót do Warszawy oznacza koniec, życie nas rozdzieli, nie będzie cudownych ranków, długich wieczorów, wspólnych śniadań, kolacji, nie będzie twojej twarzy w mroku... Będziemy się starzeć, gorzknieć i obojętnieć, aż którego dnia stwierdzimy ze zdumieniem, że jesteśmy tacy jak wszyscy, dokładnie tacy sami.

Majka nie zwolniła kroku. Słowa Marcina nie robiły na niej żadnego wrażenia.

—Jesteś bez serca! — krzyknął zanosząc się łzami — zimna, nieczuła, obojętna... Nie kochasz mnie!

Odwróciła się, łzy w oczach Marcina wstrząsnęły nią, ale przerażenie i złość jeszcze nie wyparowały z niej, stała więc sparaliżowana wahaniem i wątpliwościami, nie wiedziała co robić, każdy krok w tej sytuacji był zły, każde rozwiązanie chybione, a jednak uległa czarowi chwili, zawróciła, jakaś dziwna siła uniosła ją jak na skrzydłach, serce zalała wielka czułość.

—Marcin! Kochany! —całowała go rozpaczliwie, tuląc do siebie, jakby chciała tymi pocałunkami przywrócić mu życie. — Nie zostawię cię nigdy. Marcin! Nigdy — drżała z wielkiego wzruszenia, nie czuła już chłodu. W jej oczach przepelnionych blaskiem nie było łez.

Marcin okrył ją śpiworem i długo trzymał w objęciach. Nieznana dotąd tkliwość pomieszana z wdzięcznością tamowały mu oddech. Dotknął jej szczupłych ramion i poczuł kruchość jej ciała. Coś w nim drgnęło, wiedział, że nie ma prawa, ale nie mógł postąpić inaczej, przeanalizował to, rozważył na zimno. Nie miał alternatywy.

—Chodźmy! Tam mniej wieje — wskazał niewielkie skupisko skał. — Mam jeszcze jeden sweter, chcesz?

—Tak — wzięła od niego miękki włóczkowy sweter pachnący mydłem toaletowym i domem, naciągnęła na siebie.

—Jaki ładny! — oczy jej się zaszklily, pociągnęła nosem. Zdziwiło ją, że niebo nagle zbiałało, słońce uciekło za chmury, zaczynał prószyć śnieg. Ciemne skupiska skał przypominały zapomniany cmentarz. Wzdrygnęła się mimo woli.

—Zimno ci? — zapytał i podał jej śpiwór, otulając się nim wycierała ukradkiem łzy.

Nagle niezbyt wysoko nad nimi przemknął cień helikoptera. Ogluszający warkot pochylił ich ku ziemi. Śmigłowiec wzbił się wyżej i odleciał, po chwili zawrócił, okrążył górę i usiadł niespodziewanie w pobliżu skał.

Marcin zerwał z głowy czapkę i wznosząc radosne okrzyki pobiegł mu na spotkanie, Majka odzyskując nagle siły rzuciła się za nim, wtedy on się zatrzymał, zrobiło mu się słabo, zachwiał się, udało mu się złapać równowagę, ale nie mógł się ruszyć, patrzył z dziwnym skupieniem na dwóch goprowców, wyskakujących z kabiny.

—Nic wam nie jest? — zapytał starszy z nich. — Kości całe? Ile was jest? Tylko dwoje?

—Tak — powiedział Marcin głosem człowieka obudzonego z narkozy — dwoje.

—Chodźcie! — pochylił się nad nimi drugi goprowiec — pomogę wam.

—Dziękuję — wykrztusiła zmieszana Majka. Marcinowi również zrobiło się głupio.

—Zejdziemy po linach — wybąkał — tak jak weszliśmy.

—Wprost w przepaść — zaśmiał się starszy goprowiec. — Zapłacicie kilkadziesiąt tysięcy kary, to się wam odechce wdrapywać na szczyty o tej porze roku i narażać innych na śmierć. Widzieliście? To pudło o mały włos nie pieprznięło o skały. To cud, że udało wam się wejść. Tydzień temu jeden idiota, niewiele od was starszy, skręcił kark. Gdybym był twoim ojcem, synu — spojrzał groźnie na Marcina — trzymałbym cię w zamknięciu jak dzikie zwierzę. Jesteś niebezpieczny.

Marcin spuścił oczy i nic nie powiedział.

—Mam rację? — goprowiec tym samym szorstkim tonem zwrócił się do Majki.

Skinęła głową, lecz nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Z nieprzeniknioną twarzą, nie patrząc na nikogo wdrapała się do helikoptera, natomiast Marcin nagle osłabł i goprowcy musieli mu pomóc przy wchodzeniu.

—A swoją drogą mieliście cholerne szczęście — uśmiechnął się starszy goprowiec siadając naprzeciw nich. — Jakiś idiota w Rysach złamał nogę. Lecieliśmy po niego i pilot, przed wzrokiem którego nic się nie ukryje — zauważył was. Gdyby nie ten idiota, to odnaleziono by was dopiero wiosną. Ruszamy — rzucił do pilota. On tam rzeczywiście zamarznie... Świat roi się od idiotów. Mam rację, synu? — mrugnął do

Marcina, który tym razem wytrzymał dzielnie jego spojrzenie.

\* \*

\*

Helikopter wylądował bez przeszkód na placyku przy szpitalu w Zakopanem. Goprowcy po spisaniu danych z dowodu Marcina kazali mu się wynosić, oni musieli się zająć delikwentem ze złamaną nogą. Majka bąknąwszy „dziękuję” pierwsza wydostała się z helikoptera i nie spojrzawszy nawet na Marcina ruszyła szybkim krokiem przed siebie. Dogonił ją, chwycił za ramię, chciał objąć, odepchnęła go i w jakimś dzikim napadzie złości zaczęła okładać pięściami.

—Ty idioto! Ty kretynie, nie chcę cię znać, nie chcę cię więcej widzieć! — krzyknęła i przeskakując kałuże i zwały błota rzuciła się do ucieczki. Nikt jej nie gonił, Marcin

stał otępiały i pozbawiony sił, patrzył jak się oddala, widział, że zatrzymała taksówkę, wsiadła i odjechała bez słowa, nie dając mu żadnego znaku.

Kiedy po godzinie dotarł do domu gaździny, Majka gotowa do wyjazdu pakowała do torby wiersze Tuwima.

—Wyjeżdżasz? To ja też — powiedział zmieszany. Otworzył szafę, postawił obok plecak i wrzucał doń mechanicznie wszystko, co znajdowało się na półkach.

Majka nie raczyła go nawet zauważyć, zdecydowanym ruchem wsunęła kosmetyczkę do torby i podeszła do drzwi, które niespodziewanie otwarły się pchnięte energicznie z zewnątrz. Marcin cofnął się zdumiony, zawadził o szafę. Na progu ukazał się policjant w pełnym rynsztunku, błyskawicznie usunął się z przejścia, wpuszczając do środka szczupłą kobietę w policyjnym mundurze, która widząc Majkę gotową do wyjścia uśmiechnęła się z satysfakcją.

—Poznajesz mnie? — spytała podchodząc do niej sprężystym krokiem.

Majka skinęła głową. Mundur wprawdzie zmienia ludzi, zwłaszcza kobiety przeobraża w jakieś bezpłciowe stwory, pozbawione wdzięku, ale w tej topornej nieco policjantce rozpoznała od razu panią Jadzię, z którą nie tak dawno rozmawiała na zapleczu „Stylowej”.

—No i co? Spotykamy się znowu?—popatrzyła na nią z drwiną pani Jadzia — szkoda, że w nieprzyjemnych okolicznościach. Muszę przyznać, że kogo jak kogo, ale ciebie nie podejrzewałam o taką głupotę...

Majka spojrzała jej w oczy bez lęku.

—Co ci przyszło do głowy, włamywać się do klubu, w którym figurujesz na liście członków? Powiedz, dlaczego tak nagle zgłupiałas?

—Nie wiem, o czym pani mówi — zdziwiła się Majka.

—No, no, nie udawaj niewiniątka! Wszystkie ślady prowadzą do ciebie.

—W dalszym ciągu nie wiem, o czym pani mówi?

Policjantka z wyraźnym niesmakiem wzięła od Majki torebkę, zajrzała do środka, wyjęła z portmonetki pieniądze. Przeliczyła je, wsunęła na miejsce i oddała Majce torebkę.

—Tyle ci tylko zostało z trzech milionów?

—O żadnym włamaniu nic nie wiem. Proszę mnie zostawić w spokoju! Wracam do domu. Za godzinę mam pociąg.

—Ona mówi prawdę — odezwał się Marcin. — Był bardzo blady, lecz niezwykle spokojny i opanowany... — Tu jest mój dowód — sięgnął do kieszeni. — Niech pani pisze protokół...

—Proszę mi nie przeszkadzać w pełnieniu czynności służbowych. —Policjantka odtrąciła jego rękę z dowodem...

—Ależ ja pani nie przeszkadzam, wręcz przeciwnie, chcę pomóc. Proszę wziąć dowód — Marcin usiłował wcisnąć go policjantce do ręki.

—Niech pani siada — podsunął jej krzesło — i pisze... To ja zabrałem z kasy pancernej znajdującej się w sekretariacie trzy miliony pięćdziesiąt tysięcy złotych. Majka nic o tym nie wie... Okłamałem ją... powiedziałem, że sprzedałem sprzęt elektroniczny na giełdzie...

—Wiesz co! Skrzywiła się policjantka — w swoim życiu widziałam wielu zakochanych idiotów, ale takiego jak ty widzę po raz pierwszy. Jesteś gotowa? — zwróciła się do Majki, która skinęła głową. — W porządku. Pojedziemy do sądu, a potem do zakładu...

—A nie można od razu do zakładu? Wolałabym... —powiedziała cicho Majka. Cały czas unikała oczu Marcina. Mówiła do policjantki, na nią patrzyła i tylko ją widziała. Policjant stojący przy drzwiach nie zabierał głosu.

—Porozumiem się z sędzią — odpowiedziała pani Jadzia — przypuszczam, że się zgodzi...

—Niech jej pani nie słucha — zawołał Marcin bliski płaczu. — To ja wziąłem te pieniądze. Najświętsze słowo honoru, to ja. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

—Powiedz swojemu kochasiowi, żeby się uspokoił, bo jak nie, każę go zamknąć na czterdzieści osiem godzin — zdenerwowała się policjantka.

—Kiedy ja mówię prawdę. Przysięgam na wszystko co święte

—Marcin uderzył się w piersi. To ja wziąłem pieniądze... Ja się włamałem... To nie było trudne. Wiedziałem, gdzie sekretarka trzyma klucze.

—Może pani zostawić nas samych? — zwróciła się Majka do policjantki.

—Nie.



—W takim razie, niech go pani każe wyprowadzić. Jego głupota i mnie działa na nerwy — rozgniewała się Majka.

—Co ty wygadujesz? Majka! — krzyknął histerycznie Marcin. — To przecież nie ty, to ja. Nie kłam! Powiedz prawdę! Ty nigdy nie kłamiesz! Więc powiedz, powiedz!

—Powiem! — wzięła go za rękę. — Nie martw się! Wypuszczą mnie za kilka miesięcy. Jestem nieletnia, dziękuję za wszystko. Było wspaniale.

Marcin porwał ją w ramiona, ścisnął, całował w jakimś zapamiętaniu, szepcząc bełkotliwie i niewyraźnie:

—Powiedz im prawdę! Błagam! Tobie uwierzą, proszę cię! Mnie nikt nie słucha, powiedz prawdę! Zrób to dla mnie, jeżeli mnie jeszcze kochasz, powiedz, że to ja, przecież wiesz, że to ja. Nie miałem żadnego sprzętu, nie mogłem go sprzedać. Musiałem wziąć te pieniądze, musiałem... Nie chcę, żebyś cierpiała przeze mnie, każdy odpowiada za siebie...

—Jesteśmy przecież jedną istotą, sam to mówiłeś, zawsze byliśmy, a o mnie się nie martw, jakoś to przetrzymam... Będę do ciebie pisać... Już dobrze... Weź się w garść! No... — pocałowała go jak dziecko w oba policzki i wyplątała się z jego ramion wzięła swoją torbę i z rezygnacją dotknęła klamki, jeszcze się odwróciła i popatrzyła na niego z drżącym uśmiechem.

—Nie rób tego!—rzucił się za nią z płaczem. — Nie poświęcaj się dla mnie, ja tego nie chcę, nie potrzebuję... ja tego nie przeżyję... Umrę, zabiję się!

—Nie! Tego nie zrobisz! Tego ci nie wolno! Musisz żyć dla mnie, dla nas. Musisz do mnie pisać, przyjeżdżać do mnie i czekać. Ja szybko wyjdę, zobaczysz!

Wezmę adwokata! Powiem mu jak było... Założymy sprawę. Nie zostawiaj mnie! Majka! Proszę cię, zrób coś! Powiedz im, że to nie ty...

Policjant siłą odciągnął go od dziewczyny i wyglądając przez okno trzymał w mocnym uścisku, dopiero, gdy zobaczył, że Majka z panią Jadzią dotarły do samochodu powalił Marcina solidnym pchnięciem na łóżko i wyskoczył na zewnątrz. A kiedy Marcin z dzikim krzykiem wybiegł z pokoju siedział już obok kierowcy. Samochód ostro poderwał się z miejsca i rozwijając dużą szybkość pomknął łagodnym zboczem w dół.

Skurczony Marcin, z rękami przy twarzy został sam na pustej drodze.